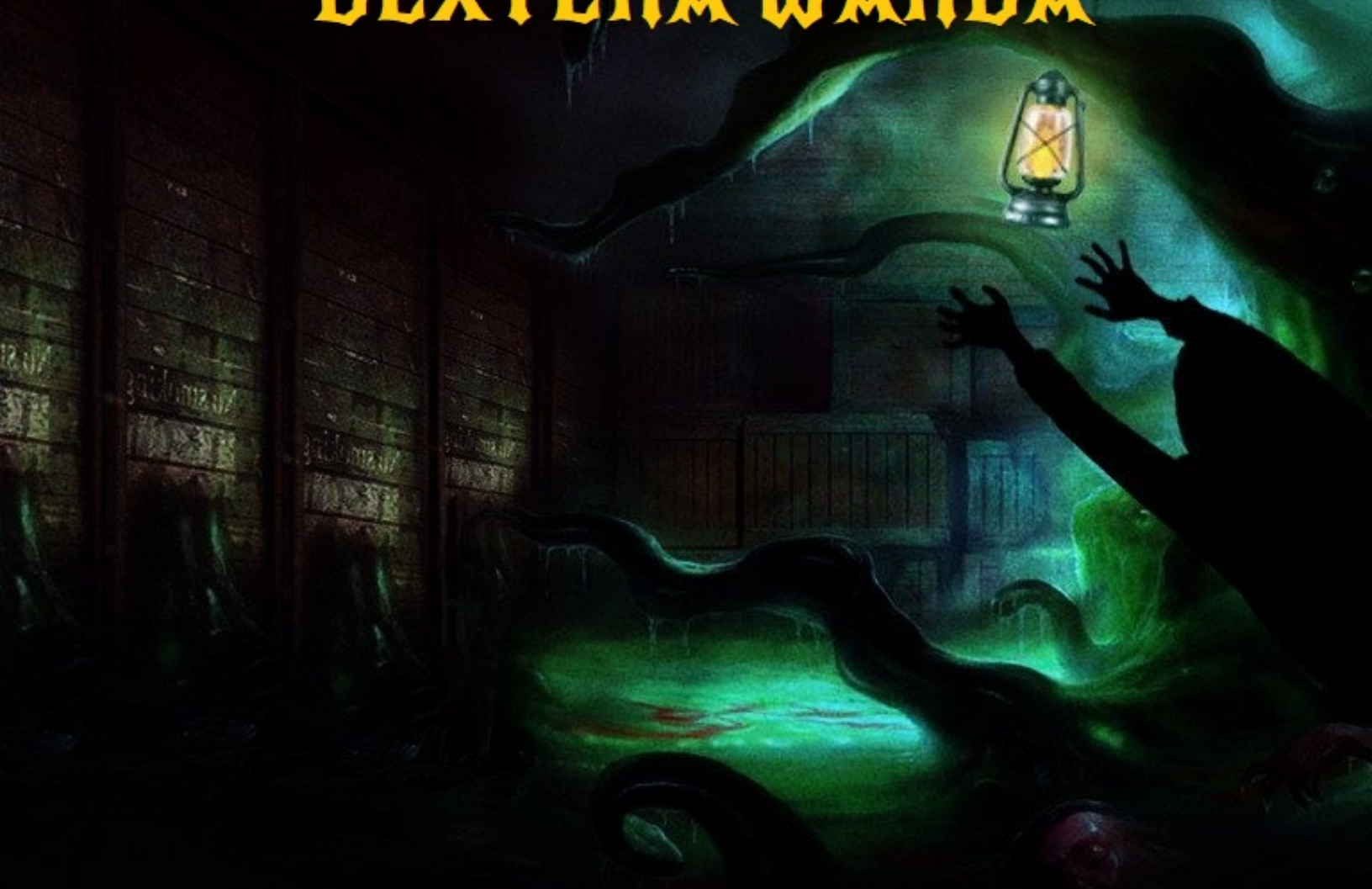


Classics To Go

THE CASE OF  
CHARLES DEXTER WARD  
PRZYPADK CHARLES  
DEXTERA WARD



H. P. Lovecraft

H.P. LOVECRAFT

PRZYPADK CHARLES  
DEXTERA WARD

(THE CASE OF CHARLES DEXTER WARD)



# Spis treści

Karta tytułowa

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rezultat i prolog

-2-

## ROZDZIAŁ DRUGI

Poprzednik i groza

-2-

-3-

-4-

-5-

## ROZDZIAŁ TRZECI

Poszukiwania i wywołanie

-2-

-3-

-4-

-5-

-6-

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Przemiana i szaleństwo

-2-

-3-

-4-

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### Koszmar i kataklizm

-2-

-3-

-4-

-5-

-6-



# ROZDZIAŁ PIERWSZY

# PRZYPADEK CHARLESA DEXTERA WARDA

## Rezultat i prolog

-1-

**Z** prywatnego szpitala dla obłąkanych w pobliżu Providence, Rhode Island, zniknął ostatnio wyjątkowo dziwny osobnik. Nazywał się Charles Dexter Ward i został tam bardzo niechętnie umieszczony przez zrozpaczonego ojca, który dostrzegł niepokojące zmiany w osobowości syna i rosnącą aberrację przechodzącą od zwykłego ekscentryzmu do mrocznej manii wyrażającej się skłonnościami morderczymi. Lekarze przyznawali, że są kompletnie zbici z tropu; był to bowiem niecodzienny przypadek zarówno pod względem fizjologicznym jak i psychologicznym.

Przede wszystkim, pacjent wyglądał nienaturalnie staro; starzej niż powinien wyglądać ktoś, kto liczy sobie dwadzieścia sześć lat. To prawda, zaburzenia umysłowe potrafią wywołać raptowny proces starzenia się, ale twarz tego młodego człowieka nabrała w jakiś subtelny sposób cech charakterystycznych wyłącznie dla ludzi niebywale leciwych. Po drugie, jego procesy organiczne wchodziły w relacje jakich nie notowała dotąd praktyka medyczna. Oddech i akcja serca wykazywały niewiarygodną

arytmię, a głos którego praktycznie w ogóle nie było, potrafił wznieść się co najwyżej do szeptu.

Zadziwiająco długi i sprowadzony do minimum okazał się proces trawienia, a reakcje nerwowe na zwyczajne bodźce nie posiadały analogii z żadnymi zaobserwowanymi dotąd ani normalnymi, ani patologicznymi odruchami. Skóra była chorobliwie zimna i sucha, o strukturze tkanki przesadnie gruboziarnistej i małej spoistości. Znikło nawet duże, oliwkowe, przyrodzone znamię na prawym biodrze, podczas gdy na piersi uformował się niespotykany zaśniad czy też czarniawa plama, której wcześniej nie było. Słowem, ogół lekarzy był zgodny, że w Wardzie spowolnione zostały w niespotykanym stopniu procesy metaboliczne.

Również i pod względem psychologicznym, Charles Ward stanowił wyjątek. Jego szaleństwo nie miało odpowiednika w niczym, co notowały najnowsze nawet i najobszerniejsze dzieła medyczne; kryło jednak w sobie siłę, zdolną uczynić z Warda geniusza lub przywódcę, gdyby nie jego zwichrowanie i przedziwne, groteskowe formy. Doktor Willett, lekarz domowy Wardów, utrzymuje, że wielkie zdolności umysłowe pacjenta, oceniane na podstawie reakcji na sprawy wykraczające poza sferę jego szaleństwa, rzeczywiście wzrosły od chwili odosobnienia. Ward, to prawda, zawsze był erudytą i miłośnikiem starożytności; lecz nawet jego najlepsze, wcześniejsze prace nie świadczyły o tak fenomenalnej błyskotliwości i wnikliwości sądu, jakie manifestował podczas prowadzonych przez psychiatrów badań. Przy tak potężnym i klarownym umyśle trudno byłoby legalną drogą umieścić młodzieńca w szpitalu, gdyby nie świadectwo wielu postronnych osób oraz zadziwiające luki w zasobie wiadomości Charlesa, tak nieprzystające do jego inteligencji. Do ostatniej chwili przed swym zniknięciem, pochłaniał książki i prowadził dyskusje, na tyle, na ile pozwalał mu na to jego nieszczęsny głos; a bystrzy obserwatorzy, nie



przewidując wcale jego nieoczekiwanego zniknięcia, bez wahania przepowiadali jego rychłe zwolnienie.

Jedynie doktor Willett, który przyjął Charlesa Warda na świat, i następnie od początku śledził jego rozwój fizyczny i umysłowy, żywił poważne wątpliwości co do jego przyszłego zwolnienia. Sam doktor doznał takich przeżyć oraz odkrył rzeczy tak straszne, że nawet nie odważył się podzielić nimi ze swymi sceptycznymi kolegami. A w związku z ucieczką utrzymywał, że nic o niej nie wie. Był ostatnim człowiekiem, który widział pacjenta, a z ostatniej z nim rozmowy wyszedł w stanie przerażenia zmieszanego z ulgą, co przypomniało sobie kilka osób w trzy godziny później, kiedy ucieczka wyszła na jaw. Ucieczka ta jest jedną z niewyjaśnionych zagadek szpitala doktora Waite'a. Otwarte okno wychodzące na pionowe urwisko o wysokości sześćdziesięciu stóp, niczego nie wyjaśnia. Ale jest faktem bezspornym, że po rozmowie z Willettem młodzieniec zniknął. Willett nie miał nic na ten temat do powiedzenia, niemniej sprawiał wrażenie bardziej odprężonego psychicznie niż przed ucieczką pacjenta. Wiele osób czuło jednak, że powiedziałyby o wiele więcej, gdyby miał pewność, że większość da mu wiarę. Warda zastał w pokoju, ale kiedy wkrótce po jego wyjściu ktoś z personelu zastukał do drzwi, odpowiedziała mu cisza. Gdy drzwi otworzono, pokój był pusty i jedynie przez otwarte okno chłodny, kwietniowy wiatr nawiewał delikatną chmurę błękitnawo-szarego kurzu, który omal nie udusił wchodzących. To prawda, że jakiś czas przedtem wyły psy, ale działo się to jeszcze wtedy, gdy wewnątrz był Willett; potem już zwierzęta niczego nie wyczuwały i nie okazywały niepokoju. Ojciec Warda, któremu telefonicznie natychmiast

zakomunikowano o ucieczce syna, wydawał się tym faktem bardziej zasmucony niż zaskoczony. Zanim przybył osobiście doktor Waite, Willett odbył z nim rozmowę, w której obaj zgodnie wyparli się jakiegokolwiek wiedzy o ucieczce czy współudziału w niej. Wyłącznie z kręgów najbliższych przyjaciół Willetta i Warda seniora dochodziły pewne informacje, lecz były one zbyt fantastyczne, by brać je serio. Fakt faktem, że do chwili obecnej, po zaginionym szaleńcu nie został nawet ślad.

Charles Ward od dziecka przejawiał zamiłowanie do starożytności, zapewne pod wpływem atmosfery sędziwego miasta w którym żył oraz wielu reliktyw przeszłości wypełniających każdy kąt starej, usytuowanej na grzbiecie wzgórza posiadłości jego rodziców na Prospect Street. Z biegiem lat oddanie się sprawom minionym rosło: historia, genealogia, studia nad architekturą kolonialną, meblami i wytworami rzemiosła tak głęboko go pochłonęły, że wyparły z kręgu jego zainteresowań wszystko inne. Te właśnie zamiłowania muszą być brane pod uwagę w kontekście jego szaleństwa; bo jakkolwiek same w sobie nie stanowiły jądra choroby, zadecydowały o jej zewnętrznych przejawach. Wszelkie dostrzegane przez psychiatrów luki w jego wiedzy dotyczyły zagadnień współczesnych, ale były z kolei wyrównywane przez ogromną acz skrzętnie skrywaną orientację w problemach minionych; przychodziło wręcz na myśl, że pacjent dosłownie przenosił się za pomocą jakiejś nieznannej formy autohipnozy w przeszłość. Intrygujące też było to, że ostatnio Ward całkiem stracił zainteresowanie historią, którą przecież tak wybornie znał. Może opanował ją zbyt dokładnie i wszelkie jego wysiłki zmierzać zaczęły w kierunku ogarnięcia rzeczy współczesnego świata, które dotąd tak całkowicie i rozmyślnie wymazywał ze swej świadomości. Robił co mógł, by się z nimi nie zdradzać, lecz dla każdego, kto baczenie go obserwował, było oczywiste, że cały ten nowy program lektur i rozmów powodowało

żarliwe pragnienie przyswojenia sobie takiego zasobu wiedzy o własnym życiu oraz praktycznym i kulturowym podłożu dwudziestego wieku, jaki przystoi komuś, kto urodził się w 1902 roku i zdobył wykształcenie we współczesnych szkołach. Psychiatrizy zastanawiają się, jak – ze względu na tak niepełną wiedzę – zbiegły pacjent poradzi sobie w skomplikowanym, dzisiejszym świecie; przeważają opinie, że się “podłoży”, a jego sytuacja będzie bardzo przykra aż do chwili, kiedy zasób jego informacji nie osiągnie normalnego poziomu.

Wśród psychiatrów panują rozbieżne opinie co do początku szaleństwa Warda. Doktor Lyman, znakomity bostoński autorytet, umiejscawia go w roku 1919 lub 1920 – chłopiec kończył właśnie ostatni rok nauki w szkole Mojżesza Browna. Wtedy to nieoczekiwanie porzucił studia nad przeszłością na rzecz badań okultystycznych, rezygnując tym samym ze szkoły wyższej i motywując swą decyzję tym, że zaczął oddzielne studia wiele większej wagi. Ward zmienił swe zwyczaje: rozpoczął ustawiczne poszukiwania w dokumentach miejskich i na starych cmentarzach, tropiąc pewien, wykopany w 1771 roku grób; grób swego przodka Josepha Curwena, którego papiery znalazł był za ścienną płaszczyzną dekoracyjną w bardzo starym domu w Olney Court na Stampers Hill, w którym – jak mówiono – zamieszkiwał Joseph Curwen.

Ogólnie mówiąc, nie sposób zaprzeczyć, że zima 1919–1920 roku przyniosła ogromną przemianę Warda; wtedy bowiem porzucił nieoczekiwanie studia nad starożytnością i rozpoczął gorączkowe badania okultystyczne w kraju i za granicą, urozmaicając je tylko dziwnie uporczywymi poszukiwaniami mogiły swego przodka.

Doktor Willett był jednak odmiennego zdania, a sąd swój opierał na długiej i bliskiej znajomości z pacjentem, oraz na pewnych przerażających badaniach i odkryciach, jakich pod koniec dokonał. Owe badania i odkrycia

pozostawiły już w nim trwałe ślady; kiedy o nich mówi, drży mu głos, kiedy pisze o nich – drży mu ręka. Willett twierdzi, że zmiana z przełomu 1919 i 1920 roku zapoczątkowała tylko postępujący regres, który skumulował się w strasznej, godnej politowania, niesamowitej alienacji w roku 1928. Przyznając bez wahania, że chłopiec zawsze był niezrównoważony, przesadnie wrażliwy i żywo reagujący na otaczające go zjawiska, nie zgadza się, że już tamta wczesna przemiana oznaczać miała przejście od rozsądku do szaleństwa; wierzy natomiast oświadczeniu Warda, że ten odkrył, czy też ponownie odkrył coś, czego skutki dla ludzkiej myśli okazałyby się wielkie i zdumiewające.

Jest przeświadczony, że rzeczywiste szaleństwo przyszło wraz z późniejszą zmianą; już po tym jak Charles wydobyl portret Curwena i jego stare papiery; już po zagranicznej podróży do dziwnych miejsc, i po straszliwych inwokacjach śpiewanych w tajemniczych okolicznościach; już po jakichś odpowiedziach na te inwokacje oraz po gorączkowym liście napisanym w śmiertelnej udręce i z nie wyjaśnionych powodów; już po fali wampiryzmu i złowieszczych plotkach w Pawtuxet; i po tym, jak pamięć pacjenta zamykać się zaczęła przed wyobrażeniami współczesnymi, jego głos zanikł, a wygląd fizyczny przechodził subtelne zmiany, co później dostrzegało wiele osób.

Działo się to w tym mniej więcej czasie – co z dużą trafnością wykazał Willett – kiedy z osobą Warda łączono koszmarnie zdarzenia i doktor był absolutnie pewien, że istnieją wystarczające dowody na to, by uznać za prawdziwe twierdzenie młodzieńca, iż dokonał przełomowego odkrycia. Po pierwsze, dwóch bystrych robotników było świadkami odnalezienia starych papierów Josepha Curwena, a po drugie sam chłopiec pokazał kiedyś Willettowi te papiery wraz ze stronicą z pamiętnika Curwena; dokumenty nosiły wszelkie znamiona autentyczności. Dziura, w której Ward je znalazł,

istnieje do dziś, a komplet tych dokumentów Willett widział w miejscu, w istnienie którego trudno byłoby w ogóle uwierzyć i jeszcze trudniej je udowodnić. Były zagadki i dziwne zbiegi okoliczności związane z listami Orne'a i Hutchinsona, był problem charakteru pisma Curwena i tego co w związku z doktorem Allenem wydobył na światło dzienne detektywi; to wszystko oraz straszliwe przesłanie napisane średniowieczną minuskułą, znalezione w kieszeni Willetta, kiedy ten odzyskał przytomność po swoim wstrząsającym przeżyciu.

Ale najbardziej rozstrzygające są dwa odrażające wyniki, jakie pod koniec poszukiwań uzyskał doktor z dwóch formuł; wyniki, które rozstrzygają kwestię autentyczności papierów i ich monstrualnych związków z czasem, kiedy papiery te zostały wydarte z ludzkiej pamięci.

Trzeba cofnąć się do wcześniejszego życia Charlesa Warda, jako do czegoś, co należy do przeszłości i historii, które tak głęboko ukochał. Jesienią 1918 roku, wykazując spory zapał do zajęć wojskowych, rozpoczął pierwszy rok nauki w usytuowanej bardzo blisko domu Wardów szkole Mojżesza Browna. Główny, stary budynek wzniesiony jeszcze w 1819 roku zawsze pobudzał wyobraźnię interesującego się historią młodzieńca, a rozległy park, którym otoczona była Akademia, zwracał jego uwagę swą malowniczością. Ward prowadził ubogie życie towarzyskie; czas spędzał głównie w domu, na wędrówkach, w salach wykładowych, na ćwiczeniach wojskowych lub na gromadzeniu informacji o przeszłości i wiedzy genealogicznej w Ratuszu, w Gmachu Stanowym, w Bibliotece Publicznej, w Athenaeum, w Towarzystwie Historycznym, w Bibliotekach Johna Cartera Browna i Johna Haya na Uniwersytecie Browna oraz w nowo otwartej Bibliotece Shepleya na Benefit Street. Warto opisać, jak w tamtych czasach wyglądał Ward. Wysoki, szczupły, o jasnych włosach, zamyślonych

oczach, lekko przygarbiony, ubierał się cokolwiek niedbale i ogólnie sprawiał wrażenie raczej niezgrabnego i nieatrakcyjnego.

Podczas spacerów, które poświęcał zawsze poszukiwaniom historycznym, starał się wynaleźć pośród wielu reliktywów wspaniałego, starego miasta jakiś żywy obraz stuleci, które minęły. Mieszkał w wielkiej, georgiańskiej rezydencji usytuowanej na szczycie stromego wzgórza, wznoszącego się na zachodnim brzegu rzeki i z tylnych okien w skrzydłach zbudowanego bez jednolitego planu domu miał oszałamiający widok na rozciągające się za skupiskiem wież, kopuł, dachów i drapaczy chmur purpurowe wzgórza za miastem. Tu się urodził i z tej właśnie uroczej, klasycznej werandy znajdującej się na ozdobionym podwójnym pasem cegieł frontie domu, po raz pierwszy wywiozła go w dziecięcym wózku niania; minęli niewielką, białą farmę sprzed dwustu lat, która stała tu już na długo przed powstaniem tej części miasta i kierując się w stronę okazałych budynków uczelni, szli elegancką ulicą na której, pośród wystawnych podwórek i ogrodów, drzemały pewne siebie i ekskluzywne, stare, kwadratowe rezydencje zbudowane z cegły oraz mniejsze, drewniane domki z wąskimi frontami zdobionymi przez doryckie kolumny.

Wieziony był również wzdłuż sennej Congdon Street ciągnącej się poniżej, na zboczu stromego wzgórza, zabudowanej rzędem przylegających do siebie domów wzniesionych tarasowato na spadzistej ulicy. Niewielkie, drewniane domki były tu starsze, gdyż miasto rozbudowując się, wspinało w górę stoku. Podczas tych przejażdżek musiał wchłonąć w siebie wiele z kolorytu osobliwej, kolonialnej osady. Niania zazwyczaj zatrzymywała się i przesiadywała na ławkach na Prospect Terrace, gdzie gawędziła z policjantami; jednym z jego pierwszych dziecięcych wspomnień było wielkie, rozciągające się na zachód morze zamglonych dachów, kopuł oraz wyniosłych, odległych wzgórz, które ujrzał pewnego zimowego popołudnia

z ogromnej, ogrodzonej skarpy fioletowe i mistyczne na tle gorączkowego, apokaliptycznego zachodu słońca w kolorach czerwonych, złotych, purpurowych oraz zadziwiającego odcienia zieleni. Wielka, marmurowa kopuła Gmachu Stanowego wyróżniała się masywną sylwetką, a wieńczący ją posąg kąpał się w jakiś fantastyczny sposób w barwnych obłokach spowijających płonące niebo.

Kiedy podrósł, rozpoczął swe słynne spacer; początkowo w towarzystwie zniecierpliwionej, wlokącej się niani, potem sam – zatopiony w marzeniach i rozmyślaniach. Docierał coraz dalej i dalej w dół tego prawie pionowego wzgórza, za każdym razem osiągając starsze i osobliwsze partie starodawnego miasta. Ruszał ostrożnie w dół stromej Jenckes Street okolonej ścianami domów o dachach w stylu kolonialnym ze szczytami, do rogu cienistej Benefit Street, gdzie natychmiast wyłaniał się przed nim drewniany zabytek z dwoma przejściami ozdobionymi jońskimi pilastrami, a obok resztki pradawnej farmy oraz wielki, ze smętnymi resztkami georgiańskiego majestatu dom Sędziego Durfee. Obecnie była to dzielnica ruder zamieszkała przez ubogą ludność i męty społeczne, ale tytanicznej wielkości wiązy rzucały tu odświeżający cień i chłopiec zazwyczaj wędrował na południe, mijając długą linię wzniesionych jeszcze przed Rewolucją domów z ogromnymi kominami i klasycznymi portalami. Te po wschodniej stronie stały na wysokich fundamentach i wiodły do nich podwójne kondygnacje kamiennych, ogrodzonych poręczą stopni i młody Charles potrafił sobie doskonale wyobrazić, jak wszystko to tutaj wyglądało, kiedy ulica była nowa, a czerwone obcasy i peruki przesuwały się pod barwnymi frontonami, których ślady mógł jeszcze dostrzec.

Po stronie zachodniej wzgórze opadało równie stromo jak po przeciwnej, aż do starej "Town Street", którą twórcy w 1636 roku po prowadzili brzegiem rzeki. Biegło od niej mnóstwo niewielkich zaułków z pochyłymi



ze starości i stłoczonymi domami, pochodzącymi z zamierzchłych czasów, i jakkolwiek fascynowały one młodego Warda, dużo upłynęło czasu nim odważył się zagłębić w ich archaiczne labirynty, w strachu, by nie okazały się jakimś snem czy bramą wiodącą do nieznanego przerażenia. Kiedy wreszcie skierował tam swe kroki, zrozumiał, że nie ma w nich nic groźnego; szedł więc wzdłuż Benefit

Street, mijając żelazne ogrodzenie kościoła św. Jana skrywające kościelny cmentarz, a za nim, pochodzącą z 1761 roku siedzibę władz kolonialnych i piętrzące się cielsko Golden Ball Inn, gdzie zatrzymał się swego czasu Washington. Patrząc dokładnie w kierunku wschodnim, z Meeting Street dawniej Goal Street, a następnie King Street – mógł ujrzeć sklepioną w łuk kondygnację schodów, do których do chodziła pnąca się po stoku szosa, a w dole po zachodniej stronie wyzierał zbudowany ze starej cegły budynek byłej szkoły kolonialnej, uśmiechający się przez całą szerokość drogi gołdem Głowy Szekspira, gdzie jeszcze przed Rewolucją drukowana była Providence Gazette and Country Journal. Dalej pojawiał się wspaniały Pierwszy Kościół Baptistów z 1775 roku ze zbytkowną i z niczym nie porównywalną wieżą Gibbsa oraz georgiańskimi dachami i wznoszącymi się nad nimi kopułami. Tutaj i dalej na południe, sąsiedztwo stawało się lepsze, przemieniając się w cudowną grupę dawnych rezydencji; a jeszcze starsze zaułki wiodły w dół, ku spadającej na zachód przepaści; upiorna w swym archaizmie, obniżała się aż do opalizujących nizin, gdzie wstrętne część miasta przylegająca do rzeki przypominała dumne dni Indii Wschodnich z ich różnojęzycznym występkiem, nędzą, nadgnitymi nadbrzeżami oraz kaprawymi dostawcami okrętowymi i nazwami zaułków, które przetrwały do dziś: Uliczka Grubej Forsy, Uliczka Sztabek Złota, Sztabek Srebra, Monety, Dublonu, Guldena, Dolara, Dziesięciocentówki, Centa.

Gdy już podrósł i nabrał odwagi, młody Ward zapuszczał się czasami na sam dół, w wir groźących zawaleniem domów, połamanych belek, pokruszonych schodów, wykręconych balustrad, smagłych twarzy i odrażających zapachów; idąc z South Main do South Water, wyszukiwał doki, w których ciągle jeszcze tkwiły osiadłe na mieliznach parowce, zawracał na północ, na jeszcze niższe poziomy, aż do pochodzących z 1816 roku magazynów o stromych dachach, a potem na szeroki plac przy Great Bridge, gdzie wciąż jeszcze krzepko stała na swych starodawnych łukach Hala Targowa z 1773 roku. Na placu tym przystawał, by upajać się oszałamiającym widokiem pnącego się w górę urwiska po wschodniej stronie starego miasta, pełnego georgiańskich wież i wieńczonego rozległą kopułą kościoła Nauki Chrześcijańskiej, podobnie jak Londyn zwieńczony jest kopułą katedry św. Pawła. Najbardziej lubił przychodzić tutaj późnym popołudniem, kiedy na Halę Targową, starożytne dachy i dzwonnice na wzgórzu padały ukośne promienie słoneczne, oblewając wszystko złotem i roztaczając jakiś czar wokół drzemiących nadbrzeży, gdzie zazwyczaj rzucały kotwice przybywające z Indii okręty. Kiedy tak błędził dłuższy czas spojrzeniem, pod wpływem tego widoku wpadał w przyprawiający go prawie o zawrót głowy, poetycki nastrój. Następnie wchodził na pnący się w górę stok i ruszał w stronę domu, już o zmroku mijał stary, biały kościół i pisał się dalej w górę wąskimi, stromymi drogami, podczas gdy w oknach o małych szybkach i w półkolistych okienkach nad drzwiami, znajdujących się wysoko nad podwójnymi kondygnacjami schodków z żelazną balustradą wyjątkowo misternej roboty, pojawiać się zaczynały żółte błyski.

Kiedy indziej, także w późniejszych latach, poszukiwał wyrazistszych kontrastów; połowę swej trasy, poświęcał rozsypującym się terenom kolonialnym na północ od swego domu, gdzie wzgórze opadało na niższe wzniesienie Stempers Hill i gdzie znajdowało się getto oraz dzielnica

murzyńska, skupione wokół placu; z placu tego, przed Rewolucją, odjeżdżały dylizanse do Bostonu. Drugą część wędrówki przeznaczał na łaskawą, południową część w pobliżu ulic George, Benevolent, Power i Williamsona, gdzie stare zbocze wciąż jeszcze usiane było pięknymi budynkami i resztką ogrodzonego murem ogrodu przy pnącej się w górę, stromej i zielonej alei z którą związanych było tyle upajających wspomnień. Włóczęgi te oraz towarzyszące im pracowite studia z całą pewnością dostarczały ogromnej wiedzy historycznej, która w końcu zagarnęła bez reszty umysł Charlesa Warda, nie pozostawiając miejsca na świat współczesny; ilustrują też głębię umysłową, na którą tej fatalnej zimy przełomu 1919 i 20 roku padło ziarno, które później wydało tak dziwny i straszny plon.

Doktor Willett jest przekonany, że aż do tej złowróżbnej zimy, kiedy to nastąpiła pierwsza przemiana, zainteresowania historyczne Charlesa Warda pozbawione były elementów chorobliwych. Cmentarze, poza ich osobliwą i historyczną wartością, nie przyciągały jego uwagi w jakiś szczególny sposób i młodzieniec był całkowicie wolny od jakichkolwiek gwałtownych i dzikich instynktów. Następnie złośliwymi etapami pojawiały się dziwne następstwa jednego z jego genealogicznych triumfów, kiedy to wśród swoich przodków ze strony matki odnalazł pewnego bardzo długowiecznego mężczyznę, który nazywał się Joseph Curwen i który przybył tu z Salem w marcu 1692 roku. O człowieku tym krążyło wiele tajemniczych, niezwykle dziwacznych i niepokojących opowieści.

Welcome Potter – o ojcu, o którym nie przechowała się najmniejsza wzmianka – prapradziadek Warda poślubił w 1785 roku niejaką “Ann Tillinghast, córkę Elizy, córki Kapitana Jamesa Tillinghasta”. Pod koniec 1918 roku, studiując tom dawnych rękopiśmiennych rejestrów miejskich, młody genealog natknął się na wzmiankę o legalnej zmianie nazwiska: w

1772 roku Eliza Curwen, wdowa po Josephie Curwenie ponownie nadała swe panięskie nazwisko Tillinghast swej siedmioletniej córeczce, Ann, ponieważ: "nazwisko jej Męża zhańbione zostało z Powodu tego, co wiadome się stało po jego Zgonie, który potwierdził dawną i znaną powszechnie Pogłoskę, która nie budziła jednak zaufania w wiernej Żonie, aż do chwili jej udowodnienia w takim stopniu, w jakim poprzednio budziła wątpliwości". Informację tę Ward wydobył na światło dzienne, kiedy przypadkowo rozdzielił dwie stronicę, które ongiś zostały pieczołowicie sklezione i po mozolnym przeprowadzeniu numeracji, traktowane jako jedna kartka.

Charles Ward pojął natychmiast, iż odnalazł swego praprapradziadka. Odkrycie to zelektryzowało go podwójnie, gdyż doszły już doń pewne mgliste słuchy i natknął się na rozsiane tu czy tam aluzje dotyczące człowieka, po którym zostało tak niewiele powszechnie dostępnych dokumentów, iż wydawać się mogło, że istniała jakaś zmowa, by w ogóle wytrzeć z pamięci jego imię. A ponadto pogłoski i wzmianki były tak niezwyklej i prowokującej natury, że każdy musiał zadać sobie pytanie, co tak zaniepokoiło dawnych kronikarzy z czasów kolonialnych, że wszelkimi sposobami starali się wymazać z pamięci tę postać; czy też podejrzewali tylko, iż takie wymazanie jest sprawą aż nazbyt uzasadnioną.

Wcześniej Ward niewiele poświęcał uwagi osobie Josepha Curwena; teraz jednak odkrywając więzy rodzinne z tą najwyraźniej "przemilczaną" postacią, przystąpił do gruntownych poszukiwań, wygrzebując wszystko, co się dało na interesujący go temat. W tym ekscytującym śledztwie – na podstawie starych listów, pamiętników i stosów nie publikowanych wspomnień zalegających pokryte pajęczyną strychy Providence i innych miast, gdzie trafić można było na wiele mówiące wzmianki – osiągnął w końcu wyniki, które przeszły jego najśmielsze oczekiwania. Jeden,

niezwykle istotny dokument, rzucający pewne światło na sprawę, znajdował się w miejscu tak odległym jak Nowy York, gdzie w Muzeum w Frances Tavern zalegała jakaś korespondencja z czasów kolonialnych z Rhode Island. Zdaniem doktora Willetta, rzeczą naprawdę przełomową, która jednak stała się bezpośrednią przyczyną zguby Warda, były materiały znalezione w sierpniu 1919 roku za płaszczyzną dekoracyjną na ścianie walącego się domu w Olney Court. To właśnie, bez wątpienia, rozwarło owe mroczne horyzonty, których kraniec głębszy był, niż otchłanie piekieł.



# ROZDZIAŁ DRUGI

# Poprzednik i groza

-1-

Zgodnie z krążącymi legendami oraz z tym, co usłyszał i wygrzebał Ward, Joseph Curwen był zadziwiającym, enigmatycznym i w jakiś sposób przerażającym człowiekiem. W pierwszym okresie paniki spowodowanej czarną magią, lękając się zapewne kłopotów z powodu samotniczego trybu życia oraz chemicznych, czy też alchemicznych doświadczeń, które prowadził, opuścił był rodzinne Salem i przybył do Providence owej powszechnie znanej przystani dziwaków, ludzi niezależnych czy też mających odmienne przekonania. Błady mężczyzna około trzydziestki bardzo szybko zyskał obywatelstwo Providence i kupił sobie dom, dokładnie na północ od Gregory'ego Dextera, na samym dole Olney Street. Posesja ta stała na Stampers Hill na zachód od Town Street i później przyjęła nazwę Olney Court; w roku 1761, na tym samym miejscu, Curwen wybudował nowy, większy dom, który stoi tam zresztą do dzisiaj.

Najdziwniejsze było, iż Joseph Curwen wcale się nie postarzał od chwili swego przybycia do miasta. Rozpoczął pracę w przedsiębiorstwach okrętowych, nabył kawałek nadbrzeży w pobliżu Mile-End Cave w roku 1713, pomagał w przebudowie Great Bridge i Kościoła Kongregacjonistów na wzgórzu; przez cały ten czas zachowywał wygląd człowieka trzydziestopięcioletniego. Z upływem dziesięcioleci owa szczególna cecha wywoływać zaczęła wiele komentarzy; Curwen wyjaśnił jednak, iż miał



krzepkich przodków, a ponadto prowadzi prosty tryb życia, co sprawia, że jest jaki jest. Jaki związek miała owa prostota z niewytłumaczalnym znikaniem i pojawianiem się tajemniczego kupca oraz z dziwnym światłem płonącym w oknach jego domu przez całe noce, nie wiedział tego w mieście nikt. Toteż i szukano innych wyjaśnień jego wiecznej młodości. Większość utrzymywała, że owa kondycja Curwena ma ścisły związek z mieszanymi przez niego i gotowanymi chemikaliami. Krążyły zresztą plotki o dziwnych substancjach, które przywoził na swoich statkach z Londynu i z Indii lub też nabywał w Newport, Bostonie czy Nowym Yorku; a kiedy z Rehoboth przybył stary doktor Jabez Bowen i po drugiej stronie Great Bridge, pod godłem Jednorożca i Moździerza otworzył skład apteczny, całe miasto wkrótce mówiło o lekach, kwasach i metalach, które małowmowny samotnik nieustannie tam zamawiał i kupował. Wielu cierpiących na różne schorzenia, zakładając, że Curwen posiadał cudowne i tajemnicze umiejętności medyczne, zwracało się do niego o pomoc; i chociaż nigdy jej nie odmówił ordynując jakieś lecznicze napoje w dziwnych kolorach, to prawie nigdy nie brał za to zapłaty. W końcu, kiedy minęło dobrze ponad pięćdziesiąt lat od chwili przybycia obcego, a w jego twarzy odbiło się najwyżej lat pięć, ludzie zaczęli szeptać rzeczy bardziej mroczne, i ... bardzo chętnie wyszli naprzeciw jego pragnieniu samotności.

Prywatne listy i pamiętniki z tamtych lat przytaczają masę innych powodów, dla których Joseph Curwen najpierw był podziwiany, potem budził lęk, a w końcu wszyscy unikali go, jak morowego powietrza. Głośne było jego namiętne umiłowania cmentarzy, gdzie widywany był o różnych porach i w najprzeróżniejszych sytuacjach; brakowało jednak doniesień o jakichkolwiek jego praktykach, które dałyby mu miano hieny cmentarnej. Na Pawtuxet Road posiadał farmę, w której zazwyczaj spędzał lato; widywano go też jak wyrusza gdzieś konno o różnych porach dnia i nocy.

Jedynymi jego służącymi, a zarazem stróżami była para posepnych Indian z plemienia Narragansett; mąż był niemy i przedziwnie wystraszony, a żona posiadała nader odrażające rysy twarzy, zapewne z powodu płynącej w jej żyłach domieszki krwi murzyńskiej. W przylegającej do domu przybudówce znajdowało się laboratorium, gdzie Curwen prowadził większość doświadczeń chemicznych. Ciekawscy tragarze i furmani, którzy dostarczali do małych drzwi na tyłach domu butle, worki lub pudła, długo opowiadali potem o niskim, zastawionym półkami pomieszczeniu z niezliczoną ilością fantastycznych retort, tygli, alembików i palników, przebąkując przy tym półgłosem, iż ten milczący "chemista" – co dla nich znaczyło alchemik – już niebawem znajdzie Kamień Filozoficzny. Najbliżsi sąsiedzi farmy – mieszkający w odległości ćwierć mili Fennerowie – opowiadali jeszcze dziwniejsze historie o pewnych dźwiękach, które – jak utrzymywali – dobiegały nocą z miejsca, które zamieszkiwał Curwen. Słysząc było stamtąd krzyki i nieustanne wycia; bardzo też nie przypadła im do gustu ilość pasącego się na pastwiskach bydła, gdyż nie potrzeba było go aż tyle, by jednemu staremu człowiekowi i tak nielicznej służbie zapewnić mięso, mleko i wełnę. Gatunek zwierząt zmieniał się z tygodnia na tydzień, w miarę jak od farmerów w Kingston Curwen kupował coraz to nowe stada. Również z wielkiej, kamiennej przybudówki, która w miejscu okien miała jedynie wąskie szczeliny, emanowało coś niesłychanie odstręczającego.

Próżniaki gromadzące się przy Great Bridge, wiele miały do powiedzenia o miejskim domu Curwena w Olney Court; nie o tym wspaniałym, nowym, wybudowanym w 1761 roku, kiedy to już jego właściciel musiał liczyć sobie dobrze koło stu lat, ale o poprzednim – starym – z niskim dwuspadowym dachem pokrytym gontem i z poddaszem pozbawionym okien. Dom ów został rozebrany, deska po desce, a drewno

spalone z zachowaniem zadziwiających środków ostrożności. To prawda, w tym akurat nie było nic osobliwego, ale godziny, w jakich widywano tam światła, tajemniczość dwóch smagłych, pełniących rolę służby cudzoziemców, obrzydliwy, niewyraźny mamrot niewiarygodnie wiekowego Francuza zarządcy, ogromne ilości jedzenia wnoszonego drzwiami, za którymi żyły tylko cztery osoby i rodzaj pewnych głosów prowadzących czasami przyciszone rozmowy w najdziwniejszych godzinach – wszystko to łączono z czymś, co znane było pod nazwą Pawtuxet, i miejsce to zaczęło się cieszyć bardzo niedobrą sławą.

W wyższych sferach również wiele się mówiło o domu Curwena. W miarę bowiem jak nowo przybyły stopniowo wciągał się w życie miasta, pracując czy to przy kościele, czy w handlu, zawierał naturalnie znajomości w lepszym towarzystwie, w którym potrafił się świetnie poruszać. Był dobrze urodzony, a Curwenowie czy też Carwenowie z Salem nie potrzebowali w Nowej Anglii rekomendacji. Joseph Curwen w młodości wiele podróżował, mieszkał jakiś czas w Londynie i miał za sobą co najmniej dwie podróże do Orientu; jego mowa, kiedy tego chciał, była mową wykształconego, kulturalnego Anglika. Z tych czy innych powodów jednak, Curwenowi nie zależało na towarzystwie. Wprawdzie nigdy nie odmówił nikomu gościny wprost, ale tworzył taką barierę sceptycyzmu, że niewielu tylko odważało się w jego obecności otworzyć usta z obawy, by nie wyjść na głupca.

Wydawało się, że w jego manierach czai się jakaś tajemnicza sardoniczna arogancja, zupełnie tak, jakby dzięki obcowaniu z potężnymi i lepszymi istotami, uważał wszelkie ludzkie stworzenia za przeraźliwie nudne. Kiedy w roku 1738 przybył z Bostonu doktor Checkley –wielki umysł – by objąć rektorat Kościoła Królewskiego, nie omieszkał złożyć wizyty człowiekowi, o którym tak wiele słyszał. Szybko jednak opuścił

dom swego gospodarza, gdyż w jego mowie wyczuł jakieś złowieszcze treści. Pewnego zimowego wieczora, Charles Ward –dyskutując z ojcem – wyznał, że wiele dałby za to, by dowiedzieć się, jakie tajemnice starzec zwierzył błyskotliwemu klerykowi; wszyscy pamiętnikarze przyznawali zgodnie, że doktor Checkley nigdy nikomu nie powtórzył tego, co wówczas usłyszał. Ów zacny człek był dogłębnie wstrząśnięty i ilekroć potem rozmowa schodziła na temat Josepha Curwena, wyraźnie tracił wiele z radosnej pogody ducha.

Znany powszechnie natomiast był powód, dla którego inny człowiek o wyrafinowanym smaku i dużym wykształceniu unikał tego hardego pustelnika. W roku 1746 przybył do Providence pan John Merritt, starszy angielski gentelmen interesujący się literaturą i nauką. Przyjechał on z Newport do tego, szybko rozwijającego się miasta, by postawić tam swą piękną, wiejską posiadłość w Neck, która znajduje się obecnie w samym sercu dzielnicy najwspanialszych rezydencji. Pan Merritt prowadził komfortowe i w wielkim stylu życie; on pierwszy w mieście utrzymywał własny powóz i służbę w liberii, chlubił się też posiadaniem teleskopu, mikroskopu i świetnie dobranej biblioteki złożonej z angielskich i łacińskich książek. Słyszając, że Curwen jest posiadaczem najlepszego księgozbioru w Providence, pan Merritt zapowiedział się z wizytą i przyjęty został bardziej serdecznie niż ktokolwiek dotychczas. Jego nieskrywany zachwyty nad obfitą kolekcją ksiąg gospodarza, w której obok klasyki angielskiej, greckiej i łacińskiej znajdował się znakomity zestaw dzieł filozoficznych, matematycznych i naukowych – między innymi Paracelsusa, Agricoli, Van Helmonta, Sylviusa, Glaubera, Boyle'a, Boerhaave'a, Bechera i Stahla – sprawił, że Curwen zaproponował mu wizytę w laboratorium w swej farmie, dokąd nigdy jeszcze nikogo nie zaprosił. Obaj bez zwłoki udali się tam pojazdem Merritta.

Pan Merritt zawsze potem utrzymywał, że nie spotkał na farmie nic, co mogłoby budzić grozę. Przyznawał jednak, że same już tytuły ksiązek w specjalnej bibliotece poświęconej zagadnieniom magii, alchemii i teologii, którą Curwen trzymał w frontowym pokoju, wystarczyły, by na zawsze wzbudzić w nim odrazę. Być może zresztą, że to sam wyraz twarzy właściciela, kiedy prezentował księgi, przyczynił się mocno do takiego uprzedzenia. Ta dziwaczna kolekcja, obok zestawu normalnych dzieł, które nie zaniepokoiły niczym Merritta, obejmowała wszystkich znanych mu kabalistów, demonologów i magów; była istną skarbnicą wiedzy z podejrzanych dziedzin alchemii i astrologii. Tłoczyły się tam obok siebie Hermes Trismogistus w wydaniu Mesnarda, Turba Philosopharum, Uber Investigationis Gebera; i Klucz Mądrości Artephousa; było tam wszystko, także kabalistyczny Zohar, Albertus Magnus Petera Jamma, Ars Magna et Ultima Raymonda Lullya w wydaniu Zetznera, Thesaurus Chemicus Rogera Bacona, Clavis Alchimiae Fludda, De Lapide Philosophico Trithemiusa. Bardzo licznie byli reprezentowani średniowieczni Żydzi i Arabowie; pan Merritt zbladł, gdy uniósł wspaniały wolumin, zwracający na siebie uwagę tytułem Qanoone – Islam, gdyż odkrył, że był to w rzeczywistości zakazany Necronomicon szalonego Araba Abdula Alhazreda, o którym słyszał tak potworne rzeczy szeptane tajemniczo parę lat wcześniej, związane z odkryciem pewnych j odrażających rytuałów w niewielkiej rybackiej wiosce Kingsport w okręgu Massachusetts Bay.

Lecz – zastanawiająca rzecz – szacowny gentelman odczuł niewyraźny dreszcz niepokoju z powodu drobnego szczegółu. Na olbrzymim mahoniowym stole leżała rozłożona tytułem do dołu bardzo zniszczona kopia Borellusa opatrzona na marginesach i między liniami wieloma tajemniczymi notatkami dokonany ręką Curwena. Księga otwarta j była mniej więcej w połowie, a jeden z paragrafów wyróżniał się taką ilością

gęstych i drżących pociągnięć piórem pomiędzy liniami mistycznych, czarnych liter, że gość nie oparł się gwałtownej chęci rzucenia nań okiem. Nie zdołał określić natury podkreśleń, ani też odczytać niezwykłego pisma, którym skreślone były między wierszami notatki; ale coś w układzie całości poruszyło go w dziwaczny i niezwykły sposób. Sam tekst zapamiętał sobie po kres swoich dni, zapisując go starannie z pamięci w dzienniku. Raz nawet próbował przeczytać to swemu bliskiemu przyjacielowi, doktorowi Checkley'owi, ale zaniechał tego pomysłu spostrzegłszy jak głęboko to wstrząsnęło błyskotliwym rektorem. Było tam napisane:

“Podstawowe Prochy Zwierząt tak można spreparować i zakonserwować, że pomysłowy Człowiek zdolny jest posiąść całą Arkę Noego we własnej pracowni i wskrzysić z Popiołów dla własnego kaprysu idealny Kształt Zwierzęcia, a poprzez Metodę nocnych egzekwii z podstawowych Prochów ludzkich Szczątków Filozof może, bez uciekania się do wszetecznej Nekromancji, wywołać z Popiołów w jakie Ciało się obróciło, Kształt któregośkolwiek ze zmarłych Przodków”.

Ale najgorsze rzeczy o Josephie Curwenie szeptano w pobliżu doków, w południowej części Town Street. Żeglarze są ludźmi przesądnymi; i zahartowani marynarze, którzy obsadzali niewielkie stateczki żaglowe przewożące rum, niewolników lub melasę, załogi buńczucznych statków pirackich i wielkich brygów Brownów, Crawfordów i Tillinghastów – wszyscy oni wykonywali potajemnie dziwne znaki magiczne, kiedy tylko w zasięgu ich wzroku pojawiała się szczupła, wyglądająca zwodniczo młodo postać o żółtych włosach i lekko przygarbionych plecach, wchodząca do magazynu Curwena na Doubloon Street, czy też rozmawiająca z kapitanami i nadzorcami załadunku na długim molo, gdzie nieodmiennie przyplływały statki Curwena. Urzędnicy i kapitanowie Curwena bali się go i nienawidzili, a marynarze tworzący załogi jego statków stanowili wymieszaną hałastę z

Martyniki, Wyspy św. Eustachego, Hawany czy Port Royal. Z reguły żeglarze niesłychanie często przemieszczali się ze statku na statek i tym skuteczniej trzymali starego człowieka w szachu. Załogi, po zejściu na ląd rozchodziły się po mieście; niektórzy żeglarze dostawali takie czy inne zlecenia, z których wiele dotyczyło farmy Pawtuxet. Wracalo stamtąd niewielu żeglarzy, a ci, którzy wrócili, pamiętali tę wizytę do końca życia; dlatego też największym problemem Curwena było zapewnienie sobie rąk do pracy. Zawsze kilku robotników odchodziło usłyszawszy krążące po nadbrzeżach Providence plotki, a zastępowanie tych ludzi innymi stawało się dla kupca w Indiach Zachodnich uciążliwe.

W roku 1760 Joseph Curwen był już dosłownie wyrzutkiem, podejrzanym o jakieś nieokreślone bliżej potworności i powiązania diabelskie, co w pojęciu ogółu było tym groźniejsze, że nie dawało się dokładnie określić, zrozumieć ani udowodnić. Przysłowiową ostatnią kroplą stała się zapewne sprawa zaginionych w marcu i kwietniu 1758 roku żołnierzy dwóch królewskich regimentów, które podczas marszu do Nowej Francji kwaterowały w Providence; tak gwałtowne, w niewyjaśnionych okolicznościach uszczuplenie stanu osobowego znacznie przekraczało średnią dezercji. Fala plotek rosła tym bardziej, że Curwen bardzo często rozmawiał z odzianymi w czerwone płaszcze cudzoziemcami i kiedy kilku z nich zaginęło bez śladu, ludzie zaczęli kojarzyć ten fakt z marynarzami kupca, którzy również zniknęli w tajemniczych okolicznościach. Co by się stało, gdyby regimenty nie otrzymały rozkazu wymarszu, nikt nie potrafił powiedzieć.

A tymczasem prowadzone na całym świecie interesy kupca kwitły. W mieście posiadał monopol na handel saletrą potasową, czarnym pieprzem i cynamonem, z nadzwyczajną łatwością prowadził też inne przedsiębiorstwa okrętowe, zajmując się obok Brownów importem utensyliów miedzianych,

indygo, bawełny, tkanin wełnianych, soli, takielunku, żelaza, papieru, i wszelkiego rodzaju artykułów pochodzenia angielskiego. Tacy właściciele sklepów, jak James Green spod godła Słonia, na Cheapside, Russellowie pod godłem Złotego Orła, naprzeciwko Mostu, czy też Clark i Nightingale pod Patelnią i Rybą w pobliżu New Coffee – House byli prawie całkowicie zależni od niego; a jego kontakty z miejscowymi gorzelnikami i mleczarzami z Narragansett oraz umowy z hodowcami koni i producentami świec w Newport czyniły zeń jednego z głównych eksporterów Kolonii.

Jakkolwiek Curwen został skazany na ostracyzm, nie zbywało mu ducha obywatelskiego. Kiedy spłonęła siedziba władz kolonialnych wraz ze znajdującą się w niej biblioteką publiczną, niezwykle hojnie wspomógł loterię. Z w ten sposób uzyskanego funduszu wybudowano w roku 1761 nowy, ceglany, pyszniący się do teraz gmach przy dawnej, głównej ulicy, a strawione ogniem księgi, Curwen zastąpił nowymi. W tym samym roku wspomógł odbudowę uszkodzonego październikowym sztormem Great Bridge. Ufundował również loterię, dzięki której błotnisty Plac Targowy i poryta głębokimi koleinami Town Street doczekały się bruku wykonanego z dużych, zaokrąglonych kamieni oraz chodnika – czy “deptaka” pośrodku. W tym samym mniej więcej czasie zbudował swój zwyczajny, lecz komfortowy nowy dom, do którego wejście stanowi arcydzieło sztuki rzeźbiarskiej. Kiedy w roku 1743 zwolennicy Whitefielda oderwali się od kościoła doktora Cottona na wzgórzu i wybudowali po drugiej stronie Mostu kościół Deacon Snow's, Curwen dołączył do nich; wkrótce jednak jego zapał społecznikowski – a co za tym idzie, pomoc – osłabły. I dopiero teraz powrócił do tych pobożnych praktyk, jakby chciał tym rozproszyć cień, który pchnął go w odosobnienie i mógł wkrótce poważnie zaszkodzić jego interesom.



Obraz tego dziwnego, liczącego sobie z pewnością ponad setkę mężczyzn o wyglądzie człowieka w średnim wieku i o bladej twarzy, poszukującego rozpaczliwie wyjścia z otaczającej go chmury nieokreślonego lęku i odrazy, które trudno było nawet zdefiniować, był patetyczny i pełen dramatyzmu, ale też i budził pogardę. A jednak taka jest już siła powierzchownych, ale popartych pieniędzmi gestów, że szybko pojawiły się pierwsze jaskółki poprawy stosunków i wychodzenia z izolacji. Najpierw przestali znikać jego żeglarze. Musiał też najwidoczniej przedsięwziąć szczególne środki ostrożności podczas swych wypraw na cmentarze, gdyż nikt już nie widział, by odbywał takie wędrówki. Ustawiały jednocześnie plotki o niesamowitych odgłosach i dziwnych zjawiskach zachodzących w Pawtuxet. Ale ilość spożywanej żywności i sprowadzanego bydła była wciąż nieprawdopodobnie duża; i aż do czasów współczesnych, kiedy to Charles Ward zbadał zalegające w Bibliotece Shepleya liczne sprawozdania i faktury handlowe Curwena, nikomu nie przychodziło do głowy – za wyjątkiem jednego tylko, zapewne rozgoryczonego młodzieńca – aby dokonać mrocznego porównania olbrzymiej liczby sprawdzonych przez niego w roku 1766 czarnych w Gwinei z niepokojąco niską liczbą, na jaką mógł przedłożyć bona fide rachunki od handlarzy niewolników na Great Bridge, jak też od plantatorów w Kraju Narragansett. Z całą pewnością, przebiegłość i pomysłowość tej odrażającej postaci były niezwykle; i w razie potrzeby człowiek ów potrafił zapanować w doskonały sposób nad swymi instynktami.

Naturalnie, efekt tak spóźnionej naprawy musiał być niewielki. W dalszym ciągu nie dowierzano i unikano Curwena; a głównym tego powodem była owa nieszczęsna wieczna młodość, pozostająca w takiej sprzeczności ze znanym powszechnie jego rzeczywistym wiekiem. Mężczyzna rozumiał, że jego majątek może ponieść niepowetowane straty.

Dla kontynuacji skomplikowanych badań i eksperymentów, niezależnie od tego na czym miały one polegać, potrzebował potężnych dochodów; a ponieważ zmiana środowiska pozbawiłaby go korzyści, jakie ciągnął z handlu, nic opłacało się mu zaczynać wszystkiego od początku gdzie indziej. Rozsądek nakazywał natychmiastową i całkowitą poprawę stosunków z mieszkańcami Providence tak, by pojawienie się jego osoby nie było już dłużej sygnałem do przerywania rozmów i mętnych wykrętów, że gdzieś tam czekają niecierpiące zwłoki interesy; należało rozproszyć aurę nieufności i niepokoju, jaka go otaczała. Jeszcze większych zmartwień przysparzali mu jego urzędnicy, których mógł rekrutować wyłącznie spośród szumowin, których nikt inny nie chciał zatrudniać; co do kapitanów i oficerów, tych trzymał wyłącznie strachem – długami hipotecznymi, skryptami dłużnymi i znajomością ich faktycznej sytuacji materialnej. Pamiętnikarze częstokroć donoszą o czarnoksiężskich wręcz umiejętnościach Curwena wydobywania sekretów rodzinnych, które służyć miały do jakichś niejasnych celów. Przez ostatnie pięć lat przejawiał taką znajomość rzeczy minionych, że wydawać się mogło, iż informacje te czerpał bezpośrednio od dawno już nieżyjących ludzi.

W tym też mniej więcej czasie, przebiegły uczony poczynił ostatni, rozpaczliwy krok, by odzyskać zaufanie otoczenia. Zupełny dotychczas pustelnik zdecydował się na korzystny mariaż, wybierając jakąś damę, która miała położyć kres bojkotowi jego domu. Możliwe też, iż były i głębsze przyczyny takiego związku; przyczyny tak dalece wykraczające poza znaną nam sferę kosmiczną, że jedynie papiery znalezione w sto pięćdziesiąt lat po jego zgonie pozwoliły się im domyślać. To jednak już na zawsze pozostanie li tylko w sferze domniemań. Był naturalnie świadom całej otaczającej go atmosfery grozy i potępienia, które sprawiały, że żadne jego zaloty normalną drogą nie mogły odnieść skutku; szukał zatem takiej

kandydatki, na rodziców której mógłby wywrzeć odpowiedni nacisk. Niełatwo było takich znaleźć, albowiem przykładał dużą wagę do urody, ogłady i statusu społecznego przyszłej panny młodej. Po jakimś czasie skierował całą uwagę na jednego ze swych najlepszych i najdłużej u niego pracujących kapitanów statków, dobrze urodzonego wdowca nazwiskiem Dutie Tillinghast o nieposzlakowanej opinii, którego jedyna córka Eliza posiadała wszelkie wymagane zalety oraz gwarantowała, że w przyszłości zostanie jedyną spadkobierczynią ojca. Kapitan Tillinghast był całkowicie zdominowany przez Curwena i po strasliwym spotkaniu w zwieńczonym kopułą domu Tillinghastów na wzgórzu Powur's Lanc musiał przystać na warunki Curwena, sankcjonując ojcowskim przyzwoleniem ów bluźnierczy związek.

Eliza Tillinghast liczyła sobie wówczas dziewiętnaście lat i była wykształcona i ułożona na tyle, na ile pozwalały ograniczone możliwości materialne jej ojca. Chodziła do szkoły Stephena Jacksona, naprzeciwko Court House Parady, a jej matka zanim jeszcze umarła na syfilis w roku 1757 – dobrze ją wprowadziła we wszelkie fortele i arkana życia domowego. Próbkę haftów, które Eliza wykonała w roku 1753 – miała wówczas zaledwie dziewięć lat można do dzisiaj oglądać w salach Towarzystwa Naukowego Rhode Island. Po śmierci matki, mając do pomocy tylko jedną Murzynkę, sama prowadziła cały dom. Jej spory z ojcem na temat proponowanego małżeństwa musiały być długie i dramatyczne; o tym jednak brak jakichkolwiek zapisków. Jedno tylko pewne: jej zaręczyny z młodym Kzrą Weedenem, drugim kapitanem należącego do Crawfordów statku pocztowego „Enterprise” brutalnie zerwano i siódmego marca 1763 roku w kościele Baptistów zawarty został związek pomiędzy Elizą Tillinghast a Curwenem. W uroczystości wzięła udział największa ilość osób w historii miasta, a samej ceremonii dokonał

młodszy Samuel Winson. "Gazette" wspominała o niej bardzo lakonicznie, a i to w większości zachowanych egzemplarzy tego pisma, notka o ślubie została wycięta lub wyrwana. Ward po wielu poszukiwaniach w archiwach prywatnych kolekcjonerów, wygrzebał wreszcie jeden kompletny egzemplarz z zachowaną notatką i z rozbawieniem spostrzegł nonsensowną wykwintność języka:

"Wieczorem w ubiegły poniedziałek, pan Joseph Curwen z tego Miasta, poślubił pannę Elizę Tillinghast, Córkę Kapitana Dutie Tillinghasta, młodą damę, która posiadając w sobie prawdziwą Cnotę i piękną Postać, ozdabia ten małżeński Stan uwieczniając ów Szczęśliwie Dobrany Związek".

Odnaleziony w prywatnej kolekcji Melville'a F. Petersa z George Street przez Charlesa Warda, na krótko przed jego pierwszym, sławnym szaleństwem, zbiór listów Durfee – Arnolda pochodzących z tego, i z nieco wcześniejszego okresu, rzuca ostre światło na wyzwanie, jakie rzucił opinii społecznej tym niedobranym związkiem Curwen. Niemniej jednak Tillinghastowie posiadali spore wpływy i dom Josepha Curwena ponownie zapełnił się ludźmi, którym w normalnych okolicznościach nie pozwoliłby nawet przekroczyć progu swego domu. Nie został jednak zaakceptowany towarzysz z powodu tej wymuszonej transakcji. Ale niezależnie od wszystkiego, ostracyzm ów nie był już całkowity. Osobliwy pan młody zadziwił całą społeczność sposobem, w jaki traktował swą młodą małżonkę, okazując jej wielką łaskawość i względy. W nowym domu Olney Court nie działo się obecnie nic niepokojącego i jakkolwiek Curwen przebywał przeważnie na farmie Pawtuxet – której jego małżonka nigdy nie odwiedzała – to dużo bardziej niż kiedykolwiek przedtem podczas swego wieloletniego pobytu w mieście, sprawiał wrażenie normalnego obywatela. Tylko jedna osoba okazywała mu jawną wrogość, a był nią młody oficer marynarki, którego zaręczyny z Elizą Tillinghast zostały tak gwałtownie

zerwane. Ezra Weeden otwarcie poprzysiągł zemstę i mimo spokojnego charakteru, zachował w sobie zapiekłą nienawiść, co nie wróżyło pomyślnej przyszłości uzurpującemu sobie prawa małżonka Curwenowi.

Siódmego maja 1765 roku urodziło się jedyne dziecko Curwena – Ann; ochrzczona została przez wielebneho Johna Gravesa w Kościele Królewskim, do której to świątyni, w wyniku zawarcia ugody między Baptistami a Kongregacjonistami, zarówno mąż, jak i żona zaczęli uczęszczać krótko po ślubie. Wzmianki o tych narodzinach, podobnie jak dwa lata wcześniej o ślubie, zostały skrupulatnie wymazane z większości roczników miejskich oraz kościelnych; i Charles Ward z największym trudem zdołał do nich dotrzeć już po odkryciu faktu zmiany nazwiska wdowy, a co za tym idzie ustaleniu związków rodzinnych z tą kobietą, co z kolei wzbudziło w chłopcu gorączkowe zainteresowanie sprawą; to ostatecznie znalazło swój punkt kulminacyjny w szaleństwie. Metrykę urodzin odnalazł dzięki nawiązaniu kontaktu z potomkami lojalisty, doktora Gravesa, który opuszczając swój pastorat w obliczu nadciągającej Rewolucji zabrał ze sobą duplikaty wszystkich dokumentów. Na ślad doktora Gravesa Ward trafił dzięki temu, że dowiedział się, iż praprababka Ann Tillinghast Potter należała do kościoła Episkopalnego.

Wkrótce po narodzinach córki – zdarzeniu, które Curwen jak się zdaje przyjął z zapałem mocno wykraczającym poza jego normalną oschłość – ojciec małej Ann postanowił się sportretować. Wykonania obrazu podjął się niezwykle uzdolniony Szkot nazwiskiem Cosmo Alexander, mieszkający podówczas w Newport, znany wcześniej jako nauczyciel Gilberta Stuarta. Obraz miał wisieć na ściennym panneau w bibliotece w domu w Olney Court, ale żaden z dwóch starych pamiętników nie napomknął o ostatecznym losie tego malowidła. W tym czasie kapryśny naukowiec wykazywał oznaki niezwykłego roztargnienia i cały prawie czas spędzał na

farmie przy Pawtuxet Road. Ówczesne źródła donoszą, że najwyraźniej tłumił w sobie podniecenie czy niepewność; jakby spodziewał się jakiejś fenomenalnej rzeczy lub był u progu dziwnego odkrycia. Zdaje się, że ogromną rolę w tym odgrywała chemia – czy alchemia – ponieważ zabrał ze swego domu na farmę ogromną ilość książek o tej tematyce.

Symulacja zainteresowania sprawami miasta nie słabła i nie przegapiał żadnej okazji, by takich luminarzy jak Stephen Hopkins, Joseph Brown czy Benjamin West wspierać w ich wysiłkach dźwignięcia miasta na wyższy poziom kulturalny, niż patronującego naukom humanistycznym Newport. Pomógł Danielowi Jenckesowi ufundować w roku 1763 księgarnię; stał się później jego najlepszym klientem. Wyciągnął pomocną dłoń borykającej się z kłopotami finansowymi "Gazette" drukowanej co środa w domu z Głową Szekspira w godle. W polityce gorąco poparł Gubernatora Hopkinsa, który występował przeciwko mającej swe centrum w Newport partii Warda; jego płomienna mowa przeciwko wydzieleniu Północnego Providence jako autonomicznego miasta z prawem głosu w Zgromadzeniu Generalnym wygłoszona w Hallu Hachera w 1765 roku najbardziej przyczynić się mogła do zdjęcia ciężącego wciąż na nim piętna. Ale obserwujący dokładnie jego poczynania Ezra Weeden szydził cynicznie z tej całej aktywności głośno mówiąc, że to wyłącznie maska, pod którą w rzeczywistości nadal w odrażający sposób paktuje / najczarniejszymi otchłaniami Tartaru. Żądny rewanzu młodzian pilnie i systematycznie obserwował Curwena, ilekroć ten pojawiał się w porcie. Spędzał długie nocne godziny na nadbrzeżu w przygotowanej już uprzednio płaskodennej łodzi i kiedy tylko dostrzegał światło w magazynach Curwena, płynął tam ukradkiem. Śledził też, gdy się tylko dało, farmę Pawtuxet; raz nawet został dotkliwie pogryziony przez spuszczone z łańcucha przez parę Indian psy.

W esienią 1770 roku Weeden uznał, że najwyższy już czas zwrócić na Curwena uwagę zaintrygowanych mieszkańców miasta; niepewność i oczekiwanie bowiem, jakie ostatnimi czasy demonstrował, opadły zeń jak stara kapota, ustępując miejsca źle skrywanej radości i triumfowi. Curwen sprawiał wręcz wrażenie, jakby z najwyższym tylko trudem powstrzymywał się przed publicznym ujawnieniem tego, co odkrył, poznał czy też dokonał; ostatecznie jednak najwyraźniej potrzeba zachowania tajemnicy przeważała nad chęcią podzielenia się radością z innymi. I Curwen niczego nigdy nic wyjawiał. Działo się to już po tym, jak się zmienił, – co, jak się wydaje, nastąpiło na początku sierpnia i kiedy to ponury naukowiec zadziwiać zaczął ludzi informacjami, których udzielić mu mogli wyłącznie ich dawno zmarli przodkowie.

Ale tajemnicza i gorączkowa działalność nie ustała wraz z przemianą. Przeciwnie, rosła raczej; morskie interesy Curwena w całości już prowadzili jego kapitanowie, których przykuwał do siebie okowami strachu, równie silnymi jak poprzednio szantaż.

Zaprzestał jednocześnie handlu niewolnikami, twierdząc, że nie jest to już tak intratny proceder. Każdą wolną chwilę spędzał na farmie Pawtuxet; i ponownie zaczęły krążyć tu i tam plotki o jego obecności w miejscach, które choć nic sąsiadowały bezpośrednio z cmentarzami, to tak były usytuowane, że ciekawscy ludzie zaczęli zachodzić w głowę, jakich nowych upodobań nabrał na skutek swej przemiany stary kupiec. Ezra Weeden, pomimo iż z uwagi na swe podróże morskie mógł szpiegować go

krótko i sporadycznie, kierowany mściwą żądzą zemsty, jakiej brakło praktycznym mieszkańcom miasta i farmerom, posiadał już lepsze niż ktokolwiek inny rozeznanie w sprawach Curwena.

Wszelkie zastanawiające manewry okrętów dziwnego kupca składano na ogół na karb niespokojnych czasów, kiedy to każdy kolonista stawiał zdecydowany opór postanowieniom Aktu Cukrowego, który w znacznym stopniu skrepił ruch statków. Przemysł i oszustwo podatkowe stały się w Narragansett – Bay obowiązującym prawem, a nocny wyładunek nielegalnych towarów – rzeczą zwyczajną. Ale Weeden, który noc w noc posuwał się za galerami lub niewielkimi jedno–żaglowymi stateczkami wymykającymi się cichcem spod magazynów Curwena w dokach na Town Street, szybko nabrał pewności, że to wcale nie uzbrojonych okrętów Jego Królewskiej Mości tak unikają. Przed zmianą, jaka w 1766 roku zaszła w Curwenie, łodzie te w większości załadowane były zakutymi w łańcuchy Murzynami, których przewożono na drugi kraniec zatoki i wysadzano w niewidocznym miejscu wybrzeża, tuż na północ od Pawtuxet; Murzyni byli potem przewożeni w górę zatoki, a następnie lądem do farmy Curwena. Tam umieszczano ich w olbrzymiej, kamiennej przybudówce, która zamiast okien posiadała tylko wąskie szpary. Jednak po roku 1766 cały ten proceder uległ zmianie. Import niewolników nagle ustał i Curwen na jakiś czas zawiesił w ogóle swe nocne rejsy. Następnie, gdzieś wiosną 1767 kupiec jeszcze raz zmienił politykę. Galery ponownie zaczęły wypływać nocami z czarnych, pogrążonych w ciszy doków, ale tym razem spływając na pewną odległość w dół zatoki, zapewne gdzieś w rejon Nanquit Point, gdzie czekały już dziwne, różnie wyglądające, sporych rozmiarów statki, z których odbierano towar. Następnie marynarze Curwena składali ładunek w pewnym umówionym miejscu na wybrzeżu, skąd był transportowany lądem do farmy i ponownie chowany w tej samej kamiennej budowli, gdzie



poprzednio umieszczano Murzynów. Ładunek w całości prawie składał się z dużych, podłużnych i ciężkich skrzyń, niepokojąco przypominających trumny. Weeden cały czas z niesłabnącą uwagą obserwował farmę, nawiedzając ją prawie każdej nocy, i rzadko kiedy trafiał się taki tydzień, aby tam nie był; za wyjątkiem naturalnie zimy, gdy pokrywający ziemię śnieg zdradziłby natychmiast ślady jego stóp. Ale nawet wówczas, podchodził często najbliżej jak to możliwe drogą lub po skutej lodem pobliskiej rzece, by obejrzeć sobie ślady pozostawione przez innych. Ze względu na to, iż często odrywały go od tego zajęcia obowiązki marynarza, wynajął Eleazara Smitha, kompana z tawerny by ten prowadził obserwację podczas jego nieobecności; we dwójkę ponadto byli w stanie skuteczniej rozpuszczać jakieś nadzwyczajne plotki. Jeśli tego nie uczynili, to dlatego tylko, by nie ostrzec ofiary, uniemożliwiając tym sobie dalszego śledztwa. Przed podjęciem kolejnych działań chcieli dowiedzieć się czegoś konkretnego. To, co odkryli, rzeczywiście musiało być wstrząsające i Charles Ward wiele razy wspominał rodzicom, iż boleje nad tym, że Weeden spalił później swoje notatki. Jedyne informacje o ich odkryciach pochodzą z chaotycznie prowadzonego pamiętnika Eleazara Smitha oraz wzmianek innych pamiętnikarzy i autorów listów. Zgodnie z ich opinią, sama farma była tylko skorupą ukrywającą coś, co budziło wstręt i grozę; coś zbyt tajemniczego i niepojętego, by dokładnie określić.

Z notatek tych wynika, że Weeden i Smith bardzo wcześnie nabrali przekonania, iż pod farmą rozciąga się cała sieć tuneli i katakumb, gdzie obok Indianina i jego żony, mieszkał liczny personel. Sam dom był strzelistym reliktem pochodzącym z połowy siedemnastego stulecia, z olbrzymim kominem i okratowanymi oknami o przejrzystych niczym diament szybach, a po północnej stronie, gdzie dach schodził najbliżej ziemi, przylegała doń przybudówka mieszcząca w sobie laboratorium.

Budynek stał z dala od innych, ale sądząc po różnorodnych odgłosach rozlegających się w bardzo dziwnych porach, musiał istnieć jakiś inny, tajny dostęp do środka. Przed 1766 rokiem było to mamrotanie i szepty Murzynów przechodzące w oszalały skowyt, splatające się z pieśniami czy inwokacjami. Z czasem jednak głosy przyjęły szczególny i straszliwy charakter dźwięku przebiegającego całą gamę od basowego, monotonnego przyzwalania po wybuchy oszalałej furii, od grzmiącej rozmowy po błagalny jęk, od pożądlivego dyszenia po krzyki protestu. Dźwięczały tam różne języki znane Curwenowi, lecz jego chrapliwa odpowiedź, wymówka czy groźba, zawsze dawała się wyróżnić.

Wyglądało na to, że w domu przebywa kilkanaście osób; Curwen, jeńcy oraz straż. Dochodziły stamtąd odgłosy w tak dziwnych językach, że ani Weeden ani Smith – otrzaskani przecież w wielu portach ze wszystkimi dialektami świata – nigdy takich nie słyszeli, ani nie byli w stanie przypisać ich jakiegokolwiek nacji. Rozmowy te kojarzyły się z odmawianiem katechizmu, jakby Curwen wymuszał z przerażonych lub zbuntowanych więźniów jakieś wiadomości.

Weeden miał w notesie wiele spisanych dosłownie urywków podsłuchanych rozmów, prowadzonych po angielsku, francusku, i hiszpańsku, czyli w językach które znał, i których bez przerwy używał. Nic z tego niestety nie ocalało. Niemniej Weeden stwierdził kiedyś, że obok kilku całkiem upiornych dialogów, w których mowa była o minionych sprawach różnych rodzin w Providence, większość tych pytań i odpowiedzi, jakie był w stanie zrozumieć, dotyczyło spraw historycznych i naukowych, odnoszących się niekiedy do miejsc i czasów niebywale odległych. Kiedyś na przykład, jakaś wpadająca raz w gniew, raz w przygnębienie osoba przepytywana była po francusku o masakrę " Czarne Księcia, dokonaną w 1370 roku w Limoges, zupełnie jakby istniał jakiś racjonalny powód, dla

którego ten ktoś powinien to znać. Curwen pytał więźnia – bo był to więzień – czy rzezi dokonano w imię Znak Kozła znalezionej na ołtarzu w starożytnej, rzymskiej krypcie pod katedrą i czy Czarnoksiężnik z Sabatu w Haute Yienne wypowiedział Trzy Słowa. Nie otrzymawszy odpowiedzi, inkwizytor chwycił się środków ostatecznych; rozległ się przerażający pisk, a po chwili ciszy szmer i dźwięk uderzenia.

Żadnej z tych rozmów nikt nie obserwował, gdyż okna były zawsze szczelnie zasłonięte. Niemniej, podczas jednej z nich, prowadzonej w nieznanym języku, niezwykle zaskoczył Weedena cień, który pojawił się na tle zasłon; przypominał mu pewną lalkę, jaką widział jesienią 1764 roku w Hallu Harchera, gdzie jakiś człowiek z Germaniown w Pensylwanii dał pomysłowy pokaz, reklamowany jako "Widok Słynnego Miasta Jeruzalem, gdzie przedstawione będzie samo Jeruzalem, Świątynia Salomona, jego Królewski Tron, sławne Wieże, Wzgórza jak też Obraz Męki Naszego Zbawiciela od Ogrójca Oliwnego poczynając aż po Krzyż na Górze Golgocie; rodzaj zręcznego Rzeźbiarstwa, podany ku uciechu Ciekawskich". Incydent z cieniem miał miejsce wtedy właśnie, gdy podsłuchujący podkradł się blisko okna frontowego pokoju, w którym odbywała się rozmowa, czym zaalarmował parę Indian, którzy poszczuli go psami. Po zdarzeniu tym, nigdy już nie dochodziły z domu dźwięki rozmów i Weeden ze Smithem doszli do wniosku, że przeniesiono je w jakieś miejsce pod ziemią.

A że miejsca takie istniały, wskazywało bardzo wiele rzeczy. Gdzieś spod ziemi, tam gdzie na górze nie było żadnej zabudowy, dobiegały od czasu do czasu niewyraźne krzyki i jęki, a na tyłach farmy, w gąszczu porastającym brzeg rzeki, gdzie strome stoki schodziły na dno doliny Pawtuxet, odkryto łukowe, wprawione w masywną, kamienną futrynę dębowe drzwi, które najwidoczniej stanowić musiały wejście do jaskiń

wewnątrz wzgórza. Kiedy i jak zbudowano te katakumby, Weeden nie był w stanie powiedzieć; bez przerwy jednak zwracał uwagę, z jaką łatwością można by tam ściągnąć grupę robotników, którzy nie byłiby widoczni od strony rzeki. A Joseph Curwen faktycznie zlecał swej psiej zbieraninie żeglarzy różnorodne zajęcia! Podczas ogromnych deszczów wiosennych w roku 1769 obaj obserwatorzy pilnie śledzili wznoszące się nad rzeką stoki, by zobaczyć czy przypadkiem nie zostaną wypłukane na światło dzienne jakieś podziemne sekrety; wysiłki ich – wynagrodzone zostały odkryciem w miejscach, gdzie woda wyłobiła głębokie koryta, mnóstwa kości ludzkich i zwierzęcych. Oczywiście istniało inne, o wiele prostsze wyjaśnienie tego zjawiska: kości znajdowały się zarówno na tyłach magazynu farmy, jak i na terenie starych cmentarzy indiańskich. Weeden i Smith jednak wyciągnęli swoje wnioski.

W styczniu 1770 roku, kiedy Weeden i Smith wciąż jeszcze zastanawiali się bez skutku, co myśleć lub co robić z całą tą oszałamiającą sprawą, nastąpiło wydarzenie z "Fortalezą". Celników strasznie rozwścieczyło spalenie w Newport latem poprzedniego roku niewielkiego statku strażników portu "Liberty". W odpowiedzi ich flota dowodzona przez admirała Wallace'a niezwykle wzmogła czujność, koncentrując swą uwagę na obcych statkach; i przy tej właśnie okazji uzbrojony szkuner Jego Królewskiej Mości "Cygnet" pod dowództwem kapitana Harry'ego Leshe'a pochwycił pewnego wczesnego ranka, po krótkim pościgu płaskodenną "Fortalezę" z Barcelony w Hiszpanii, dowodzoną przez kapitana Manuela Arrudę, zmierzającą, zgodnie z dziennikiem okrętowym z Grand Cairo w Kgipcie do Providence. Szukając kontrabandy, celnicy natknęli się na zdumiewające cargo składające się wyłącznie z egipskich mumii przeznaczonych dla "Żeglarza A.B.C." który – kapitanowi Arrudzie honor nie pozwalał wyjawiać jego prawdziwego nazwiska – towar swój miał

odebrać na galery tuż na Nanquit Point. Sąd Wiceadmiralicji w Newport, niewiele miał tu do roboty, skoro towar, choć z jednej strony nie posiadał charakteru kontrabandy, to jednak wwożony był w tajemnicy przed prawem. W wyniku kompromisu więc, polecono poborcy Robinsonowi zwolnić statek, zabraniając jednocześnie zawijania do któregośkolwiek portu na wodach Rhode Island. Krążyły potem pogłoski, że widziano go przy nadbrzeżach Bostońskich, choć oficjalnie nigdy tam nie zawinął.

To niezwykle wydarzenie zyskało w Providence spory rozgłos i nikt już nie wątpił, że istnieje związek między owym ładunkiem mumii, a złowieszczym Josephem Curwenem. Jego egzotyczne badania, import zadziwiających substancji chemicznych oraz pociąg do cmentarzy były powszechnie znane i nie trzeba było szczególnej wyobraźni, by połączyć jego osobę z tym potwornym ładunkiem, który dla kogokolwiek innego w mieście nie byłby nawet do pomyślenia. Sam Curwen, jakby wybiegając tym podejrzeniom naprzeciw, przy wielu okazjach wspominał o znajdujących w mumiach składnikach balsamujących i ich wartościach chemicznych, myśląc zapewne, że załatwi tym sprawę. Weeden i Smith oczywiście nie wątpili ani przez chwilę, jak się rzecz miała naprawdę i dawali upust najdzikszym teoriom dotyczącym Curwena i jego potwornych zajęć.

Kolejna wiosna, podobnie jak poprzednia, przyniosła ulewne deszcze; i ponownie czujnie obserwowali brzeg rzeki za farmą Curwena. Znów zostały wymyte spore partie brzegu i tym razem też pokazała się pewna ilość kości. Nie odsłoniły się jednak żadne podziemne komory i korytarze. Ale jednak z wioski Pawtuxet, leżącej około mili w dół rzeki, tam gdzie woda spływała wodospadami po skalnych tarasach by dalej znów podjąć swój spokojny bieg, docierać zaczęły dziwne pogłoski. Znajdowały się tam osobliwe, stare chaty, pnące się w górę stoku, od stojącego we wsi mostu i

zakotwiczonych w sennych dokach kutrów rybackich. Stamtąd właśnie zaczęły dochodzić niejasne doniesienia o rzeczach, które spływają z falami rzeki, ukazując się na chwilę ludzkim oczom, kiedy przeskakiwały nad wodospadami. Naturalnie, Pawtuxet jest długą rzeką, przepływa przez wiele zamieszkałych rejonów, gdzie występują cmentarze i padają ulewne, wiosenne deszcze; ale okolicznym rybakom mieszkającym w pobliżu mostu bardzo nie podobał się szalony sposób, w jaki spoglądało na nich coś z tych rzeczy, kiedy skakało w dół, w spokojną wodę; straszna też była połowa zaledwie czegoś co płakało rozdzierająco – jakkolwiek tego stan nie wskazywał na to, by w ogóle mogło płakać. Plotki te sprawiły, że Smith – Weeden był akurat na morzu – pośpieszył na brzeg rzeki za farmę. Natknął się na wyraźne ślady korytarza wiodącego w głąb stoku; niewielka lawina zasypała go potężnym zwałem ziemi wymieszanej z krzakami, które zsunęły się z góry. Smith zaczął nawet wstępnie kopać, ale z braku sukcesu zaniechał pracy – a raczej zaniechał jej powodowany lękiem przed możliwym sukcesem. Ciekawe, jak potoczyłyby się losy, gdyby był wówczas na brzegu uparty i przepełniony żądzą zemsty Weeden.

Jesienią 1770 roku Weeden uznał, że już najwyższy czas by rozgłosić o swych odkryciach; zebrał bowiem ogromną ilość łączących się ze sobą faktów, a ponadto miał naocznego świadka w osobie Smitha, który zaświadczy, iż nie są to tylko czcze wymysły spowodowane zazdrością i żądzą zemsty. Na pierwszego powiernika wybrał kapitana Jamesa Mathewsona z "Enterprise", który z jednej strony znał Weedena na tyle dobrze, by nie wątpić w jego szczerą intencję, a z drugiej posiadał wystarczające wpływy w mieście, by wysłuchano go z uwagą. Spotkanie odbyło się w górnej sali Sabin's Tavern znajdującej się w pobliżu doków i uczestniczył w nim również Smith, który potwierdził każdy szczegół relacji Weedena. Na kapitanie Mathewsonie wywarło to kolosalne wrażenie; jak każdy mieszkaniec miasta, on również podejrzewał Josepha Curwena o najgorsze i takie potwierdzenie jego przeczuć – poparte dowodami – wystarczyło mu w zupełności. Pod koniec narady, niezwykle poważny i zaseponiony Mathewson obiecał obu młodzieńcom absolutną dyskrecję. Przekaze, powiedział, informacje najbardziej świątym i wiarygodnym obywatelom Providence – sądzi, że będzie to około dziesięciu osób – i zasięgnie ich rady. Zgadzał się, że dyskrecja jest niezbędna; w sprawę nie wolno bowiem mieszać ani konstabli i milicji miejskiej, ani też – przede wszystkim – łatwo zapalnego tłumu. Nie wolno dopuścić, by powtórzyły się znane już wypadki z czasów przerażającej paniki w Salem, niecałe sto lat wcześniej, w wyniku których przybył do miasta Curwen.' Mathewson sądził, że najwłaściwszymi osobami, do których należy się zwrócić, to

doktor Benjamin West, którego broszura o ostatnim przejściu Wenus świadczy, że jest wybitnym naukowcem i myślicielem; wielebny James Manning, dyrektor Szkoły, który właśnie przybył z Warren i chwilowo zamieszkał w nowym budynku szkolnym na King Street, oczekując na zakończenie budowy kolejnych pomieszczeń uczelni na wzgórzu, powyżej Presbyterian Lane; były gubernator Stephen Hopkins, człowiek o niezwykle rozległych horyzontach umysłowych, zasiadający w Towarzystwie Filozoficznym w Newport; John Carter, wydawca "Gazette"; czterej bracia Brownowie – John, Joseph, Nicholas i Moses – znani miejscowi potentaci, z których Joseph był również naukowcem –amatorem; stary doktor Jabez Bowen, erudyta, posiadający zarazem wiadomości z pierwszej ręki o dziwacznych zakupach Curwena, oraz kapitan Abraham Whipple, dowódca statku kaperskiego, człowiek o legendarnej odwadze i energii, który z całą pewnością pokieruje ewentualną akcją. Ludzie ci – jeśli wyrażą zgodę – powinni spotkać się i podjąć wspólną decyzję, a przede wszystkim ustalić, czy powiadamiać o wszystkim Gubernatora Josepha Wantona w Newport.

Misja kapitana Mathewsona przyniosła skutki przechodzące najśmielsze oczekiwania; bo jakkolwiek kilka osób wyraziło pewne wątpliwości, co do upiornych wątków opowieści Weedena, to wszyscy byli zgodni, że należy podjąć tajną i zorganizowaną akcję. Było jasne, iż Curwen stanowi jakieś mgliste, ale realne zagrożenie dla dobrobytu miasta i Kolonii, i dlatego za wszelką cenę musi zostać usunięty. Pod koniec grudnia 1770 roku zespół wybitnych obywateli Providence zebrał się w domu Stephena Hopkinsa, by poczynić wstępne ustalenia.

Najpierw dokładnie przestudiowano przekazane kapitanowi Mathewsonowi przez Weedena zapiski, a następnie obaj młodzi złożyli szczegółowe sprawozdanie. Pod koniec spotkania, zebranych ogarnął lei niepokój, górę jednak wzięła ponura determinacja, którą najlepiej wyraził



znany z rubaszości i bezbożności kapitan Whipple. Nie może powiadomić gubernatora, gdyż potrzebne tu były działania daleko wykraczające poza prawo. Curwen, dysponujący ukrytą potęgą o nieznanym możliwościach, nie był człowiekiem, któremu można bezpiecznie zaproponować opuszczenie miasta. Mogły bowiem z tego wyniknąć tylko jakieś groźne akcje odwetowe, a nawet gdyby ów złowrogi człowiek zastosował się do żądania i miasto opuścił, stanowiłoby to wyłącznie przesunięcie nieczystego brzemienia w jakieś inne miejsce. Były to czasy bezprawia i ludzie, którzy przez całe lata kpili sobie z oddziałów zbrojnych celników królewskich, nie mieli w zwyczaju cofać się przed czymś, co nakazywał im obowiązek. Liczna grupa zaprawionych w morskich zmaganiach mężczyzn musi najechać Curwena w jego farmie Pawtuxet i dać mu ostatnią szansę wyjaśnień. Jeśli się okaże, że jest szaleńcem zabawiającym się wydawaniem wrzasków i prowadzeniem ze sobą, różnymi głosami wyimaginowanych rozmów, zostanie po prostu odizolowany. Jeśli natomiast wyjdzie na jaw coś poważniejszego, a istnienie czegokolwiek ohydnych w podziemiach okaże się prawdą, on sam – i wszyscy, którzy z nim są muszą umrzeć. Należy uczynić to bez rozgłosu i nawet wdowa po nim, ani jej ojciec, nie muszą znać prawdy.

Wciąż jeszcze dyskutowano kwestię tych radykalnych środków, kiedy w mieście wydarzył się tak straszliwy i niewytłumaczalny incydent, że przez jakiś czas w całej okolicy nie mówiono o niczym innym. Pewnej styczniowej, księżycowej nocy, nad skutą lodem rzeką i pokrytymi grubą warstwą śniegu wzgórzami, rozniosły się wstrząsające wrzaski i twarze wszystkich wyrwanych ze snu mieszkańców miasta przyłgnęły do szyb w oknach; a mieszkańcy Weybosset Point ujrzeli ogromnego, białego stwora miotającego się szaleńczo na niewielkim placu przed budynkiem z Głową Turka. Z dala dobiegało ujadanie psów, lecz wkrótce ucichło nim

jeszcze w przebudzonym miasteczku; wszczął się ruch i hałas. Uzbrojeni w muszkiety i latarnie mężczyźni wybiegli na dwór by zobaczyć, co się dzieje; poszukiwania jednak nie dały rezultatów. Następnego ranka, w pobliżu południowych falochronów Great Bridge – gdzie Długi Dok ciągnie się aż do destylarni Abbotta – odkryto w okowach lodu gigantyczne, muskularne i całkiem nagie ciało; tożsamość tego stwora długo jeszcze była tematem niekończących się domysłów i szeptaniny. Jego stężała twarz, o wysadzonych przerażeniem z orbit oczach, poruszyła każdą strunę w pamięci leciwych starców. Wstrząśnięci, przepełnieni ze zdumieniem i lękiem, pomrukiwali skrycie; w tych sztywnych, obrzydliwych rysach dostrzegli bowiem zadziwiające podobieństwo do kogoś, kto umarł pełne pięćdziesiąt lat wcześniej.

Ezra Weeden, świadek odnalezienia zwłok, mając w pamięci szczekanie psów ostatniej nocy, ruszył wzdłuż Weybosset Street w kierunku Muddy Dock Bridge, skąd właśnie dobiegało owo ujadanie zwierząt. Żywił osobliwą nadzieję i nie był wcale zaskoczony, gdy dochodząc do końca zasiedlonych terenów – tam, gdzie ulica wnikała w Pawtuxet Road – natknął się na niezwykle intrygujące ślady odcisnięte w śniegu. Goły gigant ścigany był przez psy i wielu mężczyzn; odkrył też bez trudu powrotny trop ogarów i ich właścicieli. Najwyraźniej zaprzestali pościgu, kiedy zbliżyli się zbyt blisko miasta. Weeden, uśmiechając się ponuro, ruszył niedbałym krokiem tym śladem, który doprowadził go – o czym z góry zresztą dobrze wiedział – prosto na farmę Pawtuxet Josepha Curwena. Wiele dałby za to, by podwórze było mniej zdeptane. W pełnym świetle dnia jednak nie odważył się wykazywać zbyt dużego zainteresowania tym miejscem. Doktor Bowen, do którego niezwłocznie udał się z raportem, dokonał oględzin dziwacznych zwłok. Dostrzegł w nich anomalie, które kompletnie zbiły go z tropu. Przewód pokarmowy olbrzymiego mężczyzny sprawiał wrażenie z

dawien dawna niefunkcjonującego, skóra była szorstka i z trudnych do określenia powodów, posiadała mało spoistą strukturę tkanki. Pod wrażeniem tego, co starcy szeptali o podobieństwie zwłok do dawno zmarłego kowala Daniela Greena – którego prawnuk Aaron Hoppin był nadzorcą załadunku u Curwena Weeden rozpoczął doraźne poszukiwania grobu Greena. Nocą grupa dziesięciu osób udała się na Cmentarz Północny, naprzeciwko Herrender's Lane i otworzyła grób. Jak się spodziewano, był pusty.

W międzyczasie załatwiono sprawę z przewoźnikami poczty i zaczęto przechwytywać korespondencję Curwena; na krótko przed incydem z nagim ciałem, przejęto list od niejakiego Jedediaha Orne'a z Salem, lektura tego listu wtajemniczonym obywatelom dała wiele do myślenia. Jego część, skopiowana i przechowywana w prywatnym archiwum, skąd wydobyl ją Charles Ward, brzmiała jak następuje:

Kontent jestem, że kontynuujesz Dawne Sprawy na swój Sposób, i nie imaginuję sobie, byś lepiej to czynił u p. Hutchinsona w Salem – Yillage. Z pewnością w tym co wskrzył H., z tego cośmy zebrać tylko częściowo zdolili, nie było Niczego poza najżywszym Okropicństwem. To coś mi przysłał, nie Skutkuje, bo albo rzecz jaka się zatraciła albo Słowa nie były właściwe, w moim Wymówieniu lub twym skopiowaniu. Bez nich jestem zgubiony. Nie znam na tyle arkanów Chimji by udać się za Borellusem i samżem się poplątał w VII Xiędze Neocronomicon, co mi ją poleciłeś. Lecz pragnę cię przestrzec byś Uważał kogo wywołujesz, bo Świadom jesteś co p. Mather pisze w Marginaliach do \_\_\_\_\_ i sam możesz osądzić jak prawdziwie Ta Straszliwa rzecz jest przedstawiona. Mówię raz jeszcze, nie wywołuj Niczego, czego nie poskromisz; przez co rozumiem, że w odwrotności To może wezwać coś przeciw tobie, a przeciw czemu twe Najpotężniejsze Środki okażą się bezradne. Proś Mniejsze, żeby Większe

nie żądało Odpowiedzi i nie zapanowało mocniej niż ty. Zatrwożyłem się na wieść, iż wiesz, co Ben Zaristnatmik trzyma w Hebanowej Skrzyni, gdyż wiem, kto ci to powiedział. i ponownie proszę, pisz do mnie jako do Jedediaha, nie Simona. W tym Społeczeństwie Człowiek nie może żyć długo, a znasz mój Plan by wrócić jako swój Syn. Pragnę dowiedzieć się, co Czarzyciel dowiedział się od Sylvanusa Cocidkusa w Krypcie pod rzymskim murem i będę zobligowany za użyczenie Rkps, o którym mówiłeś".

Kolejny, niepodpisany list z Filadelfii nasuwał podobne myśli, zwłaszcza w tym fragmencie:

“Zastosuję się do tego, coś powiedział, bym Księgi przesyłał wyłącznie twymi Okrętami, ale nie zawsze wiem, kiedy się ich spodziewać. W omawianej Kwestii, potrzebuję tylko jednej jeszcze rzeczy; ale zapewniam, iż dobrze cię pojmuję. Informujesz mnie, że aby Efekt był kompletny, nie może braknąć żadnej Części, ale nawet nie wiesz, jak trudno być pewnym. To wielki Hazard i Brzemie zabrać całą skrzynię. A w mieście (tj. św. Piotra, św. Pawła, św. Maryi lub Kościele Chrystusa) jest trudno to wykonać. Ale wiem, ile Defektów było w jednym wskrzeszeniu zeszłego października i wiem, ile Okazów musiałeś użyć, nim trafiłeś na stosowny Tryb A.D. 1766; zatem we wszelkich Kwestiach będziesz moim przewodnikiem. Z niecierpliwością wyglądam twego Brygu i wypytuję codziennie na Nadbrzeżu p. Biddle'a"

Trzeci podejrzany list pisany był w nieznanym języku; nawet nieznanym alfabetem. W znalezionym przez Charlesa Warda pamiętniku Smitha, znajduje się niezdarnie skopiowana jedna, niezmiernie często powtarzająca się kombinacja liter i znawcy z Uniwersytetu Browna oświadczyli, że jakkolwiek nie potrafią określić znaczenia samego słowa, to jest ono napisane alfabetem amharskim, czyli abisyńskim. Żaden z tych listów nie

dotarł do Curwena, a nieoczekiwane zniknięcie Jedediaha Orne'a z Salem – jak zarejestrowano wkrótce potem świadczyć może, iż pewne osoby z Providence podjęły cichcem odpowiednie kroki. Również Pensylwańskie Towarzystwo Naukowe posiada otrzymany od doktora Shippena ciekawy list, odnoszący się do obecności pewnej paskudnej osoby w Filadelfii. Decyzja o podjęciu bardziej drastycznych kroków – plan odsłonięcia przez Weedena faktów – zapadła na tajnym zgromadzeniu zaprzysiężonych, wypróbowanych żeglarzy i godnych zaufania dowódców statków, które odbyło się nocą w magazynach Browna. Zwolna, ale dokładnie krystalizował się plan batalii, która miała zetrzeć z powierzchni ziemi wszelki ślad niezdrowych tajemnic Josepha Curwena.

Mimo nadzwyczajnych środków ostrożności, Curwen najwyraźniej przeczuwał, że coś się święci; i sprawiał wrażenie bardzo tym zaniepokojonego. Jego pojazd bez przerwy widywano w mieście i na Pawtuxet Road, a jego wymuszona towarzyskość, którą ostatnimi czasy tak starał się zwalczyć uprzedzenia do swojej osoby, stopniowo gasła. Najbliżsi jego sąsiedzi – Fennerowie – pewnej nocy ujrzeli olbrzymi snop bijącego w niebo światła, wydostającego się z jakiejś szczeliny w dachu tajemniczej, kamiennej budowli o wysoko umieszczonych i niezmiernie wąskich oknach; o zdarzeniu tym niezwłocznie donieśli Johnowi Brownowi w Providence. Pan Brown, który praktycznie stanął na czele grupy zdecydowanej zniszczyć Curwena, poinformował Fennerów, że niebawem podjęte zostaną kroki. Uważał bowiem, że należy ich częściowo wtajemniczyć w plan, skoro i tak będą świadkami najazdu na farmę. Tłumacząc swe racje wyjaśnił, że Curwen jest szpiegiem oficerów celnych w Newport, przeciw którym – jawnie czy skrycie – kierowała się pięść każdego spedytora, kupca czy farmera w Providence. Bez względu na to, czy uwierzyli w to czy też nie, Fennerowie, będący bezpośrednimi

świadkami wielu tajemniczych zjawisk na farmie Curwena, wiązali każde zło z człowiekiem o tak dziwnych obyczajach. Dla nich pan Brown spełniał tylko swój obowiązek, toteż regularnie donosili mu o każdym wydarzeniu, jakie miało miejsce na farmie Pawtuxet.

Prawdopodobieństwo, że Curwen ma się na baczności i ima jakichś nadzwyczajnych środków obrony – mógł to sugerować dziwny snop światła – przyśpieszyło ostatecznie obmyślaną w szczegółach akcję zdesperowanych obywateli. Zgodnie z pamiętnikiem Smitha, kompania złożona blisko ze stu mężczyzn spotkała się w piątek, dwunastego kwietnia 1771 roku o dziesiątej wieczorem w wielkiej sali Thurstn's Tavern, mieszczącej się w Weybosset Point po drugiej stronie Mostu, pod godłem Żółtego Lwa. Spośród najbardziej znaczących osób, obok przywódcy Johna Browna, znaleźli się tam doktor Bowen z walizką zawierającą instrumenty chirurgiczne, Prezydent Manning bez swej znanej powszechnie ogromnej peruki (największej w Koloniach), Gubernator Hopkins przybrany w czarny płaszcz i towarzyszący mu jego brat Kseh, żeglarz, którego – za zgodą pozostałych – wtajemniczył we wszystko w ostatniej chwili, John Carter oraz kapitanowie Mathewson i Whipple, którzy mieli poprowadzić grupę. Najpierw przywódcy ci odbyli na osobności, w tylnym pomieszczeniu, konferencję, a następnie kapitan Whipple przeszedł do sali ogólnej, gdzie polecił zgromadzonym marynarzom raz jeszcze złożyć przysięgę i wydał ostateczne instrukcje. Eleazer Smith znajdował się wraz z dowództwem na zapleczu, oczekując przybycia Ezry Weedena, który śledził Curwena i miał zawiadomić o jego wyjeździe na farmę.

Około dwudziestej drugiej trzydzieści na Great Brigde rozległ się ciężki turkot, a następnie dźwięk pędzącego ulicą pojazdu; o tej godzinie nie było wątpliwości, że to właśnie zgubny mężczyzna udaje się na swe ostateczne,

nocne, bezbożne gusła i nie było potrzeby czekać na potwierdzenie Weedena. Chwilę później, kiedy oddalający się pojazd zaklekotał lekko na Muddy Dock Bridge, pojawił się osobiście Ezra i najeźdźcy, trzymając na ramionach rusznice, śrutówki oraz wielkie harpuny, które ze sobą zabrali, wylegli na ulicę; w ciszy i wojskowym orydyku. W grupie byli Weeden i Smith, a z osób naradzających się: kapitan Whipple – dowódca, kapitan Eseh Hopkins, John Carter, Prezydent Manning, kapitan Mathewson, doktor Bowen i Moses Brown, który nie był obecny na ostatniej odprawie w tawernie i zjawił się dopiero około godziny dwudziestej trzeciej. Wszyscy oni, wraz z setką żeglarzy – wylęknieni ale zawzięci – bez chwili zwłoki rozpoczęli długi marsz; minęli Muddy Dock i ruszyli lekko wznoszącą się Broad Street w kierunku Pawtuxet Road. Tuż za kościołem Elder Snow's część ludzi zatrzymała się by jeszcze raz rzucić okiem na rozciągające się pod wczesnowiosennymi gwiazdami Providence. Wieże i dachy rosły ciemnymi kształtami, z zatoki na północ od Mostu nadciągała delikatnymi podmuchami słona bryza, a na niebie, nad wyniosłym wzgórzem za wodą, którego porośnięty drzewami grzbiet łamany był linią dachów nie wykończonych jeszcze Szkoły, płynęła Wega. U stóp wzgórza, po obu stronach wąskich alei spało stare miasto; Stare Providence, dla którego bezpieczeństwa i równowagi psychicznej mieszkańców, miało zostać starte z powierzchni ziemi owo potworne, kolosalne bluźnierstwo.

Po pięciu kwadransach najeźdźcy dotarli – jak było wcześniej ustalone – do farmy Fennerów, gdzie wysłuchali najnowszych komunikatów o ofierze. Curwen przebywał już w swej farmie ponad pół godziny. Niebawem po jego przybyciu, pojawiło się dziwne, bijące w niebo światło, choć okna farmy pozostały ciemne. W trakcie tej relacji, po południowej stronie pojawił się kolejny ogromny blask i ludzie dopiero teraz uświadomili sobie w pełni, jak blisko są miejsca nienaturalnych, wzbudzających grozę cudów.



Kapitan Whipple podzielił uczestników na trzy zespoły; pierwszy, złożony z dwudziestu mężczyzn pod komendą Eleazera Smitha miał rozstawić się wzdłuż brzegu rzeki i strzec miejsc, gdzie wylądować mogły posiłki Curwena, a do bezpośredniej akcji wkroczyć dopiero na sygnał dany przez posłańca, drugi, również dwudziestoosobowy pod dowództwem kapitana Eseha Hopkinsa miał przekraść się w dół, do doliny rzeki na tyłach farmy i przy pomocy siekier lub armatniego prochu wyważyć dębowe drzwi na wysokim, stromym brzegu. Trzecia grupa – podzielona z kolei na trzy części ruszyła do samej farmy i jej zabudowań. Pierwszą część, kapitan Mathewson miał poprowadzić do tajemniczej, kamiennej budowli z wysokimi, wąskimi oknami, drugą – do głównego budynku farmy wiódł osobiście kapitan Whipple, a trzecia pozostała w obwodzie, otaczając kołem cały teren farmy i czekając na sygnał włączenia się do ataku.

Grupa rzeczna, na pojedynczy, ostry gwizd miała wyłamać drzwi od strony wzgórza i chwycić wszystko, co się ze środka wyłoni. Na dwa gwizdnięcia – przekroczyć próg i stawić czoła nieprzyjacielowi lub też dołączyć do reszty atakującego kontyngentu. Grupie przy kamiennej budowli wyznaczono zadanie podobne: sforsować wejście, ruszyć którymkolwiek z korytarzy, jaki tam znajdą i dołączyć do reszty lub też podjąć jakieś inne działania, w zależności od sytuacji; co wydawało się najbardziej prawdopodobne. Trzeci sygnał – alarmowy, w postaci trzech gwizdnięć wzywał grupę rezerwową, otaczającą teren farmy. Złożona z dwudziestu mężczyzn, podzielić się miała na dwie dziesiątki i równocześnie zaatakować nieznane głębie przez farmę i przez kamienną budowlę. Wiara kapitana Whipple'a w istnienie katakumb była niezachwiana i oficer nie żywił żadnych wątpliwości ustalając plan batalii. Miał ze sobą świstawkę o donośnym, przenikliwym dźwięku i nie obawiał się, by ktokolwiek pomylił sygnały czy ich nie dosłyszał. Problemem jedynie była grupa rezerwowa,

rozstawiona wzdłuż brzegu rzeki i znajdująca się na samej granicy zasięgu dźwięku. Dla niej wyznaczono specjalnego gońca. Moses Brown i John Carter udali się z kapitanem Hopkinsem na stok spadający do rzeki, a Prezydent Manning, przydzielony kapitanowi Mathewsonowi, ruszył do kamiennej budowli. Doktor Bowen z Ezrą Weedenem włączeni zostali do grupy kapitana Whipple'a, szturmującej samą farmę. Atak miał ruszyć w chwili, kiedy posłaniec od kapitana Hopkinsa dotrze do Whipple'a z wiadomością, że partia rzeczna jest gotowa. Dowódca miał dać wtedy głośny, pojedynczy sygnał, a wysunięte grupy przypuścić jednoczesny atak w trzech punktach. Krótco przed pierwszą w nocy, trzy oddziały opuściły farmę Fennerów; jeden by strzec brzegu rzeki, drugi w poszukiwaniu doliny i drzwi w stoku wzgórza oraz trzeci, podzielony, prosto do budynków samej farmy.

Hleazer Smith dowodzący grupą strzegącą brzegów rzeki, informuje w pamiętniku o zajęciu wyznaczonej pozycji i długim oczekiwaniu na urwistym cyplu przy zatoce. Ciszę przerwał raz odległy gwizd, a w jakiś czas potem dziwaczna mieszanina stłumionego ryku i wrzawy dziesiątków gardeł oraz huk eksplozji prochu – wszystkie dochodzące z tego samego mniej więcej miejsca. Później jednemu z mężczyzn wydało się, że słyszy wystrzał z karabinu, a sam Smith twierdzi, że dobiegło go jakby pulsowanie tytaniczno grzmiących słów rozbrzmiewających w górze, w powietrzu. Tuż przed świtem przybył półprzytomny posłaniec o dzikim wyrazie oczu i w ubraniu przesiąkniętym odrażającym, nieznanym odorem. Poleciał natychmiast rozdzielić się i rozejść w ciszy do domów; o tym, kim był Joseph Curwen i co wydarzyło się tej nocy, należało całkowicie zapomnieć. Sam wygląd posłańca mówił dużo więcej, niż chłopak przekazał. Był śmiałym, znanym przez wszystkich żeglarzem, lecz wypadki ostatniej nocy wydarły część jego duszy, a raczej wypaliły w niej ślad, który pozostać miał

już na zawsze. To samo dotyczyło zresztą pozostałych uczestników nocnego rajdu, którzy bezpośrednio trafili w tą strefę grozy. Wszyscy utracili coś lub coś w nich weszło, czego nie sposób ująć ani opisać. Zobaczyli, usłyszeli lub poczuli coś, co nie pochodziło z tego świata, i co towarzyszyć już im miało do końca ich dni. Nigdy również nie puścili na ten temat pary z ust; nawet dla najprostszych instynktów śmiertelników istnieją nieprzekraczalne granice. Od samotnego posłańca biła wzbudzająca grozę i strach aura, która ludziom z grupy rzecznej замуrowała wprost usta. Z wydarzeń tych nie przetrwały żadne relacje i pamiętnik Eleazera Smitha jest jedynym pisanym świadectwem wyprawy, która wyruszyła' spod godła Złotego Lwa pod Gwiazdami.

A jednak Charles Ward natrafił w pewnej korespondencji Fennerów, którą odkrył w New London, gdzie jak wiedział – mieszkała boczna linia tego rodu, na listy rzucające wiele światła na te wydarzenia. Z listów wynika, iż Fennerowie, z których domu widać było w oddali zgubną farmę, obserwowali ruszającą kolumnę najeźdźców, potem bardzo wyraźnie słyszeli wściekłe ujadanie psów Curwena, a po nim pierwszy, przeraźliwy ryk, który przyśpieszył atak. Po tym pierwszym ryku pojawił się znów snop bijącego z kamiennej budowli światła, a zaraz potem – po drugim sygnale wzywającym do frontalnego ataku – rozległ się przytłumiony świergot wystrzałów muszkietowych i przerażający, grzmiący krzyk, który autor listu, Lukę Fenner, określił jako: Waaaahrrrr – R'ivaahrrrr. Nie sposób jednak oddać słowami tego dźwięku i młody Fenner wspomina tylko, że na ów krzyk, jego matka zemdląca. Powtórzył się on później ciszej, w akompaniamencie odgłosów kanonady; jednocześnie znad rzeki doszedł huk eksplozji. Po upływie godziny zaczęły szaleńczo ujadać psy, a słabe dudnienie dobiegające spod ziemi sprawiło, iż drżały stojące na kominku świeczniki. W powietrzu pojawił się ostry zapach siarki i Luke Fenner

utrzymuje, że jego ojciec posłyszał trzeci alarmowy gwizd, jakkolwiek nikt inny z domowników tego nie potwierdził. Ponownie dobiegły stłumione odległością dźwięki palby muszkietów, a po niej głęboki wrzask, już nie tak przeszywający, lecz jeszcze obrzydliwszy niż poprzednie; rodzaj gardłowego, odrażającego, mlaszczącego kaszlu czy bulgotu, który bardziej porażał ciągłością i znaczeniem psychologicznym niż rzeczywistymi walorami dźwiękowymi.

Wtedy też, z miejsca gdzie znajdowała się farma Curwena, wyprysnął w niebo płomienisty stwór, a powietrze przeszył zmieszany krzyk przerażonych i doprowadzonych zarazem do wściekłości ludzi. Rozbłysły i zagrzechotały muszkiety, a płomienny stwór opadł na ziemię. Przy akompaniamencie przeraźliwych wrzasków ludzi pojawił się kolejny, taki sam potwór. Fenner napisał, iż zdołał rozróżnić kilka gorączkowych słów: "Wszechmocny Boże, miej w opiece swe owieczki!". Rozległo się więcej strzałów i płomienisty stwór runął w dół. Na trzy mniej więcej kwadransy zapadła cisza i wtedy to mały Arthur Fenner, brat Luke'a, zawołał że widzi "czerwoną mgłę" pnącą się z przeklętej farmy do gwiazd. Nikt poza chłopcem nie dostrzegł jej, ale Lukę pisze o intrygującym zbiegu okoliczności i zbieżności w czasie; w tej samej bowiem chwili, trzy znajdujące się w pokoju koty wpadły w straszliwą panikę, jeżąc sierść i prężąc w łuk grzbiety.

Pięć minut później nadszedł silny podmuch przenikliwego chłodu, a powietrze wypełnił tak nieznośny smród, że tylko odurzająca, słona woń nadbiegającej od pobliskiego morza bryzy sprawiła, że nie dotarł on do grupy na brzegu rzeki czy też czuwających akurat tej nocy mieszkańców wsi Pawtuxet. Fetor budził przejmujący, choć nieokreślony lęk, jaki wywołują zazwyczaj grobowce lub kostnice i nikt z Fennerów nigdy jeszcze takiego smrodu nie spotkał. Chwilę później zabrzmiał okropny głos,

którego nieszczęśni słuchacze nie byli w stanie nigdy zapomnieć. Grzmiał on w niebie jak wyrok i drżały szyby w oknach, kiedy zamierały jego echa. Był on głęboki i muzyczny; potężny niczym mosiężne organy i zły jak zakazane księgi Arabów. Nikt nie potrafił powiedzieć, co znaczył, gdyż przemawiał w nieznanym języku, ale w swym liście Lukę Fenner przedstawił ową demoniczną inwokację:

“DEESMEES – JESHET – BONEDOSEFEDUYEMA – ENT-  
TEMOOS”.

I aż do roku 1919 nikt nie potrafił znaleźć w tej surowej transkrypcji analogii do czegokolwiek, co istniało w pamięci śmiertelników. Dopiero Charles Ward – poblady z nagła – rozpoznał w niej to, co Mirandola z drżeniem określił, jako ostateczną groźbę pośród inkantacji czarnej magii.

Jakby w odpowiedzi na ów złowieszczy cud, z farmy Curwena buchnął niewątpliwie ludzki krzyk, a raczej zmieszany chór wrzasków, po czym nieznaną smród zwielokrotniał, jakby mieszając się z innym, równie nieznośnym fetorem. Donośne wycie przeszło z kolei w przeciągłe paroksyzmy to opadającego to znów wznoszącego się zawodzenia. Chwilami stawało się ono prawie artykułowane, lecz nikt nie potrafił rozróżnić słów; na koniec był to już tylko rodzaj diabolicznego, histerycznego śmiechu. I wtedy z ludzkich gardeł wydarł się krzyk ostatecznej zgrozy i czystego szaleństwa; krzyk niezwykle donośny i wyraźny, mimo głębin, z jakich dochodził. Po nim zapadła cisza. I ciemność. Z nad farmy, uniosły się ku zamazanym gwiazdom kłęby gryzącego dymu, ale nie widać było blasku płomieni. Następnego dnia okazało się, że wszystkie budynki są całe i nieuszkodzone.

Tuż przed świtem dwójka przerażonych posłańców w przepojonych okropnym smrodem ubraniach zastukała do drzwi Fennerów i poprosili o

beczułkę rumu, za którą zresztą hojnie zapłaciła. Jeden z nich oświadczył kategorycznie, że sprawa Josepha Curwena jest zakończona, a o wypadkach ostatniej nocy nie wolno nigdy wspominać. Głos, jakim ten rozkaz był wydany oraz wyraz twarzy posłańca sprawiły, że to aroganckie polecenie przyjęte zostało bez sprzeciwu. Tak się też i stało; jedyną relacją z wydarzeń tej okropnej nocy są ukradkowo pisane listy Luke'a Fennera, w których autor domaga się, by adresaci – krewni z Connecticut – niezwłocznie je spalili. Dzięki temu, że rodzina nie zastosowała się do prośby, historia tej straszliwej nocy nie odeszła w niepamięć. W wyniku długotrwałych i uporczywych poszukiwań w Pawtuxet, Charles Ward wydobył na światło dzienne jeszcze jeden szczegół tej sprawy. Stary Charles Slocum powiedział, iż jego dziadek słyszał dziwne pogłoski o zniekształconych zwłokach, znalezionych na polu w tydzień po tym, jak rozgłoszono wieść o śmierci Josepha Curwena. Wiele się mówiło, że zwłoki te, na ile dawało się wywnioskować, z ich spalonych i zdeformowanych kształtów, nie należały ani do człowieka, ani do żadnego ze znanych mieszkańcom Pawtuxet zwierząt.

Żaden z uczestników straszliwego najazdu nie puścił na jego temat pary z ust i nieliczne informacje pochodzą od ludzi z grupy zewnętrznej, która wkroczyć miała do walki na samym końcu. Jest coś budzącego niepokój w determinacji, z jaką najeźdźcy niszczyli wszelkie, najdrobniejsze nawet wzmianki w gazetach i dokumentach odnoszące się do osoby Curwena.

Śmierć poniosło ośmiu żeglarzy, a ich rodziny, którym nie pokazano nawet zwłok, zadowolić się musiały oświadczeniem, że polegli oni w potyczce z celnikami. To samo dotyczyło licznych obrażeń ciała, jakich doznali inni uczestnicy walki; opatrywane one były i leczone wyłącznie przez towarzyszącego wyprawie doktora Jabeza Bowena. Najtrudniej przychodziło wyjaśniać odrażający smród, który przylgnął do wszystkich uczestników najazdu; rzecz, o której szeptano tygodniami. Z przywódców najciężej ranni zostali kapitan Whipple i Moses Brown, i listy ich żon mówią o zdumieniu, jakie wzbudzała w nich małomówność mężów oraz tajemnica, jaką otaczali swe obrażenia. Psychologicznie rzecz biorąc, wszyscy aktorzy nocnych wydarzeń byli wstrząśnięci, śmiertelnie poważni, wystraszeni i postarziali o całe lata. Na szczęście byli to twardzi, prości ludzie czynu, głęboko i ortodoksyjnie wierzący chrześcijanie, którym obca była jakaś głębsza introspekcja czy też zawłości natury psychologicznej. Najbardziej poruszony był prezydent Manning; ale nawet on wydobył się z tego mrocznego cienia, tłumiąc wszelkie wspomnienia żarliwą modlitwą. Każdemu z przywódców przyszło w późniejszych latach prowadzić

ożywioną działalność na różnych polach; i była to pomyślna okoliczność. Niecały rok później, kapitan Whipple poprowadził tłum, który spalił "Gaspee" okręt należący do straży celnej; w tym zuchwałym czynie dopatrzyć się można kolejnej próby zatarcia niezdrowych wspomnień.

Wdowie po Josephie Curwenie dostarczono zaplombowaną, ołowianą trumnę o dziwacznym kształcie, znaną na farmie i najwyraźniej przygotowaną na wszelki wypadek. Oświadczone tylko, że w środku znajdują się zwłoki jej męża, który zginął w potyczce z celnikami, ale ze względów politycznych nie wolno im podać żadnych bliższych szczegółów. To było wszystko, czego świat dowiedział się o końcu Josepha Curwena. Charles Ward dotarł do jeszcze jednej wzmianki, na podstawie której ukuł pewną teorię. Był to bardzo wąty trop lekkie podkreślenie pewnego ustępu w skonfiskowanym liście Jedediaha Orne'a do Curwena, którego fragmenty skopiował Ezra Weeden. Kopia była w posiadaniu potomków Smitha i możemy tylko domniemywać, czy Weeden – już po wszystkim – podarował ją swemu kompanowi, jako niemy dowód potworności z jaką się zetknęli, czy też – co bardziej prawdopodobne – Smith miał ją już wcześniej i osobiście podkreślił to, czego sam się domyślał lub co zdołał wyciągnąć z przyjaciela, drogą zręcznych krzyżowych pytań. Podkreślony ustęp brzmiał:

Mówię raz jeszcze, nie wywołuj niczego, czego nie poskromisz; przez co rozumiem, że w odwrotności To może wezwać coś przeciw tobie, a przeciw czemu twe Najpotężniejsze Środki okażą się bezradne. Proś Mniejsze, żeby Większe nie żądało Odpowiedzi i nie zapanowało mocniej niż ty.

W świetle tego ustępu, i uwzględniając to, na co było zapewne stać potwornych sprzymierzeńców pobitego mężczyzny, Charles Ward mocno zastanowił się, czy Joseph Curwen rzeczywiście został zabity przez któregoś z mieszkańców Providence.



Przywódcy rajdu usilnie starali się wymazać z życia i dokumentów Providence wszelką pamięć i wzmianki o zabitym mężczyźnie. Nie dopuścili nawet, by wdowa po nim, jej ojciec czy dziecko poznali prawdziwe okoliczności śmierci Curwena. Kapitan Tillinghast jednak był człowiekiem nad wyraz bystrym i szybko doszedł prawdy; przeraziła go tak strasznie, że zażądał, by córka i wnuczka zmieniły nazwisko, spaliły bibliotekę i wszelkie pozostałe po Curwenu papiery oraz usunęły z nagrobka jego imię i nazwisko. Znał bardzo dobrze kapitana Whipple'a; i od tego prostodusznego marynarza zapewne wyciągnął więcej informacji, niż ktokolwiek inny o okolicznościach śmierci przeklętego czarnoksiężnika.

Pani Tillinghast, wdowa, znana, pod tym nazwiskiem od roku 1772 sprzedała dom w Olney Court i przeniosła się do ojca na Power's Lane, gdzie zmarła w 1817 roku. Farma w Pawtuxet, przez wszystkich unikana, niszczała z biegiem lat i niewytłumaczalnie prędko się rozpadła. Do 1780 roku pozostały już wyłącznie kamienie i resztki roboty murarskiej, a do roku 1800 runęło i to, zamieniając się w bezkształtną stertę gruzu. Nikt nie odważył się przebić poprzez zbite gąszcze zarośli na brzegu rzeki i dotrzeć do łukowych drzwi. Nikt nie próbował nawet wyobrazić sobie okoliczności, w jakich – pośród grozy, jaką sam stworzył – umierał Joseph Curwen.

Słyszano jedynie czasami, jak stary ale krzepki jeszcze kapitan Whipple mruczy do siebie:

–Diabeł to nadał.... Przecież tak cierpiąc nie miał powodu do takiego śmiechu... Jakby przeklęty... trzymał coś w zanadrzu. Za pół korony spaliłbym ten jego... dom.



# ROZDZIAŁ TRZECI

# Poszukiwania i wywołanie

-1-

Jak już wiemy, Charles Ward na ślad swego przodka Josepha Curwena trafił w roku 1918. I nic w tym dziwnego, że natychmiast też głęboko zainteresował się wszystkim, co dotyczyło tej minionej tajemnicy; każda bowiem, najbardziej mglista i niepewna wzmianka o Curwenie, dla kogoś w czyich żyłach płynęła jego krew, musiała być rzeczą nader istotną. Żaden zresztą, obdarzony nerwem i wyobraźnią genealog nie postąpiłby inaczej i rozpocząłby niezwłocznie chciwą, systematyczną pogoń za wszelkimi informacjami na ten temat.

Charles Ward początkowo nie czynił tajemnicy ze swych poszukiwań; i nawet doktor Lyman przyznaje, że przed rokiem 1919 pacjent był całkowicie normalny. Młodzieniec szczerze rozmawiał, czy to z rodzicami – jakkolwiek matka nie była szczególnie zachwycona przodkiem takim jak Curwen – czy to z pracownikami muzeów i bibliotek, które odwiedzał. Nie krył też przedmiotu swych zainteresowań, gdy zwracał się do prywatnych osób z prośbą o udostępnienie mu rodzinnych archiwów. Dzielił przy tym powszechny, sceptyczny stosunek do wszelkich rewelacji objawianych przez dawnych pamiętnikarzy i autorów listów. Niezmiernie go interesowało, co rzeczywiście wydarzyło się na farmie w Pawtuxet przed stu pięćdziesięciu laty i kim naprawdę był Joseph Curwen.

Kiedy przebrnął już przez pamiętnik Smitha, przekopał archiwa oraz dotarł do listu Jedediaha Orne'a, postanowił osobiście odwiedzić Salem i na miejscu zbadać wczesną działalność i wszelkie powiązania Curwena. Uczynił to podczas przerwy wielkanocnej w 1919 roku. W Instytucie Essex, który znał dobrze z wcześniejszych pobytów w tym czarującym, starodawnym mieście o rozpadających się wieżyczkach i domach z dwuspadowymi dachami z czasów purytańskich, był mile widzianym gościem i szybko zebrał pokaźną ilość danych dotyczących Curwena. Dowiedział się z nich, że jego przodek urodził się w Salem–Yillage – dzisiejsze Danvers, siedem mil od miasta – osiemnastego lutego (według Starego Stylu) w 1662–3 roku i w wieku lat piętnastu wyruszył w morze. Nie było go dziewięć lat, a kiedy wrócił, mówił, ubierał się i zachowywał jak rodowity Anglik. Zamieszkał w samym Salem. W tym czasie z rodziną nie utrzymywał już zbyt ścisłych kontaktów, spędzając większość czasu nad osobliwymi książkami, które przywiózł był z Europy, lub też bawił się dziwnymi substancjami chemicznymi, jakie nadchodziły doń okrętami z Anglii, Francji i Holandii. Pewne jego wyprawy na prowincję stały się przedmiotem natrętnej ciekawości miejscowych i szeptaniny, wiążącej je z palonymi nocą na wzgórzach ogniami.

Jedynymi bliskimi przyjaciółmi Curwena byli: pewien Edward Hutchinson z Salem–Yillage oraz niejaki Simon Orne z Salem. Często widywano tę trójkę, jak radziła ze sobą na Błoniach; z pewnością : musieli odwiedzać się w domach. Hutchinson mieszkał w odlegle położonym w pobliżu lasów domu, który z powodu dochodzących z niego nocami dźwięków, nie cieszył się wśród co wrażliwszych ludzi najlepszą sławą. Mówiono, że gospodarz przyjmuje dziwnych gości, a w oknach jego domostwa widywano różnokolorowe światła. Zadziwiał niezdrową wiedzą o dawno zmarłych osobach i dawno minionych zdarzeniach. Kiedy w

Salem wybuchła panika i nastąpiły procesy czarnicy, zniknął – i nigdy już o nim nie słyszano. Wtedy też opuścił Sali Joseph Curwen, i niebawem nadeszła wieść, że osiedlił się w Providence. Simon Orne pozostał natomiast aż do 1720 roku, kiedy to zaczął zwracać powszechną uwagę tym, że się nie starzeje. Wtedy zniknął i on, lecz w trzydzieści lat później zgłosił się z roszczeniami majątkowymi, niesamowicie podobny do ojca, syn – Jedediah Orne. Żądania swoje poparł dokumentami pisanymi niewątpliwie ręką Simona Orne'a. Mieszkał w Salem aż do 1771 roku, kiedy to pewne listy od obywateli Providence do Wielebnego Thomasa Barnarda i innych mieszkańców miasta sprawiły, iż został po cichu i w zagadkowy sposób usunięty.

W Instytucie Essex, w Sądzie i w Rejestrze Dokumentów dostępne były pewne materiały dotyczące wszystkich tych dziwnych spraw; zarówno zwykłe i zupełnie nieszkodliwe dokumenty, jak prawa własności czy jakieś faktury handlowe, ale także tajne, o bardziej prowokującej treści. Dotarł również do czterech czy pięciu protokółów z procesów o czary. I tak niejaki Hepzibah Lawson na Rozprawie Oyera i Terminena, której przewodniczył Sędzia Hathorne w dniu dziesiątego lipca 1692 roku, przysiągł, że: "czterdziestek Wiedźm i Czarzycieli spotkało się w Lesie za domem p. Hutchinsona", a pewien Amity How oświadczył na sesji z ósmego sierpnia, przed Sędzią Gedbeyem, że: "p. G.B (George Burroughs) Nocy tej złożył Znak Diabelski na Bridgeta S., Jonathana A., Simona O., Deliverence'a W., Josepha C., Susan P., Mehitable C. i Deborah B." Pośród dokumentów znajdował się też katalog niesamowitej biblioteki Hutchinsona, którą znaleziono po jego zniknięciu, oraz niedokończony, zaszyfrowany, pisany jego ręką dokument, którego nikt nie potrafił odczytać. Ward polecił zrobić fotostatyczną kopię tego manuskryptu i kiedy tylko mu ją dostarczono, przystąpił do odszyfrowania jej. Cały sierpień pracował gorączkowo i z

jego rozmów i zachowania można wnosić, że w październiku lub listopadzie trafił wreszcie na klucz. Nigdy jednak oficjalnie tego nie potwierdził.

Ale najwięcej uwagi Ward poświęcił materiałom dotyczącym Orne'a. Na podstawie charakteru pisma szybko ustalił – co zresztą już wcześniej wywnioskował z listu do Curwena, że Simon Orne i jego domniemany syn byli w rzeczywistości jedną i tą samą osobą. Jak pisał Orne do swego korespondenta, w Salem nie było bezpiecznie żyć zbyt długo, skutkiem czego udał się na trzydziestoletnią banicję, a po swoje dobra wrócił już jako własny potomek. Najwyraźniej Orne był zapobiegliwy i zniszczył większość swej korespondencji, ale obywatele, którzy w roku 1771 podjęli akcję, odnaleźli i zabezpieczyli nieco listów i papierów, które rozpały ich ciekawość. Były w nich tajemnicze formy i diagramy pisane zarówno ręką Orne'a, jak i innych osób; dokumenty te Ward również sfotografował lub dokładnie skopiował; w tym jeden wyjątkowo tajemniczy list, pisany charakterem, na jaki natknął się już był w papierach w Rejestrze Dokumentów i który należał niewątpliwie do Josepha Curwena. Ów list, choć pozbawiony daty rocznej, wyraźnie nie był tym listem, na który odpisał Orne i który został skonfiskowany; Ward jednak był najgłębiej przekonany, że pochodził on najpóźniej z 1750 roku. Warto przytoczyć tekst w całości, jako próbę stylu człowieka, którego dzieje były tak mroczne i przerażające. Imię adresata brzmiało: "Simon", ale gruba krecha (Ward nie zdołał ustalić czy zrobił ją Curwen czy Orne) zamazywała w nagłówku imię.

Providence, 1 maja.

Bracie: \_\_\_\_\_

*Szanowny, Stary przyjacielu, należne Uszanowania i szczerze życzenia w imieniu Tego, któremu służymy dla swej wiekuistej Potęgi. Doszedłem właśnie do tego, coś znać powinien, a co dotyczy Celu Ostatecznego, i tego co zeń wynika. Nie mam ochoty twoim iść śladem i Uciekać, gdyż Providence nie jest tak Ostre w tropieniu Rzeczy niezwykłych i ustanawianiu Trybunałów. Ręce mi wiążą Statki i Dobra; nie uczynię więc tego, coś ty uczynił. Poza tym pod farmą w Patuxet znajduje się To, o czym wiesz, że nie może czekać na mój Powrót jak Cokolwiek Innego.*

*Niemniej gotowem na ciężkie terminy, jak ci mówiłem, i długo pracowałem nad sposobem Powrotu po Zagładzie. Zeszłej Nocy wypowiedziałem Słowa, które sprowadziły YOGGE – SOTHOTHE i pierwszy Raz ujrzałem oblicze, o którym mówił Ibn Schacabac w \_\_\_\_\_. Rzekło To, że Kluczem jest III Psalm w Liber–Damnatus. Kiedy Słońce w V Domu a Saturn w Potrójnym, narysuj Pentagram Ognia i wymów dziewięty Wers trzykrotnie. Wers powtarza każdy Krzyżownik lub Wtajemniczony, a Rzecz płodzona jest w Sferach Zewnętrznych:*

*A z Nasienia Starego, Noity zrodzony postanie, który Wstecz spojrz nie wiedząc czego szuka.*

*Darmo czekać jeśli nie ma Następcy, i jeśli Prochy, lub sposób tych Prochów osiągnięcia, nie będzie dla Niego gotów. Ale moje to będą, i dlatego nie muszę poczyniać żadnych Kroków ani zbyt Wiele szukać. Niebawem Proces trudnym się stanie i wymagać takiego Zapasu Okazów będzie, że z trudem przychodzi mi przygotowanie Dostatecznej ich ilości; jednakowoż niebawem będę miał żeglarzy z Indii. Ludzie wokół dziwować się poczynają, ale trzymam ich z daleka. Szlachta jest gorsza niż Gmin, bo bardziej Drobiazgowa w swych Rachubach i łatwiej zdobywa posłuch i wiarę. Ten Parson i p. Merritt rozgadają coś, obawiam się, ale nie są to aż tak Niebezpieczne Rzeczy. Substancje Chemiczne łatwo tu dostać, bo jest w*



*Mieście dwóch dobrych Chemików, dr Bowen i Sam Carew. Poszedłem za tym, co powiedział Borellus, a pomocą służyła mi VII Xięga Abdula Al-Hazreda. Cokolwiek osiągnę, będziesz i ty to miał. A na razie nie zwlekaj i użyj Słów, co ci je podałem. Są Prawidłowe, lecz jeśli Pragniesz ujrzeć Jego, zastosuj Napis na Egzemplarzu \_\_\_\_\_, który ci niniejszym przesyłam. Wymawiaj Wersy jak każdy Krzyżownik i Wtajemniczony; a jeśli twa Linia nie wygaśnie, przyjdzie w nadchodzących leciach ktoś, kto spojrzy wstecz i użyje Prochów lub Materyałów na Prochy które mu pozostawisz. Job. XIV, XIV.*

*Kontent jestem, żeś znów w Salem i mam nadzieję niezadługo cię ujrzeć. Mam wyśmienitego Ogiera i myślę o wynajęciu Powozu. Jest jeden w Providence (p. Merritta) jakkolwiek Drogi są fatalne. Jeśli ty zdecydujesz się na podróż, nie zapomnij o mnie. Z Bostonu wyruszysz Poste Rd. przez Dedham, Wrentham i Attleborough; we wszystkich tych Miastach wyśmienite Gospody. Zatrzymaj się w Gospodzie p. Balcoma Wrentham, gdzie łóżka dużo lepsze niż u p. Hacha, ale stołuj się u tego Drugiego, gdzie lepsze jedzenie. Do Providence skręć przy wodospadach Patucket i dalej drogą obok Gospody p. Saylesa. Mój dom stoi naprzeciwko Gospody p. Epenetusa Olneya obok Town Street, pierwszej na płn. od Olney's Court. Odległość od Boston Storę XLIV mil.*

*Panie, jestem twym starym, oddanym przyjacielem i Sługą w Almosin – Metraton.*

Josephus C.  
Dla p. Simona Orne  
William's – Lane, w Salem.

List ten, ciekawa rzecz, dał Wardowi pierwszą wskazówkę, gdzie dokładnie stał w Providence dom Curwena; w żadnym bowiem z

napotkanych dotąd dokumentów, nie było o tym mowy. Odkrycie poruszyło go w dwójnasób, gdyż okazało się, że nowszy dom Curwena, wybudowany w 1761 roku na miejscu starego, zniszczonego budynku, ciągle jeszcze istnieje w Olney Court i jest doskonale Wardowi znany z czasów jego włości po Stampers Hill, kiedy to poszukiwał reliktyw przeszłości. Dom ten, oddalony zaledwie kilka przecznic od rezydencji Wardów, stał na rozległym szczycie wysokiego wzgórza. Zamieszkiwała go murzyńska rodzina, zatrudniana przez państwa Wardów przy wszelkiego rodzaju praniach, sprzątaniach domu czy rozpalaniu w piecach. Nieoczekiwane odkrycie w odległym Salem dokumentu lokalizującego tak dokładnie gniazdo rodzinne Warda, niezwykle go poruszyło i młodzieniec postanowił natychmiast po powrocie do domu zbadać to miejsce dokładniej. Bardziej natomiast zmieszały go mistyczne fragmenty listu, które skłonny był traktować, jako rodzaj ekstrawaganckiego symbolizmu; niemniej z dreszczem emocji rozpoznał w wersecie biblijnym z odsyłaczem do Job XIV, XIV, znany sobie ustęp: "Gdy człowiek umiera, czy znowu ożyje? Przez wszystkie dni mojej służby będę oczekiwał aż nadejdzie zmiana."

**M**łody Ward wrócił do Providence w stanic przyjemnego podniecenia, i w najbliższą sobotę w całości spędził na długich i wyczerpujących oględzinach domu w Olney Court. Budynek, obecnie nadgryziony mocno zębem Czasu, nigdy nie był w pełnym słowa znaczeniu rezydencją; Był to skromny, dwu i pół piętrowy dom w charakterystycznym dla Providence stylu kolonialnym, ze zwykłym szpiczastym dachem, wielkim centralnym kominem i rzeźbionym artystycznie wejściem, z promienistymi półkolistymi oknami i trójkątnym frontem nad drzwiami oraz schludnymi, doryckimi pilastrami. Choć zniszczony, zachował swój pradawny klimat i Ward czuł, że spogląda na coś, co ma ścisły związek z groźnymi tajemnicami, które właśnie usiłował zgłębić. Murzyni, aktualni mieszkańcy domu, dobrze znali Warda i stary Asa wraz ze swą tęgą żoną Hannah, bardzo chętnie pokazali wnętrze domu. Było znacznie bardziej zdewastowane niż przypuszczał oglądając dom z zewnątrz; ze smutkiem stwierdził, że przepiękne woluty nad gzymsami kominków oraz rzeźbione w kształt muszli ornamenty zniknęły, lecz śliczne boazerie i ścienne występy – pokieroszowane i obtłuczone – Biblia, to jest pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Warszawa, 1975, Brytyjskie i Zagraniczne Tow. Biblijne.

wciąż jeszcze odznaczały się pod pokrywającą je, tanią tapetą. Generalnie poszukiwania rozczarowały Warda; ale ostatecznie było niesłychanie ekscytującą rzeczą przebywać w murach rodowego gniazda, które zamieszkiwał tak przerażający człowiek, jak Joseph Curwen. Z

dreszczem emocji młodzieniec dostrzegł staroświecką, mosiężną kołatkę, z której dokładnie usunięto monogram.

Kiedy rozpoczęły się wakacje i szkoła została zamknięta Ward poświęcał cały swój czas na przemian to fotostatycznej kopii szyfru Hutchinsona, to znów zbieraniu lokalnych informacji o Curwenie. Wciąż brakowało mu danych z wcześniejszego okresu. O późniejszym zebrał już w bród i trafił na tak wiele tropów prowadzących do innych miejsc, że dojrzał mu w głowie plan wyprawy do Nowego Londynu i Nowego Yorku, by tam, na miejscu przejrzeć interesujące go stare listy. Była to podróż bardzo owocna, przyniosła listy Fennera zawierające straszny opis najazdu na farmę Pawtuxet oraz listy Nigtingale – Talbota, z których dowiedział się o portrecie namalowanym na ściennej płaszczyźnie dekoracyjnej nad ozdobnym gzymsem kominka w bibliotece Curwena. Szczególnie zainteresowała go sprawa portretu, gdyż był niezmiernie ciekaw wyglądu Josepha Curwena; i zdecydował się ponownie odwiedzić dom w Olney Court, by dokładniej poszukać pod warstwami łuszczącej się, późniejszej farby i grubymi pokładami wybrzuszonych tapet.

Poszukiwania podjął na początku sierpnia, badając szczegółowo ściany w pokojach na tyle dużych, by mogły być biblioteką straszliwego mieszkańca domu. Szczególną uwagę zwracał na płaskie miejsca nad gzymsami kominków, które przetrwały. Po godzinie przeszył go dreszcz podniecenia; na rozległej powierzchni ściany nad kominkiem w ogromnym pokoju na parterze, zauważył wyłaniającą się spod kilku warstw łuszczącej się farby, powierzchnię ciemniejszą niż bywa zazwyczaj goły mur czy drewno. Kilka kolejnych pociągnięć cienkim nożem i nieoczekiwanie pojawił się fragment olejnego, wielkich rozmiarów portretu. Z powściągliwością prawdziwego naukowca, młodzieniec pohamował swą niecierpliwość i nie ryzykował uszkodzenia malowidła przez samodzielne

zdrapywanie wierzchniej farby nożem. Potrzebował fachowej pomocy. Po trzech dniach wrócił z panem Walterem Dwightem, którego pracownia znajdowała się u podnóża College Hill; ten znakomity konserwator malarstwa przystąpił do pracy właściwymi metodami i przy użyciu właściwych środków chemicznych. Stary Asa i jego żona byli niezwykle przejęci dziwnymi gośćmi, zwłaszcza że sownie im wynagrodzono najście na domowe ognisko.

W miarę jak dzień za dniem postępowała praca nad renowacją obrazu, Charles Ward ze wzrastającym zainteresowaniem obserwował wyłaniające się z długotrwałego zapomnienia linie i cienie. Dwight rozpoczął od dołu, dlatego też, mimo że obraz odsłonięty już był w trzech czwartych, jeszcze jakiś czas nie można było rozpoznać twarzy. Widoczne było tylko, że to szczupły, dobrze zbudowany mężczyzna, siedzący j na rzeźbionym krześle na tle okna z widokiem na nadbrzeże i statki, j ubrany w czarno-błękitny surdut, wyszywaną kamizelkę, krótkie spodnie z czarnej satyny i białe, jedwabne pończochy. Wraz z głową pojawiła się schludna peruka z Albemarle, a poniżej szczupła, spokojna, zamknięta twarz, która zarówno Wardowi jak i malarzowi wydawała się znajoma. I dopiero na samym końcu, restaurator dzieła i jego klient ze zdumieniem i odczuciem lęku dostrzegli w tym chudym, bladym obliczu coś, co wyglądało na dramatyczny figiel spleatany przez dziedziczość. Po ostatnim przemyciu portretu oliwą i przeciągnięciu jeszcze raz delikatną skrobaczką, ukryte przez blisko dwa stulecia oblicze, ukazało się w całej krasie; i oszołomiony Charles Dexter Ward – człowiek żyjący myślami w przeszłości – ujrzał w obliczu swego przerażającego prapradziadka lustrzane odbicie własnej twarzy.

Sprowadził rodziców, by pokazać im cudo, które odkrył, i ojciec natychmiast postanowił zakupić malowidło, mimo że wykonane było na

nieruchomym panneau. Podobieństwo do chłopca było zdumiewające; poprzez jakąś atawistyczną sztuczkę, rysy Josepha Curwena – aczkolwiek nieco starsze – znalazły po półtora stulecia swe wierne odbicie. Jakkolwiek sama pani Ward nie przypominała w ogóle swego przodka, to pamiętała krewnych, którzy z rysów twarzy faktycznie podobni byli do jej syna i do Curwena. Odkrycie obrazu wcale nie sprawiło jej przyjemności i radziła mężowi, by raczej obraz spalił, niż brał go do domu. Jest w nim, twierdziła, coś niedobrego; nie tyle w samym portrecie, co w niesłychanym podobieństwie do Charlesa. Pan Ward jednak był praktycznym człowiekiem interesu – producentem bawełny, właścicielem dużych zakładów przemysłowych w Riverpoint w Dolinie Pawtuxet – i nie miał zwyczaju kierować się kobiecymi kapryсами. Portret, przez podobieństwo do jego syna wywarł na nim potężne wrażenie i uważał, że chłopiec zasłużył sobie na taki prezent. Charles – o tym nie trzeba nawet wspominać – z entuzjazmem odniósł się do pomysłu ojca. Po kilku dniach pan Ward odnalazł właściciela domu – drobnego osobnika o gardłowym akcencie i twarzy gryzonia – i po krótkich targach o cenę, zakończonych potokiem ordynarnych przekleństw, dostał całe obramowanie kominka wraz z zawierającą malowidło górą.

Teraz pozostało tylko zdjąć panneau i przenieść je do domu Wardów, gdzie w mieszczącej się na trzecim piętrze bibliotece Charlesa, wybudowano specjalnie kominek z imitującym ogień elektrycznym urządzeniem. Charles miał dopilnować przenosin, toteż dwudziestego ósmego sierpnia, w towarzystwie dwóch doświadczonych robotników z firmy dekoracyjnej Crookera, udał się do domu w Olney Court, gdzie z wielką ostrożnością i precyzją oderwano obramowanie kominka wraz z zawierającą portret płaszczyzną i przygotowano do transportu ciężarówką firmy. W ścianie z gołej cegły, jaka została po tej operacji, młody Ward

dostrzegł kwadratowe wgłębienie, wielkości jednej stopy kwadratowej, które musiało znajdować się dokładnie na wysokości głowy na portrecie. Zaintrygowany młodzieniec zajrzał do środka; pod grubą warstwą kurzu i sadzy dostrzegł plik pożółkłych papierów, gruby notatnik i jakieś strzępy przegniłej materii, zapewne wstęgi, która kiedyś trzymała to wszystko razem. Zdmuchnąwszy kurz i popiół, wyciągnął książkę i zerknął na wyraźny tytuł na okładce. Ten charakter pisma nauczył się rozpoznawać natychmiast jeszcze w Instytucie Essex; napis na woluminie głosił: Dziennik i Notatki Jos. Curwena, Ob. Kolonii Providence, Poprzednio z Salem.

Przejęty bez miary swym odkryciem Ward, pokazał księgę zdumionym robotnikom, którzy stali obok. Ich świadectwo, jeśli idzie o charakter i autentyczność znaleziska, jest absolutnie wiarygodne i na nim doktor Willett oparł swą teorię, że młodzieniec, kiedy zaczynał dziwaczeć, był jeszcze zupełnie normalny. Wszystkie pozostałe dokumenty pisane były również ręką Curwena, a jeden z nich nosił wyjątkowo złowieszczy tytuł: Do Tego Który Przyjdzie Później, I w Jaki Sposób Można Dostać Się Poza Czas I Sfery. Kolejny pisany był szyfrem; Wardowi wydawało się, że tym samym, którym pisał Hutchinson. Trzeci dokument – tu poszukiwacz niezmiernie się uradował – wyglądał na klucz do tego szyfru; czwarty i piąty, adresowane były kolejno do: “Edw. Hutchinson, Szlachcic” i “Jedediah Orne, Esq”, “lub Ich Potomek lub Potomkowie albo Ich Reprezentanci”. na szóstym i ostatnim było napisane: Joseph Curwen, Jego Życie i Podróże, w Które Udał się w latach 1685 i 1687: Czyli Gdzie Podróżował, Gdzie Się Zatrzymywał, Kogo Widniał i Czego się nauczył.

**D**otarliśmy do punktu, w którym większość psychiatrów upatruje początek szaleństwa Charlesa Warda. Natychmiast po dokonaniu odkrycia, młodzieniec zerknął do wnętrza książki oraz przejrzał pobieżnie kilka kartek rękopisów; najwyraźniej ujrzał coś, co wywarło na nim piorunujące wrażenie. Faktycznie, pokazując robotnikom tytuły, zdawał się przykładać wielką wagę do tego, by nie zobaczyli samego tekstu i wykazywał przy tym takie wzburzenie, że trudno było je przypisać samemu tylko znaczeniu historycznemu i genealogicznemu znalezisk: Po powrocie do domu zakomunikował o odkryciu w taki sposób, jakby chciał dać wyobrażenie o niesłychanej wadze odkrycia, nie podając przy tym żadnych szczegółów. Nie pokazał nawet tytułów, stwierdzając tylko, że znalazł pewne dokumenty pisane "głównie szyfrem" ręką Josepha Curwena, które – by poznać ich rzeczywisty sens musi najpierw dokładnie przestudiować. Nie pokazałby ich też i robotnikom, gdyby ci nie przejawiali tak wielkiej ciekawości; lecz bez wątpienia jedynym jego pragnieniem było uniknąć niezdrowego zainteresowania i komentarzy, jakie taka tajemniczość z pewnością by wzbudziła.

Noc Charles Ward spędził w swym pokoju na lekturze nowoznalezionej książki i papierów; pracy nie przerwał mu nawet świt. Zaniepokojonej matce polecił przysłać do swego pokoju śniadanie. Tego dnia pokazał się tylko raz, i to na krótko – po południu – kiedy robotnicy przyszli instalować w jego pracowni kominek i portret Curwena. W nocy, zmagął się gorączkowo z zaszyfrowanym rękopisem, ucinając od czasu do czasu, w



ubrani krótkie drzemki. Rano matka spostrzegła, że pracował nad fotostatyczną kopią szyfru Hutchinsona, którą wcześniej już wielokrotnie widziała, na jej pytania młodzieniec odparł krótko, że klucz Curwena nie ma tu prawdopodobnie nic do rzeczy. Po południu Charles przerwał pracę i jak urzeczony obserwował robotników, którzy zakończyli właśnie instalowanie kominka, – zupełnie jakby naprawdę istniały tam przewody kominowe – nieco z boku północnej ściany pokoju, i wykładali obecnie jego boki harmonizującą ze ścianami boazerią. Na końcu przystąpili do mocowania samego portretu nad zwodniczo prawdziwym, elektrycznym paleniskiem. Frontowe panneau z malowidłem przycięto i zamontowano w ten sposób, by pozostała za nim wolna przestrzeń na szafę. Po odejściu robotników, Charles natychmiast przeniósł się do pracowni, ale nie oddawał się już pracy bez reszty. Długie chwile poświęcał kontemplacji portretu, który oddawał mu spojrzenia, niczym sumujące i odbijające w sobie lata i stulecia zwierciadło. Później, kiedy rodzice przypominać sobie zaczęli zachowanie się syna w tym okresie, dodawali wiele interesujących szczegółów o tej nagłej jego skrytości i tajemniczości, jaką otoczył siebie i swoje zajęcia. W obecności służby nigdy nie krył dokumentów, które właśnie studiował, wychodząc ze słusznego założenia, że zawile i archaicznie manuskrypty Curwena są i tak dla niej za trudne. Co innego rodzice; jeśli badany akurat rękopis nie był pisany szyfrem albo nie zawierał całej masy tajemniczych symboli i niezrozumiałych ideogramów (jak ten, zatytułowany: Do Tego, Który Przyjdzie Później...), przykrywał go po prostu papierem, który zawsze miał pod ręką i czekał, aż gość opuści pokój. Kiedy sam wychodził z pokoju lub udawał się na spoczynek, papiery zamykał na klucz w antycznej komodzie. Wkrótce nabrał szczególnych nawyków, przestrzegając ściśle godzin przeznaczonych na pracę, długie spaceru czy inne sprawy wymagające wyjścia z domu. Nauka w otwartej

właśnie po wakacjach szkole, gdzie rozpoczął ostatni rok, niezmiernie go nudziła i postanowił zrezygnować z przyszłych studiów na wyższej uczelni. Twierdził, że czekają go szczególnie doniosłe badania, które i tak otworzą przed nim takie horyzonty humanistyki i całej ogólnej wiedzy, o jakich nie śniło się żadnemu uniwersytetowi na świecie.

Oczywiście, tylko ktoś, kto w mniejszym lub większym stopniu był ekscentrycznym, rozmiłowanym w nauce samotnikiem, mógł przez dłuższy czas znieść taki tryb życia. A Ward był właśnie takim urodzonym naukowcem i odludkiem; dlatego też rodzice raczej nad nim ubolewali, niż byli zaskoczeni jego nieoczekiwanym zamknięciem się w sobie i skrytością. Niemniej, matce i ojcu jednocześnie przyszło do głowy, że' to jednak dziwne, iż tak otwarty dotąd młodzieniec nie pokazał im przecież nawet jednej kartki ze znalezionej skarbu, ani nie informował ich na bieżąco – w miarę jak rozszyfrowywał tajemnicze papiery – o postępach pracy. Powściągliwość swoją Charles tłumaczył tym, że chce poczekać do chwili, gdy będzie już w stanie ujawnić całość odkrycia; w miarę upływu tygodni jednak, młodzieniec uporczywie milczał i między nim a rodziną wyrastać zaczął mur, powiększany jeszcze przez niechęć matki, manifestującej swe niezadowolenie z jego studiów nad osobą Curwena.

W październiku Ward znów zaczął odwiedzać biblioteki; nie szukał jednak już, jak miało to miejsce poprzednio, materiałów dotyczących spraw dawnych. Czary i magia, okultyzm i demonologia – to teraz zgłębiał; a kiedy źródła dostępne" w Providence okazywały się niewystarczające, jechał pociągiem do Bostonu, gdzie korzystał z bogactwa wielkiej biblioteki na Copley Square, Biblioteki Widenera w Harvardzie czy brooklińskiej Biblioteki Studiów Ziona, gdzie były pewne unikalne prace z zakresu biblistyki. Bez przerwy kupował nowe książki i by pomieścić ten nowy księgozbiór, składający się z najnowszych prac na niesamowite tematy –

musiał zainstalować w swej pracowni dodatkowe regały. Podczas Świąt Bożego Narodzenia wybrał się w podróż do kilku miejscowości – również do Salem, gdzie w Instytucie Essex pragnął przejrzeć pewne dokumenty.

Gdzieś w połowie stycznia 1920 roku, Ward zaczął przejawiać wyraźne oznaki triumfu; jego przyczyny jednak nigdy nie wyjawiał, jakkolwiek od tej pory przestał ślęczyć nad szyfrem Hutchinsona. Przystąpił z kolei do intensywnych studiów chemicznych i penetracji archiwów. W domu, na nie używanym poddaszu urządził sobie laboratorium, j w bibliotekach natomiast myszkował w poszukiwaniu wszelkiego rodzaju źródeł dotyczących statystyki demograficznej. Wypytywani później miejscowi kupcy, trudniący się handlem chemikaliami i artykułami do badań naukowych, demonstrowali dziwaczne i pozbawione sensu! wykazy substancji i instrumentów nabywanych przez Warda. Urzędnicy z Budynku Stanowego, Ratusza i różnorodnych bibliotek byli natomiast zgodni co do obiektu jego poszukiwań; uporczywie i gorączkowo szukał grobu Josepha Curwena, z którego płyty grobowej, współczesna mu generacja tak dokładnie usunęła nazwisko.

Stopniowo zaczęło narastać przekonanie, że w rodzinie Wardów dzieje się coś niedobrego. Charles już wcześniej wprowadził swoje dziwactwa i często zmieniał zainteresowania, ale taka skrytość i osobliwe poszukiwania, nawet jak na niego, były czymś niecodziennym. Do szkoły uczęszczał dla świętego spokoju, i chociaż nie oblał żadnego egzaminu, najwyraźniej stracił całe swe dotychczasowe zainteresowanie i pilność. Zajmowały go inne sprawy; i jeśli tylko nie było go w nowym laboratorium wypełnionym stosami przestarzałych, alchemicznych ksiąg, to z pewnością ślęczał gdzieś w mieście nad dawnymi wykazami pogrzebów, lub też sklejał swe okultystyczne woluminy w pracowni, gdzie znał ozdobnego kominka

na północnej ścianie pokoju spoglądały nań dobrotliwe oczy tak zaskakująco podobnego do Charlesa, Josepha Curwena.

Pod koniec marca Ward do swych poszukiwań archiwalnych dodał upiorną serię włóczęg po starych cmentarzach miasta. Sprawa wyszła na jaw później, kiedy od urzędników w Ratuszu dowiedziano się, iż natrafił zapewne na jakiś istotny ślad. Jego poszukiwania bowiem przeniosły się nieoczekiwanie z grobu Josepha Curwena na mogiłę niejakiej Naphthali Field. Przyczyna tej zmiany wyjaśniła się, gdy prowadzący śledztwo, przeglądając te same kartoteki co uprzednio Ward, natrafili na fragmentaryczny dokument dotyczący pochówku Curwena, który uniknął losu innych, podobnych dokumentów odnoszących się do tego człowieka. Była w nim mowa o zdumiewającej, ołowianej trumnie, która złożona została „10 stóp pd. i 5 stóp z. od grobu Naphthali Field na c\_\_\_\_\_”. Brak planów terenów cmentarnych w ogromnym stopniu skomplikował poszukiwania i mogiła Naphthali Field wydawała się być równie trudna do zlokalizowania, jak grób samego Curwena; skoro jednak wymazaniu uległ jedynie napis na jego kamieniu, z dużym prawdopodobieństwem można było założyć, że odnalezienie jej mogiły jest wyłącznie kwestią czasu i przypadku; jeśli nawet zaginęła dokumentacja. Pozostały zatem wędrówki – a ponieważ skądinąd wiadome było, że jedyna istniejąca Naphthali Field (obiit 1729), o której grób mogło tu chodzić, była baptystką, z poszukiwań należało wyłączyć cmentarz św. Jana (dawniej Królewski) oraz tereny grzebalne Kongregacjonistów, w środku Cmentarza Swan Point.

Gdzieś w maju, doktor Willett, na życzenie Warda seniora, zaznajomiony ze wszystkimi faktami dotyczącymi Curwena, które rodzina zdołała wyciągnąć od Charlesa w dniach kiedy ten jeszcze nie otoczył się tajemnicą, odbył z młodym człowiekiem rozmowę. Rozmowa jednak nic nowego nie wniosła ani niczego nie rozstrzygnęła, a Willett przez cały czas jej trwania miał świadomość, że Charles całkowicie panuje nad sytuacją, zachowując czujność ilekroć dotykano spraw istotnych. Jedyną korzyścią jaka wynikła ze spotkania było to, że tajemnicza młodzieniec musiał podać jakieś racjonalne powody swego zachowania. Na bladej, beznamietnej twarzy nie odbił się nawet ślad zakłopotania, kiedy Ward zgadzał się pomówić o swych poszukiwaniach, zastrzegając jednocześnie, że nie ujawni samej ich istoty. Oświadczył, że papiery przodka – w większości zaszyfrowane – zawierają pewne nadzwyczajne sekrety dawnej wiedzy naukowej, porównywalnej tylko z odkryciami zakonnika Bacona, a zapewne je przewyższają. Niemniej, bez korelacji z całym zestawem wiedzy, całkowicie obecnie zarzuconej, jest on praktycznie bez sensu, toteż prezentacja jej światu w stanie obecnym i w zestawieniu wyłącznie ze współczesną nauką mija się z celem, odbierając jednocześnie całą jej siłę wyrazu i dramaturgię. By wyznaczyć tej wiedzy właściwe miejsce w historii myśli ludzkiej, konieczna jest właśnie taka korelacja, dokonana przez kogoś, kto zna podłoże kulturowe czasów, w których się wyewoluowała. Do tego zadania Ward znaczył właśnie siebie. Przyswajał sobie, najszybciej jak potrafił zapomniane sztuki z minionych czasów, które

rzetelny interpretator danych Curwena musiał osiąść; żywiąc przy tym błogą nadzieję, w stosownym czasie zaprezentuje i rozgłosi coś, co wzbudzi najwyżsi zdumienie ludzkości i świata myśli ludzkiej. Nawet Einstein oświadczył – nie mógłby bardziej zrewolucjonizować powszechnego poję rzeczy.

O swych poszukiwaniach cmentarnych – do których się bez wahania przyznał nic podając żadnych konkretów, stwierdził, iż ma powody sądzić, że na okaleczonym nagrobku Josepha Curwena umieszczone są pewne mistyczne symbole; wyryte zgodnie z wolą zmarłego i pominięte przez ignorancję tych, którzy usunęli jego imię z kamienia. Symbole te są konieczne dla ostatecznego rozwiązania owego tajemniczego systemu. Sądzi, że Curwen pragnął dobrze zabezpieczyć swój sekret i dlatego wszelkie dane porzucił w tak osobliwy sposób. Kiedy doktor Willett prosił o pokazanie tych mistycznych dokumentów, Ward uczynił to bardzo niechętnie. Początkowo próbował doktora zbyć fotostatyczną kopią szyfru Hutchinsona oraz formułami i diagramami Orne'a. Ostatecznie jednak pokazał oryginalne znaleziska należące ongiś do Curwena: Dziennik i Notatki, szyfr (tytuł też był zaszyfrowany) oraz wypełnione formułami Do Tego, Który Przyjdzie Później – i pozwolił zajrzeć do środka, na niewyraźne litery.

Otworzył też pamiętnik na wybranej specjalnie, zapewne ze względu na banalność tekstu, stronie. Willett zobaczył zwięzłe pismo kreślone po angielsku ręką Curwena. Dokładnie przyjrzał się niewyraźnym i zawiłym literom: ogólnie charakter pisma jak i styl były niewątpliwie siedemnastowieczne, jakkolwiek autor pisał to w wieku osiemnastym. Willett szybko nabrał pewności, że dokument jest autentyczny. Sam tekst faktycznie był raczej banalny i Willett zapamiętał z niego tylko fragment:

„Sr. 16 paźdź. 1754.

*Statek mój "Wahefal" wypłynął dziś z Londynu z XX nowymi ludźmi zabranymi z Indii, Hiszpanami z Martinico i Holendrami z Surinamu. Holendrzy odejść pragną słysząc Złe rzeczy o tych Transakcjach, ale widzę już, że skłonni są do Pozostania. Dla p. Knighta Dextera spod Wawrzynu i Xięgi 120 bel Płótna Lnianego, 100 bel Posortowanego Batystu, 20 sztuk Wełnianej Bai, 50 sztuk Lśniącej Tkaniny Jedwabnej, po 300 sztuk Shendsoy i Humhum. Dla p. Greena spod Słonia 50 galonowych Pojemników na Mleko, 50 Szkandeli, 15 Wielkich Bań na Mleko, 10 p. Szczypiec. Dla p. Perrigo i Zestaw Szydeł. Dla p. Nightingale 50 Ryz pierwszorzędowego Papieru Kancelaryjnego. Wymówiłem zeszłej nocy po trzykroć SABAOTH, ale nikt nie przybył. Muszę więcej wydobyć od p. H. W Transylwanii, jakkolwiek Ciężko niezmiernie tam dotrzeć, jako też niezwykłym jest fakt, że nie może dać mi tego, co dobrze używał przez lat sto. Simon nie pisał przez tych V Tygodni, ale tuszę otrzymać niebawem od niego wieść."*

Kiedy doktor Willett doszedł do tego miejsca i przewrócił kartkę, Ward gwałtownie chwycił książkę, nieomal wyrywając mu ją z rąk.

Wszystko, co doktor zdążył dostrzec na nowo otwartej stronie, to dwa krótkie zdania, które jednak – ciekawa rzecz – utkwily mu wiernie w pamięci. Było tam napisane: "Tuszę, że Wers z Liber–Damnatus wypowiedziany przez V Krzyżowników i IV Wtajemniczonych rodzi Rzecz poza Sferami. Skieruje ona uwagę Tego Który Ma nadejść – jeśli go sobie zapewnię – a on zwróci się do rzeczy Minionych i spojrzy wstecz poprzez te wszystkie lata, przeciw którym muszę posiąść Prochy lub To, z czego je otrzymać".

Więcej Willett nie zdołał zobaczyć, ale i to przelotne spojrzenie wystarczyło, by ogarnął go jakiś nowy, nieokreślony lęk przed twarzą

Josepha Curwena, która spoglądała nań dobrotliwie znad kominka. Potem zawsze już doznawał dziwnego wrażenia – praktyka medyczna mówiła mu, że to tylko wrażenie – iż oczy z portretu pragną wodzić – czy tylko pragną? – za młodym Charlesem Wardem, gdy ten poruszał się po pokoju. Przed wyjściem zatrzymał się na chwile i z uwagą przyjrzał się obrazowi; zdumiony niesłychanym podobieństwem człowieka z portretu do Charlesa, utrwalił sobie w pamięci najdrobniejszy szczegół tajemniczej, pozbawionej kolorów twarzy, a zwłaszcza lekką skazę, czy też bliznę, na gładkim czole, tuż nad prawym okiem. Musiał przyznać, że Cosmo Alexander był malarzem godnym Szkocji, która wydała przecież Reaburna – oraz nauczycielem zasługującym na tak sławnego ucznia jak Gilbert Stuart.

Wardowie, zapewnieni przez doktora, że zdrowiu psychicznemu Charlesa nic nie zagraża, i że podjął on tylko badania olbrzymiej przypuszczalnie wagi, stali się bardziej ugodowi i wyrozumiali, kiedy w czerwcu młodzieniec oświadczył, że definitywnie rezygnuje z nauki na wyższej uczelni. Dodał, że czekają go badania o wiele większym znaczeniu i wyraził też chęć udania się w następnym roku za granicę, gdzie znaleźć może pewne źródła, niedostępne w Ameryce. Stary Ward zdecydowanie się temu sprzeciwił twierdząc, że to absurd puszczać w taką podróż osiemnastoletniego zaledwie młodzieńca; odnośnie uniwersytetu natomiast wyraził zgodę. Tak więc, po niezbyt chwalebny ukończeniu Szkoły Mosesa Browna, nastąpił dla Charlesa trzyletni okres intensywnych studiów okultystycznych i poszukiwań cmentarnych. Uznany został za dziwaka, i jeszcze bardziej niż dawniej wypadł z układów towarzyskich rodziny; zajmował się wyłącznie swoją pracą i sporadycznie tylko wyjeżdżał na krótko do różnych miast w pogoni za jakimiś dokumentami. Pewnego razu wybrał się na południe, by zobaczyć się z dziwnym, starym Mulatem mieszkającym na moczarach, o którym wydrukowano w gazecie niezwykle



artykuł. Poza tym odszukał niewielką wioskę Adirondacks, skąd nadeszło doniesienie o pewnych osobliwych praktykach i ceremoniach. Ale wyprawy do Starego Świata, o której tak marzył, rodzice wciąż mu zabraniali.

Kiedy w kwietniu 1923 roku osiągnął pełnoletność – i dysponując niewielkim spadkiem, jaki otrzymał po dziadku ze strony matki – Ward postanowił wreszcie zrealizować swe marzenia i wyruszyć do Europy. O itinerarium podróży powiedział tyle tylko, że wymogi studiów zawiodą go z pewnością do wielu miejsc, lecz o wszystkim będzie uczciwie donosił rodzicom w listach. Kiedy starzy Wardowie zrozumieli, iż decyzja ta jest nieodwołalna, pogodzili się z losem i starali okazać najdalej idącą pomoc w przygotowaniach. Ostatecznie w czerwcu, młody człowiek, opatrzony błogosławieństwem rodziców, którzy towarzyszyli mu aż do Bostonu, i do ostatniej chwili machali z przystani White Star w Charlestown odpłynął do Liverpoolu. Niebawem zaczęły nadchodzić listy mówiące o pomyślnym zakończeniu podróży, o wynajęciu – jak było mówione – przyzwoitego mieszkania na Great Russell Street w Londynie, o tym, że jak ognia unika wszelkich znajomych i przyjaciół. W Londynie miał pozostać tak długo, aż nie wyczerpie pewnych źródeł jakie znalazł w British Museum. O swym codziennym życiu pisał mało, bo i niewiele miał do pisania. Czas bez reszty pochłaniały mu studia i eksperymenty naukowe dokonywane w laboratorium, które urządził sobie w jednym z pokoi. Nic też nie pisał o włościach po tym historycznym, wspaniałym, starym mieście, z jego uroczymi, majaczącymi na tle nieba starodawnymi kopułami i wieżami, z plataniną uliczek i zaułków, których mistyczne sploty i nieoczekiwane widoki zaskakiwały swą zmiennością. Była to dla rodziców wspaniała wskazówka jak bardzo te nowe studia pochłonęły umysł młodzieńca.

W czerwcu 1924 roku krótki list powiedział o przenosinach do Paryża – dokąd już uprzednio odbył jedną czy dwie podróże lotnicze po materiały z

Bibliothèque Nationale. Przez następne trzy miesiące przysłał tylko jedną pocztówkę, podając w niej adres na Rue St. Jacques i informując, że rozpoczął specjalne poszukiwania w bibliotece rzadkich rękopisów, należącej do prywatnego kolekcjonera, którego nazwiska nie wymienił. Unikał kontaktów z ludźmi, więc żaden z powracających z Europy turystów nie spotkał studiującego tam młodzieńca. Po tej kartce nastąpiła przerwa i dopiero w październiku nadeszła do Wardów barwna widokówka z Pragi; wyczytali w niej, że Charles trafił do tęgi starodawnego miasta, by pokonferować z pewnym niewiarygodnie leciwym człowiekiem, który był zapewne ostatnim żyjącym posiadaczem niezwykle osobliwych, średniowiecznych informacji. Podał, że mieszka na Neustadt i zapewniał, że nie ruszy się stamtąd aż do stycznia; wtedy to przysłał kilka widokówek z Wiednia, w których donosił o wędrówkach po tym mieście. Był w nim tylko przejazdem; wybierał się bowiem jeszcze dalej na wschód, do jednego ze swych korespondentów, również studiującego okultyzm.

Następna kartka przyszła z Klausenburgu w Transylwanii. Charles zawiadomił, że zbliża się już do celu. Zamierzał jeszcze odwiedzić Barona Ferenczy, którego dobra leżą w górach na wschód od Rakus. Kartka z samego Rakus nadeszła w tydzień później; Charles pisał, że czeka już tam nań pojazd gospodarza i za chwilę opuszcza wioskę by udać się w góry. Była to ostatnia pocztówka – po niej nastąpiła bardzo długa przerwa. Dopiero w maju odezwał się ponownie, mimo iż rodzice cały czas dosłownie zasypywali go listami. W piśmie tym, Charles odwodził matkę od pomysłu spotkania się z nim w Londynie, Paryżu lub w Rzymie, dokąd to Wardowie zamierzali się udać podczas planowanej po droży do Europy. Studia, twierdził, nie pozwalają mu opuścić obecnego miejsca pobytu, a położenie zamku Barona Ferenczy z kolei nit sprzyja wizytom. Pałac stoi na odludziu, na stromej skale w porośniętych lasami górach, a sama okolica

jest przez miejscowych unikana i normalni ludzie czują się tam bardzo źle. Ponadto poprawnemu, konserwatywnemu szlachcicowi z Nowej Anglii nie przypadłby do gustu sam baron. Był bowiem aż niepokojąco stary i miał swoje nawyki. Lepiej, twierdził Charles, jeśli rodzice zaczekają aż wróci do Providence, co powinno już niebawem nastąpić.

Powrót jednak nastąpił dopiero w maju 1925 roku, kiedy to – po kilku zwiastujących kartkach pocztowych – młody podróżnik, bez rozgłosu, wpłynął do Nowego Yorku na statku "Homerick", a następnie ruszył autobusem w długą drogę do Providence. Spijał wzrokiem zielone, ciągnące się wzgórza, wonne sady, pełne kwitnących owocowych drzew, białe od strzelistych wież miasteczka wiosennego Connecticut; pierwsze po blisko dwóch latach spotkanie ze swojską Nową Anglią. Kiedy pojazd przeciąwszy Pawcatuck, dotarł do Rhode Island skąpanej w czarodziejskim złocie późnego, wiosennego popołudnia, zabiło mu mocniej serce; wjazd do samego Providence ulicami Reservoir i Elmwood – mimo otchłannej, zakazanej wiedzy jaką zdobył, był czymś cudownym i zapierającym w piersiach dech. Ze skweru usytuowanego na szczycie wyniosłego wzgórza – gdzie łączą się ulice Broad, Weybosset i Empire – ujrzał wokół siebie, i w dole, stojące w ogniu zachodzącego słońca, dobrze znane, schludne domy, kopuły i wieże starego miasta; a już zawrotu głowy dostał kiedy pojazd toczył się w dół do swej końcowej stacji za Biltmore, przed oczyma Warda rysował się olbrzymi garb starego wzgórza za rzeką, spowity miękką, pokłutą dachami zielenią oraz wysmukłą, kolonialna iglica Pierwszego Kościoła Baptystów, która w magicznym, wieczornym blasku majaczyła różowo na tle świeżej wiosennej zieleni urwiska.

Stare Providence! Miejsce, gdzie tajemnicze siły drugiej i ciągłej historii powoływały go do życia, cofając jednocześnie ku cudom i sekretom, których krańca nie był w stanie wyznaczyć żaden prorok. Tu tkwiły

korzenie – cudowne lub przerażające – całej sprawy, do której przygotowały Charlesa te wszystkie lata jego podróży i mozolnych studiów. Taksówka przemknęła przez Post Office Square – skąd widać było rzekę – a potem obok starego Domu Handlowego na brzeg zatoki i ostro w górę przez Waterman Street na Prospect, gdzie olbrzymia, lśniąca kopuła i zalane światłem zachodzącego słońca jońskie kolumny Kościoła Nauki Chrystusowej wskazywały północny kierunek. Następnie minął osiem kwadratowych, przepięknych, starych rezydencji które oglądał jeszcze oczyma dziecka – z ciągnącymi się po obu stronach ulicy oryginalnymi, ceglanyimi chodnikami, po których tak często kroczyły jego młodzieńcze stopy, i na końcu, po prawej Stronie pojawiła się mała, biała farma, po lewej zaś klasyczny portyk Adama i majestatyczna, pełna wykuszy fasada wielkiego, ceglanego domu, w którym się urodził. Zapadł już zmrok, kiedy Charles Dexter Ward powrócił do domu.

**P**sychiatrzy, nastawieni nie tak akademicko jak doktor Lyman, początek prawdziwego szaleństwa Warda wiążą z jego europejską podróżą. Przyznają, że kiedy wyruszał, był całkiem zdrow, lecz po powrocie jego zachowanie dobitnie świadczyło o zgubnych zmianach, jakie w nim zaszły. Doktor Willett jednak jest odmiennego zdania; upiera się, że wydarzyło się to później; a dziwactwa młodzieńca w tym okresie przypisuje praktykowaniu rytuałów, które poznał był za granicą – zapewne niezwykle osobliwych, ale nie pociągających jeszcze za sobą aberracji umysłowej. Sam Ward, poza tym, że wyraźnie zmęźniał i podrosł, w swych reakcjach generalnie pozostał normalny i w kilku przeprowadzonych z Willettem rozmowach wykazał taką równowagę psychiczną, jakiej żaden szaleniec – nawet w początkowym stadium choroby – nie potrafiłby symulować przez dłuższy czas. Jedyłą w tym czasie rzeczą, sugerującą ewentualnie szaleństwo były dźwięki jakie dobiegały o różnych porach z laboratorium na poddaszu, gdzie młodzieniec spędzał prawie cały czas. Słysząc było dochodzące stamtąd śpiewy, recytacje i rodzaj jakichś grzmiących deklamacji w niesamowitym rytmie; i jakkolwiek dźwięki te wydawane były głosem Warda, to charakter jego głosu i akcent wymawianych formuł mroził krew w żyłach słuchaczy. Nig, ukochany, sędziwy kot domowników, za każdym razem, kiedy słysząc było stamtąd pewne tony, wyraźnie ożywił się i prężył grzbiet.

Od czasu do czasu dolatywały też z laboratorium zapachy w najwyższym stopniu intrygujące. Niektóre z nich były przykre, przeważały

jednak nieokreślone choć natrętne aromaty sprowadzające najfantastyczniejsze halucynacje. Każdy, kto wciągnął w płuca ów przenikający powietrze zapach, doznawał chwilowych wizji rozległych horyzontów z dziwnymi wzgórzami, czy też niekończących się alei sfinksów i gryfów o końskim ciele, ciągnących się w niezmierzone dale. Charles Ward poniechał już swych dawnych włóczęg; czas spędzał albo nad dziwnymi książkami, których nawiózł do domu całą masę, albo też poświęcał się równie dziwnym badaniom. Tłumaczył to tym, że europejskie źródła roztoczyły przed nim nowe perspektywy i otworzyły możliwości, dzięki którym w najbliższych latach dokona rzeczy rewolucyjnych. Jeszcze bardziej upodobił się do Curwena z portretu w bibliotece, przed którym doktor Willett, zawsze ilekroć składał Charlesowi wizytę, przystawał zdumiony. Tak naprawdę, to już tylko niewielka plamka nad prawym okiem mężczyzny na portrecie odróżniała dawno zmarłego czarnoksiężnika od żyjącego młodzieńca. Wizyty te, które Willett składał Charlesowi na wyraźne życzenie pana Warda, były również sprawą zadziwiającą. Młody człowiek wprawdzie nigdy nie dał doktorowi wyraźnej odprawy, ale też i nigdy nie pozwolił mu dotrzeć do głębszych warstw swej psychiki. Willett często zastawał w pracowni różne osobliwe rzeczy; a to ustawione na półkach lub stole niewielkie, wykonane z wosku wyobrażenia o groteskowych kształtach, to znów wpół zatarte pozostałości kół, trójkątów i pentagramów wykonanych kredą albo węglem na uprzątniętej podłodze na środku wielkiego pokoju. A nocami grzmiały owe rytmy i inkantacje; doszło w końcu do tego, że służba zaczęła potajemnie rozsiewać pogłoski, że Charles oszalał.

W styczniu 1927 roku zaszedł osobliwy wypadek. Pewnej nocy, około północy, kiedy Charles monotonnym głosem ciągnął rytuał, którego niesamowite kadencje budziły w całym domu upiorne echa, od zatoki

przyszedł nagły poryw przenikliwego wiatru, po czym nastąpiło trudne do wytłumaczenia drżenie ziemi, które odczuli wszyscy mieszkający w sąsiedztwie ludzie. Jednocześnie kot zaczął wykazywać niebywałe przerażenie, a w promieniu mili rozszczeły się wszystkie psy. Było to preludium do gwałtownej burzy z piorunami – fenomen o tej porze roku – których trzask był tak donośny, że państwo Wardowie pomyśleli w pierwszej chwili, że piorun trafił w dom. Ruszyli spieszenie na górę, by obejrzeć wyrządzone szkody, ale w prowadzących na poddasze drzwiach przywitał ich Charles. W jego bladej, złowieszczej twarzy o stanowczym wyrazie malowała się przyprawiająca o trwogę mieszanina powagi i triumfu. Zapewnił rodziców, że w dom nie trafiło, a burza wkrótce minie. Wyjrzawszy przez okno, przekonali się, że ma rację; błyskawice oddalały się, korony drzew, targane dziwnym, lodowatym podmuchem ciągnącym znad wody nieruchomiały, a grzmoty przekształciły się najpierw w odległy, stłumiony chichot, poczym ucichły całkowicie. Pojawiły się gwiazdy, a malujący się na twarzy Charlesa triumf skryształizował się, przybierając niezwykle osobliwy wyraz.

Po tym zdarzeniu, mniej więcej przez dwa miesiące, Ward dużo mniej czasu niż zazwyczaj spędzał w laboratorium. Wykazywać też zaczął dziwne zainteresowanie pogodą, pytając bez przerwy, kiedy nadejdzie wiosna i puszcza skuwające ziemię okowy lodu. Pewnej nocy, pod koniec marca, dobrze już po północy opuścił dom i wrócił dopiero nad ranem. Jego matka – która właśnie się obudziła – posłyszała dochodzący od bramy wjazdowej dźwięk silnika. Potem dobiegły ją stłumione przekleństwa i kiedy zaintrygowana podeszła do okna, ujrzała iż cztery ciemne postacie wyciągają z ciężarówki, pod dyktando Charlesa, długą, ciężką skrzynię i wnoszą ją przez boczne drzwi do domu. Potem dobiegł ją zdyszany oddech i ciężki chód po schodach, a na koniec głucho tąpnięcie na strychu. Parę

chwil później rozległ się dźwięk schodzących po schodach kroków i czwórka mężczyzn znów pokazała się na polu przy ciężarówce, którą zaraz odjechali.

Tego dnia Charles zaciągnął okiennice w swym zaciszu na poddaszu, zamknął się tam na głucho i przystąpił do pracy z jakimś metalowym przedmiotem. Nikogo nic wpuszczał i uporczywie odmawiał proponowanych posiłków. Około południa rozległ się jakiś donośny łomot, a po nim straszny krzyk i odgłos upadku. Kiedy zaniepokojona i pani Ward zastukała do drzwi, po dłuższym milczeniu syn odpowiedział cicho, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Ale obrzydliwy, nie do opisanie smród, który buchał z za drzwi, różnił się całkowicie od poprzednich zapachów. Późnym popołudniem, kiedy ucichły dobiegające z za zamkniętych na głucho drzwi dziwne, syczące dźwięki, młodzieniec pojawił się osobiście; wystraszony i dziwnie wymizerowany. Zabronił komukolwiek i pod jakimkolwiek pozorem przekroczyć progu laboratorium. Tak właśnie rozpoczął się kolejny etap jego sekretnych zajęć! Nigdy już później nic wolno było nikomu wchodzić! ani do tajemniczej pracowni w mansardzie, ani do przylegającego do niej magazynku, który Charles sam wysprzątał i umeblował z grubsza, dołączając do swego nietykalnego, prywatnego królestwa, i traktując go jako sypialnię. Tam też, zamknięty z książkami przyniesionymi z biblioteki na dole, żył aż do czasu, kiedy zakupił bungalow w Pawtuxet, dokąd przeniósł cały swój naukowy dobytek.

Wieczorem tego dnia, Charles ukrył przed domownikami gazetę i pozorując jakiś wypadek, zniszczył pewne jej strony. Doktor Willett na podstawie zeznań domowników ustalił później datę tego wydarzenia, wydobył z redakcji "Journalla" nie zniszczony egzemplarz i sprawdził treść zniszczonego przez Warda fragmentu. Był to niewielki artykuł:



## Nocni kopacze na Cmentarzu Północnym

Robert Hart, nocny stróż na Cmentarzu Północnym zaskoczył dziś nad ranem, w najstarszej części cmentarza kilku mężczyzn, którzy przybyli tam ciężarówką. Z pozostawionych śladów wynika, iż natknął się na nich, nim ci zdążyli dokonać tego, co zamierzali – bez względu, co to miało być.

Zaskoczył ich około czwartej nad ranem; uwagę jego zwrócił bowiem dochodzący spoza budki, w której przebywał, dźwięk motoru. Kiedy zaintrygowany wyszedł na zewnątrz, ujrzał w niewielkiej odległości na drodze ciężarówkę: niestety szelest stóp na żwirze zdradził jego obecność. Mężczyźni spieszenie umieścili na ciężarówce wielką skrzynię, i, nim zdołał ich pochwycić, odjechali w stronę ulicy. Żaden z okolicznych grobów nie został uszkodzony i Hart sądzi, że chcieli tę skrzynię zakopać w ziemi.

Kopacze musieli pracować już dłuższy czas, bowiem Hart natknął się na olbrzymi, świeży wykop, w znacznej odległości od szosy w kwaterze Amosa Fielda, gdzie pozostało już niewiele kamiennych nagrobków. Dziura wielkości grobu była pusta, a zgodnie z planem cmentarza w miejscu tym nigdy nie było żadnego grobu.

Sierżant Riley z Drugiego Posterunku obejrzawszy miejsce przestępstwa wyraził opinię, że dół wykopany został prawdopodobnie przez bootleggerów, którzy w ten straszny i pomysłowy zarazem sposób, chcieli ukryć w bezpiecznym miejscu swój towar. Przesłuchiwany Hart zeznał, iż ciężarówka skierowała się prawdopodobnie w stronę Rochambeau Avenue, ale pewności nie ma.

Przez kilka kolejnych dni, Charles Ward z rzadka tylko pokazywał się rodzinie. Powiększając swe królestwo na poddaszu o sypialnię, spędzał tam dosłownie każdą chwilę, a posiłki, dostarczane mu pod drzwi odbierał dopiero wtedy, gdy służący się już oddalił. Ponownie wróciły monotonne formuły i śpiewy w dziwacznych rytmach; niekiedy przypadkowi słuchacze

słyszeć mogli brzękliwe dźwięki szkła, syczenia jakichś chemikaliów, szum płynącej wody oraz warkot gazowych płomieni w palniku. W okolicy zamkniętych drzwi laboratorium w powietrzu wisiał odór, jakiego nigdy tam wcześniej nie było. W twarzy młodego samotnika, ilekroć wychodził ze swego ukrycia, malował się wyraz najgłębszego zamyślenia. Raz osobiście się udał do Atheneum po książkę, której widocznie potrzebował, innym razem wynajął gońca, który przywiózł mu z Bostonu jakąś inną, tajemniczą księgę. Ogólnie sytuacja stawała się coraz bardziej nieznośna i rodzina, wraz z doktorem Willettem na dobrą sprawę nie wiedziała co z tym wszystkim zrobić i co o tym sądzić.

**P**iętnastego kwietnia nastąpiło kolejne, dziwne wydarzenie, do którego doktor Willett przywiązuje dużą wagę. Stało się to w Wielki Piątek – co zwłaszcza na służbie wywarło wielkie wrażenie – ale pozostali domownicy potraktowali to jako czysty zbieg okoliczności. Późnym popołudniem młody Ward zaczął wyjątkowo donośnym głosem powtarzać pewną formułę i palić przy tym jakieś substancje, których ostra woń rozniosła się po całym domu. Formułę tę słyszeć było w całym hallu tak wyraźnie, że nadśledzająca niespokojnie pod zamkniętymi drzwiami pani Ward zdołała zapamiętać poszczególne jej słowa i potem, na prośbę doktora Willetta zapisać ją. Formuła brzmiała jak poniżej, a eksperci poinformowali doktora, iż bliską jej analogię znaleźć można w mistycznym dziele "Eliphas Levi" o tajemniczej postaci, która przekradła się przez uchylone, zakazane drzwi i ujrzała przerażające otchłanie znajdującej się za nimi próżni:

Per Adonai Eyoim, Adonai Jahova, Adonai Sabaoth, Metraton Ou Agla Methon, verbum pythonicum, mysterium salamandrae, cenventus sylvorum, antra gnomorum, daemona Coeli God, Almonsin, Gibor, Jehosua, Evam, Zariathnatmik, Veni, veni, veni.

Trwało tak bez przerwy i na okrągło bite dwie godziny; potem w sąsiedztwie rozległo się piekielne wycie psów. Jak przeraźliwe było to wycie, świadczyć mogła następnego dnia ilość szpalt w gazecie poświęconych temu wydarzeniu. Mieszkańcy domu jednak nie zwrócili na to uwagi. Problem wycia bowiem skutecznie przysłał im napływający

nieustannie zza zamkniętych drzwi laboratorium odór. Odrażający, wszechprzenikający smród, jakiego nikt nie czuł dotąd i nigdy już nie poczuje w przyszłości. Wtedy też nastąpił straszliwy błysk, który – gdyby nie światło dnia – z pewnością oślepiłby domowników. Wraz z błyskiem spłynął głos, jakiego żaden ze słuchaczy nie zdołał już zapomnieć. Pochodził z jakiejś niesłychanej, ogłuszającej dali i głębi; i nie był to głos Charlesa Warda. Wstrząsnął on domem w posadach i poprzez zgiełk czyniony przez psy słyszało go co najmniej dwóch sąsiadów. Wstrząśniętej, podsłuchującej pod drzwiami laboratorium syna pani Ward, przeszły po plecach lodowate ciarki, kiedy pojęła, piekielne znaczenie tego głosu. Charles bowiem opowiedział jej kiedyś, jak straszną sławą się ów głos cieszy w mrocznych księgach, i o tym jak grzmiał – według listów Fennera – nad skazaną na zagładę farmą Pawtuxet owej straszliwej nocy, kiedy umierał Joseph Curwen. Nie było najmniejszych wątpliwości co do tożsamości tej koszarnej frazy, którą Charles, jeszcze w czasach, kiedy szczerze o wszystkim rozmawiał z rodzicami, tak żywo opisywał. Był to tylko fragment, w archaicznym i zapomnianym języku:

“DIES MIES JESCHET BOENE DOESEF DOUYEMA  
EINTEMAUS.”

Zaraz po grzmiącym głosie, nadciągnął, mimo, iż był to środek dnia jakby mrok, a za nim fala smrodu, odmiennego wprawdzie od dotychczasowych, lecz równie obcego i trudnego do zniesienia. Charles znów podjął śpiew i matka zapamiętała poszczególne sylaby, które brzmiały jak: “Yi – nash – Yog – Sothoth – he – Iglb – fi – throdag” kończąc się słowem: “Yah!”, wydanym głosem o maniakalnej sile wspinającym się aż po rozdzierające uszy crescendo. Sekundę później powietrze wypełnił zawodzący skowyt, który wybuchł z szaleńczą siłą i stopniowo zmieniając

formę i tonację, przeszedł do paroksyzmu diabolicznego, histerycznego śmiechu. Kobieta zamarła na chwilę, lecz nad trwogą jednak wzięła górę ślepa odwaga matki; pani Ward postąpiła do przodu i zapukała do drzwi; odpowiedziała jej głucha cisza. Zastukała ponownie, i wtedy sparaliżował ją straszliwy skrzek, tym razem niewątpliwie wydany znanym jej tak dobrze głosem syna, ale współbrzmiący jednocześnie z tym innym, wciąż Jeszcze wibrującym w powietrzu głosem. Zemdlała, jakkolwiek nie jest w stanie przypomnieć sobie dokładnej i bezpośredniej przyczyny tego zasłabnięcia. Pamięć płata czasem miłosierne figle.

Pan Ward wrócił z firmy dokładnie kwadrans po szóstej i nie zastawszy żony na parterze, dowiedział się od przerażonej służby, że zapewne pilnuje drzwi Charlesa, zza których dobiegały jeszcze dziwniejsze odgłosy. Natychmiast podążył na piętro, gdzie na korytarzu pod drzwiami laboratorium natknął się na rozciągniętą na podłodze żonę. Przyniósł więc spieszenie z toalety w pobliskiej alkowie szklankę wody i chlapiąc zimnym płynem na twarz nieprzytomnej, obserwował z ulgą jak stopniowo dochodzi do siebie i otwiera oszołomione oczy. Wtedy, nieoczekiwanie, jego z kolei przeszył lodowaty dreszcz i niewiele brakowało, by pan Ward wpadł w taki sam stan, z jakiego wyszła właśnie jego żona. Pograżone bowiem dotąd w ciszy laboratorium, nie było już wcale ciche; dobiegać zaczęły stamtąd dźwięki napiętej, stłumionej rozmowy prowadzonej wprawdzie głosem zbyt cichym, by dało się rozróżnić poszczególne słowa, ale w jakiś sposób przejmującej do szpiku kości.

To, że Charles mamrocze jakieś formuły, nie było niczym nowym; tylko że tym razem był to wyraźny dialog – czy też jego imitacja – w którym z łatwością rozróżnić było można pytania i odpowiedzi, oświadczenia i odzewy. Jeden z głosów należał z całą pewnością do Charlesa, ten drugi jednak posiadał głębię i tubalność, jakich młodzieniec przy najlepszych

nawet chęciach nie byłby w stanie wydobyć ze swego gardła. Było w nim coś tak obrzydliwego, bluźnierczego i anormalnego, iż wyłącznie straszny krzyk, jaki wydała w tej chwili żona pana Warda sprawił, że nie zemdłał. Przeciwnie, odezwały się w nim takie instynkty opiekuńcze, jakich Theodore Howland Ward w dotychczasowym swym życiu jeszcze nie doświadczył. Wziął żonę na ręce i, nim w pełni dotarły do jej świadomości głosy, które nim tak straszliwie wstrząsnęły, szybko zniósł ją na parter. Umykając na dół, posłyszał jednak coś co sprawiło, że zachwiał się pod niesionym ciężarem. Krzyk pani Ward bowiem musieli usłyszeć ci inni, i w odpowiedzi, zza zamkniętych drzwi dobiegły pierwsze artykułowane, wyraźne słowa. Była to tylko uwaga, którą podniecony Charles zwrócił komuś, lecz w jakiś mglisty sposób niosła ona ojcu nieznaną groźbę:

– Sza... pisz!

Po obiedzie Wardowie odbyli dłuższą naradę i ojciec postanowił jeszcze tego wieczoru rozmówić się ostatecznie z synem. Nieistotne, jak ważne były zajęcia Charlesa, takie zachowanie się było niedopuszczalne. Ostatnie wybryki przekraczały już granice zdrowego rozsądku, zagrażając łądowi w domu i nerwom pozostałych domowników. Młodzieniec musiał chyba stracić rozum, gdyż tylko zwykłe szaleństwo tłumaczyć mogło tak dzikie wrzaski i wyimaginowane rozmowy prowadzone różnymi głosami. Jeśli nie położy temu kresu, pani Ward ciężko rozchoruje się na nerwy, a służba porzuci pracę.

Kiedy sprzątnięto ze stołu, pan Ward wstał i ruszył na górę do laboratorium Charlesa. na trzecim piętrze zaintrygowały go dźwięki dochodzące z nie używanej ostatnio biblioteki syna. Ktoś najwyraźniej przerzucał tam książki i papiery. Kiedy zdesperowany ojciec przekroczył próg pokoju, ujrzał młodzieńca, dźwigającego całe naręcze książek.

Twarz Charlesa była wychudła i zmizerowana, a na dźwięk głosu ojca, upuścił raptownie na podłogę dźwigany ciężar. Na rozkaz zrezygnowany usiadł posłusznie i musiał wysłuchać tego, co pan Ward miał mu do powiedzenia. Obyło się bez scen. Młodzieniec zgodził się z ojcem, że wszystkie te głosy, mamroty, magiczne zaklęcia i smród chemikaliów są rzeczą niedopuszczalną i obiecał poprawę, jakkolwiek zastrzegł, że chciałby w dalszym ciągu utrzymywać wszystko w tajemnicy.

Obecnie jego praca polegać będzie zasadniczo na lekturze; niemniej jednak musi znaleźć sobie jakieś pomieszczenie, gdzie w razie potrzeby będzie mógł swobodnie kontynuować swe wokalne rytuały. Wyraził skruchę z powodu matki, wyjaśniając przy tym, iż owa późna konwersacja stanowiła część starannie i drobiazgowo opracowanego systemu symbolicznego, którego celem było wytworzenie pewnej atmosfery umysłowej. Pana Warda najbardziej zadziwiła w tej rozmowie znajomość trudnych i zawiłych terminów chemicznych, jaką przejawiał jego syn; ogólne wrażenie jednak było pozytywne i mężczyzna nabrał przekonania, że Charles, mimo swych dziwactw, tajemniczego napięcia malującego się w twarzy oraz śmiertelnej powagi, jest bez wątpienia normalny i zrównoważony. Rozmowa w sumie niczego nie rozstrzygnęła i kiedy Charles podniósł rozsypane na ziemi książki i opuścił pokój, pan Ward na dobrą sprawę nie wiedział, co z tym wszystkim zrobić. Pozostawała jeszcze tajemnicza śmierć biednego Niga, którego godzinę wcześniej znaleziono martwego w piwnicy; miał wytrzeszczone ślepia i wykrzywiony przerażeniem pysk.

Oszołomiony rodzic, kierowany jakimś niejasnym detektywistycznym instynktem, odruchowo rozglądał się po pustych półkach, sprawdzając, co zabrał ze sobą na strych jego syn. Biblioteka młodzieńca była dokładnie posegregowana i pan Ward bez trudu zorientował się, czego brakuje.

Skonstatował ze zdumieniem, że tym razem Charles nie tknął żadnej z książek traktujących o historii czy okultyźmie. Zabrał wyłącznie rzeczy współczesne – traktaty naukowe, podręczniki literatury, prace filozoficzne oraz pewne roczniki gazet i czasopism. Biorąc pod uwagę dotychczasowe zainteresowania Charlesa Warda było to zdumiewające. Ponadto pan Ward czuł, że jest tu coś jeszcze; odnosił pogłębiające się cały czas wrażenie dziwaczności.

Odczucie było tak silne, że pan Ward zamarł i wszelkimi siłami próbował ogarnąć myślą i sprecyzować dokładnie, co jest tutaj nie w porządku. Bo niewątpliwie coś było nie tak; czuł to zarówno duchem jak i ciałem. Zresztą od pierwszej chwili, kiedy trafił do tego pokoju, wyczuwał to intuicyjnie. I nagle przyszło olśnienie.

Farba z przeniesionego tu z domu w Olney Court portretu Curwena nad ozdobnym gzymsem kominka na północnej części ściany pokoju, była kompletnie złuszczone. Czas, przez jaki pokój stał pusty – a więc i nieogrzewany – zrobił swoje. Farba łuszczyła się i łuszczyła zwijając się warstwa po warstwie, aż kruche płatki odpadały, odsłaniając same drewniane podłoże obrazu; i oczy Josepha Curwena przestały już śledzić każdy krok tak podobnego do niego młodzieńca. Obraz rozpadł się i jedynie na podłodze pozostała warstwa delikatnego, błękitnawo–szarego kurzu.





# ROZDZIAŁ CZWARTY

# Przemiana i szaleństwo

-1-

**P**rzez cały tydzień, który nastąpił po pamiętnym Wielkim Piątku, Charles Ward pokazywał się domownikom dużo częściej niż zazwyczaj; prznosił bowiem nieustannie książki z biblioteki do laboratorium na poddaszu. Jego zachowanie się było poprawne i rozsądne, wyłącznie matce bardzo nie podobał się wystraszony i zaszczuty wyraz jego oczu. Ponadto przejawiać zaczął wilczy wprost apetyt, co można było wnosić po ilości zamówionego u kucharza jedzenia.

Doktor Willett na wieść o piątkowych hałasach i wydarzeniach, w najbliższy wtorek zamknął się z młodzieńcem w bibliotece, gdzie z portretu na ścianie nie spoglądał już dłużej Curwen i odbył z Charlesem długą rozmowę, która – jak wszystkie dotychczas – niewiele przyniosła nowego. A jednak doktor stanowczo utrzymuje, że młodzieniec był jeszcze wtedy niewątpliwie sobą i przy zdrowych zmysłach. Obiecywał, że już wkrótce rozgłosi światu rewelacje, ale na razie musi zorganizować sobie nowe laboratorium, gdzieś poza rodzinnym domem. Zniszczenie portretu niewiele go obeszło, co biorąc pod uwagę jego pierwotny entuzjazm, było rzeczą dziwną; zwłaszcza iż fakt rozpadnięcia się w proch obrazu, zdawał się bawić młodzieńca.

Po jakichś dwóch tygodniach, Charles zaczął znikać na dłuższy czas z domu i pewnego razu, kiedy stara, dobra Murzynka Hannah przyszła pomóc

w wiosennych porządkach, wspomniała przy okazji o ciągłych wizytach młodzieńca w starym domu w Olney Court, gdzie zawsze zjawiał się z wielką walizką i prowadził w piwnicy jakieś cudaczne badania. Do niej samej i do starego Asa odnosił się zawsze bardzo dobrze, ale sprawiał wrażenie zastraszonego, co niezwykle martwiło poczciwą Murzynkę, która znała go przecież od urodzenia.

Kolejne wieści o jego poczynaniach nadeszły z Pawtuxet, gdzie bardzo często widywali go pewni przyjaciele rodziny. Wyglądało, że bez przerwy odwiedza plażę i przystań na Rhodes-on-the-Pawtuxet; późniejsze śledztwo przeprowadzone przez doktora Willetta ujawniło, iż gorączkowo poszukiwał tam dojścia na porośnięty zbitym gąszczem zarośli brzeg rzeki, wzdłuż której odbywał długie wędrówki w kierunku północnym. Później, w maju, wznowił raz w laboratorium na poddaszu swe rytualne śpiewy, co spowodowało gniewną reakcję pana Warda, a ze strony Charlesa z kolei, mglistą obietnicę poprawy. Rzecz miała miejsce z rana, kiedy to po śpiewach, znów rozległa się – jak w ów burzliwy Wielki Piątek – wyimaginowana rozmowa. Młodzieniec spierał się sam ze sobą, czynił sobie wymówki, a na koniec wybuchła straszna awantura i krzyki. Doskonale można było rozpoznać czyjeś stawiane donośnym głosem żądanie, któremu ktoś uparcie się sprzeciwiał. Pani Ward natychmiast znalazła się na górze i zaczęła podsłuchiwać pod drzwiami. Rozróżnić zdołała zaledwie fragment rozmowy, gdzie jedynym wyraźnym zwrotem było: “przez trzy miesiące muszę mieć to czerwone”. Kiedy zakołatała do drzwi, wszelkie hałasy natychmiast ustały. Przepytywany później przez ojca Charles, wyjaśnił, że wystąpiły pewne konflikty sfer świadomości. Konfliktów takich uniknąć mógłby wyłącznie jakiś wybitny umysł, ale on – Charles – postarał się przenieść je w inne dziedziny.

Mniej więcej w połowie czerwca, pewnej nocy zaszedł kolejny, tajemniczy wypadek. Wczesnym wieczorem rozległ się w laboratorium jakiś rumor i łoskot, ale nim pani Ward dotarła do drzwi, wszystko się uspokoiło. O północy, gdy rodzina udawała się już na spoczynek i szef służby domowej – zgodnie ze swym późniejszym oświadczeniem – zamykał właśnie na noc frontowe drzwi, u stóp schodów pojawił się chwiejnym i niepewnym krokiem, dźwigający wielką walizę Charles. Młodzieniec nie odezwał się słowem i tylko gestem pokazał, że pragnie wyjść; poczciwy, pochodzący z Yorshire sługa natychmiast zauważył jego rozgorączkowany, rozbiegany wzrok i dziwne drzenie ciała.

Otworzył drzwi i młody Ward bez słowa opuścił dom, z rana jednak lokaj powiadomił o wszystkim panią Ward. Służący oświadczył, iż w spojrzeniu, jakim obrzucił go Charles było coś piekielnego i młody gentleman nie powinien w ten sposób spoglądać na uczciwych ludzi. W każdym bądź razie, lokaj nie miał zamiaru pozostać pod tym dachem przez następną noc. Pani Ward pozwoliła mężczyźnie odejść, ale nie przywiązała większej wagi do jego słów. Byłoby bowiem śmieszną rzeczą akurat tej nocy podejrzewać Charlesa o jakieś agresywne zachowanie; z laboratorium na górze – pani Ward nie mogła długo zasnąć – dobiegały stłumione odgłosy jakichś westchnień i szlochu, mówiących jedynie o najgłębszej rozpacz. Od tej właśnie chwili pani Ward regularnie już nasłuchiwała nocami dobiegających z góry dźwięków; tajemnica jej syna wyparła z umysłu matki wszelkie inne myśli.

Kolejnego wieczoru, podobnie jak miało to miejsce prawie trzy miesiące wcześniej, Charles Ward wziął gazetę i znów niby przypadkowo zniszczył obszerne jej części. Nikt z domowników jakoś nie zwrócił na ten szczegół uwagi; dopiero później, kiedy doktor Willett zaczął wiązać ze sobą poszczególne fakty, trafił i na tę okoliczność. W redakcji "Journalla"

odnalazł więc kompletny egzemplarz gazety i oznaczył dwa artykuły, o które zapewne chodziło Charlesowi:

Kolejni rabusie na cmentarzu.

Dzisiejszego ranka Robert Hart, nocny stróż na Cmentarzu Północnym, ponownie natknął się w najstarszej części cmentarza na ślad hien cmentarnych. Rozkopany został i ograbiony grób Ezry Weedena, urodzonego w roku 1740 i zmarłego w 1824 roku – jak było napisane na zdjętej i z furią potrzaskanej płycie nagrobnej. Czynu dokonano za pomocą szpadla ukradzionego z pobliskiego magazynu narzędzi.

Cokolwiek mogło znajdować się jeszcze w ziemi – ponad sto lat po pogrzebie – zostało zrabowane i w jamie odkryto tylko kilka kawałków zbutwiałego drewna. Nie znaleziono śladów kół żadnego pojazdu, ale policja zdjęła odcisk buta, którego ślad podeszwy sugeruje, że właściciel był człowiekiem wytwornym.

Hart skłonny jest wiązać ten incydent z poprzednim, jaki miał miejsce w marcu zeszłego roku, kiedy to spłoszył grupę mężczyzn z ciężarówką, którzy zdążyli tylko wykopać głęboki dół. Sierżant Riley z Drugiego Posterunku jednak jest innego zdania i wykazuje istotne różnice między tymi dwoma przypadkami. W marcu dół wykopano w miejscu, gdzie nigdy nie było grobu; teraz ograbiono istniejącą od dawna i zadbaną mogiłę, a zniszczona płyta nagrobna świadczy o jakichś głębszych motywach, jakimi kierowali się barbarzyńscy rabusie.

Powiadomieni o tym incydencie Weedenowie, wyrazili swe najwyższe zdumienie i oburzenie; nie mieli przecież wrogów, którzy by pragnęli aż niszczyć grób ich przodka. Hazard Weeden z Angel Street, mieszkający pod numerem 598 przypomniawszy wprawdzie starą legendę rodzinną, zgodnie z którą Ezra Weeden, na krótko przed Rewolucją wplątany miał być w jakąś

dziwną, choć nie przynoszącą mu ujmy historię – ale w ostatnich czasach nic podobnego się przecież nie wydarzyło. Sprawą zajął się osobiście Inspektor Cunningham; ma on nadzieję w najbliższym czasie wykryć jakieś nowe szczegóły.

W Pawtuxet szczekają psy.

Dzisiejszej nocy, około trzeciej nad ranem, mieszkańców Pawtuxet wyrwało ze snu niezwykle ujadanie psów, dobiegające gdzieś znad rzeki, nieco na północ od Rhodes-on-the-Pawtuxet. Siła i charakter tego wycia, zgodnie z opinią osób, które je słyszały, były doprawdy niezwykle, a Fred Lemdin, stróż nocny z Rhodes, utrzymuje, iż ujadaniu towarzyszyło coś, co do złudzenia przypominało wrzaski śmiertelnie przerażonego i pogrążonego w męczarni człowieka. Ostra i bardzo krótka burza z piorunami, która przeszła gdzieś w pobliżu zakola rzeki, położyła kres niepokojowi zwierząt. Z incydentem tym wiążą się dziwne i paskudne zapachy, dolatujące zapewne ze zbiorników z olejem, stojących na brzegu; one to mogły spowodować niepokój psów.

W wyglądzie Charlesa zaczęły zachodzić teraz osobliwe zmiany. Był wyraźnie wystraszony, a w oczach płonęły mu dzikie błyski i wracając pamięcią do tych dni, wszyscy są /godni, że młodzieniec pragnął jakby wyznać coś, co napawało go niehumanicznym przerażeniem. Matka, chorobliwie już przeczulona i nasłuchująca każdej nocy, spostrzegła, iż pod osłoną ciemności, syn jej nieustannie robi jakieś tajemnicze wypadki, które większość akademicko nastawionych psychiatrów, łączy zgodnie z odrażającymi przypadkami wampiryzmu, o których tak sensacyjnie pisała w tamtych dniach prasa. Ale ich sprawcy nigdy nie znaleziono. Wypadki te, nazbyt świeże i głośne by wnikać w ich szczegóły, dotyczyły ofiar w

różnym wieku i różnej płci, a dochodziło do nich głównie w dwóch konkretnych rejonach: na zabudowanym rezydencjami wzgórzu w North End – w pobliżu domu Wardów – oraz na przedmieściach Providence, w okolicach Cranston, niedaleko Pawtuxet. Atakowani byli zarówno nocni przechodnie, jak i osoby śpiące przy otwartym oknie, a ci którzy przeżyli, utrzymywali jednomyślnie, że atakował ich chudy, giętki, skaczący potwór z płonącymi oczyma; chwycił zębami szyję lub górne ramię ofiary i łapczywie pił krew.

Doktor Willett, który utrzymuje wciąż, że nawet wtedy Charles Ward był jeszcze normalny, jest bardzo ostrożny w próbach wytłumaczenia tej makabry. Posiada własną teorię, a w stanowczych opiniach ogranicza się wyłącznie do dziwnej negacji:

– Nie mówię – twierdzi – że wiem, kto lub co jest sprawcą tych napadów i morderstw, ale mogę śmiało oświadczyć, że Charles Ward nie miał z tym nic wspólnego. Jestem pewien, że nie znał smaku krwi, o czym lepiej niż jakiegokolwiek słowne argumenty, świadczyć mogła jego . przewlekła anemia i wzrastająca wciąż bladość twarzy. Wtrącił się w przerażające sprawy i zapłacił za to; ale potworem czy łajdakiem nigdy nie był. W tej chwili nie chcę już nawet o tym myśleć. Nadeszła przemiana, w wyniku której dawny Charles Ward umarł. A w każdym bądź razie umarła jego dusza, gdyż szalone ciało, które zniknęło ze szpitala Waite'a, posiadał ktoś inny.

Willett mówił to ze znajomością rzeczy, gdyż często bywał w domu Wardów, gdzie leczył panią Ward. W wyniku ciągłego napięcia, stan jej nerwów niebywale się pogorszył, a nocne czuwania sprowadziły tylko chorobliwe halucynacje, o których nawet doktorowi mówiła z niechęcią. Willett wprawdzie w rozmowach z nią bagatelizował to wszystko, lecz w duchu był bardzo zaniepokojony. Wszystkie te halucynacje niezmiennie wiązały się ze stłumionymi dźwiękami szłochu i westchnień dobiegającymi



z laboratorium na poddaszu i z sypialni syna o najprzeróżniejszych porach dnia i nocy. Ostatecznie więc, na początku czerwca, Willett polecił pani Ward udać się do Atlantic City na dłuższą kurację zdrowotną, a panu Wardowi oraz skrytemu i wycieńczonemu Charlesowi kazał pisywać do niej wyłącznie pogodne listy. Prawdopodobnie temu wymuszonemu przez doktora i niechętnemu z jej strony wyjazdowi, pani Ward zawdzięcza zdrowe zmysły, a zapewne i życie.

**W**krótce po wyjeździe matki, Charles Ward rozpoczął starania o zakup bungalowu w Pawtuxet. Mimo, iż był to nędzny, niewielki, drewniany budynek wyposażony w betonowy garaż, usytuowany na wysokim, słabo zabudowanym brzegu rzeki, nieco powyżej Rhodes, to z jakichś nieokreślonych powodów młodzieniec nie pragnął nic lepszego. Tak długo nachodził różne agencje handlu nieruchomościami, aż jedna z nich podjęła się tego zadania i załatwiła mu kupno bungalowu po wygórowanej zresztą cenie od jakiegoś niechętnie pozbywającego się go właściciela. Kiedy tylko to się stało, Charles pod osłoną nocy przetransportował tam wielką ciężarówką wszystkie swoje skarby z laboratorium na poddaszu, łącznie z książkami – i tymi dziwacznymi, i współczesnymi, które niedawno zabrał ze swojej pracowni. Ciężarówkę ładować kazał głęboką nocą, toteż ojciec przypomina sobie tylko, że przez sen słyszał stłumione przekleństwa i tupot czyichś nóg na górze, kiedy zabierano rzeczy. Następnie Charles wrócił do swych pokoi na trzecim piętrze i nigdy już nie odwiedzał strychu.

W bungalowie Pawtuxet, młodzieniec otoczył się nie mniejszą tajemnicą, niż w swoim królestwie na poddaszu; z tym tylko, że teraz posiadał już dwóch powierników tych sekretów: łajdacko wyglądającego Portugalczyka, Metysa z South Main Street w Waterfront, który pełnił funkcję służącego, oraz chudego cudzoziemca w ciemnych okularach i o długiej, szczeciniastej, wyglądającej na farbowaną brodzie, który najwyraźniej był współpracownikiem Charlesa. Sąsiedzi na próżno

próbowali pociągnąć za język tych dwóch dziwnych osobników. Mulat Gomez po angielsku mówił bardzo słabo, a brodac, przedstawiający się jako doktor Allen, również nie zdradzał ochoty do zwierzeń. Wprawdzie sam Ward próbował być bardziej komunikatywny, ale spowodował tylko powszechne zdumienie swymi badaniami chemicznymi. Po krótkim czasie zaczęły krążyć dziwne słuchy o płonących nocą w farmie tajemniczych światłach; a nieco później, kiedy światła te nagle znikły, jeszcze dziwniejsze opowieści o niewiarygodnych wprost ilościach mięsa kupowanego u rzeźników lub bezpośrednio w jatkach, o stłumionych krzykach, deklamacjach, rytmicznych śpiewach i wrzaskach dochodzących prawdopodobnie z niezwykle głębokich piwnic pod farmą. Nowe, dziwne gospodarstwo nie cieszyło się sympatią okolicznej burżuazji i nic dziwnego, że snuto mroczne historie, łączące czarnego służącego z epidemią wampiryzmu; zwłaszcza, że plaga ta ograniczyła się teraz wyłącznie do terenów samego Pawtuxet i przyległych do Edgewood ulic.

Większość czasu Charles spędzał w bungalowie; czasami jednak przebywał również pod dachem swego ojca i wciąż zaliczany tam był do domowników. Ze dwa razy opuścił na tydzień miasto, lecz cel tych wyjazdów jest dotychczas nieznany. Był coraz bledszy i coraz bardziej wycieńczony, a w rozmowach z doktorem Willettem wykazywał coraz mniejszy brak pewności siebie, kiedy powtarzał swą starą śpiewkę o wadze badań i przyszłych rewelacjach. Doktor Willett zazwyczaj czyhał na niego w domu rodziców, ponieważ głęboko zaniepokojony i zdezorientowany ojciec, chciał mieć jednak jaką taką kontrolę nad skrytym i niezależnym już, dorosłym synem. A sam doktor – przytaczając na to wiele argumentów – ciągle obstaje, iż młodzieniec w tym czasie był jeszcze normalny.

Wampir przestał grasować we wrześniu, ale już w styczniu, Charles Ward popadł w kolejne, ciężkie tarapaty. Nieustanny, nocny ruch

ciężarówek do bungalowu w Pawtuxet stał się obiektem powszechnego zainteresowania i czysty przypadek sprawił, iż wyszło na jaw, jaki towar one wożą. W odludnym miejscu, w pobliżu Hope Valley hijackerowie zastawili jedną ze swych niecznych zasadzek; tym razem jednak złoczyńców czekał prawdziwy szok. Po dostaniu się do podłużnych pudeł, ujrzeli iż zawierają one przechodzącą wszelkie wyobrazenie makabrę; odkrycie to było tak koszmarnie, że nie dało się go utrzymać w tajemnicy, i wieść o nim wyszła poza świat podziemny. Złodzieje pośpiesznie zakopali łup, ale sprawa stała się głośna i policja stanowa wszczęła dochodzenie. Aresztowany wkrótce potem włóczęga, za obietnicę zwolnienia z odpowiedzialności sądowej za różne inne sprawki, zgodził się zaprowadzić oddział żołnierzy do miejsca, gdzie zakopano skrzynie. W tych spiesznie wykopanych schowkach znaleziono pewne, niezwykle odrażające i haniebne rzeczy; tak odrażające, że ze względu na opinię publiczną – również międzynarodową – nie ujawniono tego, co znaleźli przejęci grozą wojskowi. Co do tego, by sprawę wyciszyć, nikt nie miał cienia wątpliwości – nawet pozbawieni wszelkich skrupułów oficerowie śledczy. Nastąpiła gorączkowa wymiana telegramów z Waszyngtonem.

Skrzynie jechały do bungalowu Charles Warda w Pawtuxet. Natychmiast też złożyli tam oficjalną wizytę oficerowie stanowi federalni. Błademu, zdenerwowanemu młodzieńcowi towarzyszyli dwaj jego kompani. Charles złożył przekonujące i świadczące o jego niewinności zeznania! Potrzebował pewnych okazów anatomicznych do badań, których znaczenie i autentyczność może zweryfikować każdy, kto znał go przez ostatnie dziesięciolecie. Zamówił więc potrzebny towar w paru agencjach, sądząc, że prowadzą one legalną działalność. Kiedy inspektorzy wspomnieli o straszliwym ciosie, jaki zadać może opinii publicznej i dumie narodowej wieść o całej sprawie, Charles oświadczył, że o tożsamości okazów nie

wiedział absolutnie nic, i sam jest wstrząśnięty. Oświadczenie Warda poparł w całej rozciągłości brodaty współpracownik, doktor Allen, którego dziwnie głuchy głos, bardziej przekonał oficerów, niż nerwowe tłumaczenia Charlesa. Ostatecznie więc sprawa została zatuszowana, ale oficerowie skrętnie zapisali adres agencji w Nowym Yorku, który podał im Ward; dalsze śledztwo nie przyniosło jednak żadnych rezultatów. Należy dodać, że okazy szybko i bez rozgłosu wróciły na swoje miejsca, i społeczeństwo nigdy nie dowiedziało o bluźnierczym zakłóceniu ich spokoju.

Dziewiątego lutego 1928 roku doktor Willett otrzymał od Charles Warda list, któremu przypisuje kluczowe znaczenie i na którego temat toczy nieustanne polemiki z doktorem Lymanem. Podczas gdy ten sądzi, że list stanowi wyłącznie potwierdzenie klinicznego przypadku dewentia praecox, Willett traktuje go jako ostatnie, całkowicie jeszcze normalne oświadczenie nieszczęsnego młodzieńca. Szczególną wagę przykładają do normalnego charakteru pisma, które – jakkolwiek wykazuje już pewne oznaki nadchodzącego załamania nerwowego autora – bez wątpienia jest charakterem Charles Warda. Tekst brzmiał w całości tak:

100 Prospect St.

Providence, R.L. Ósmy luty 1928

Drogi Doktorze Willett: \_\_\_\_\_

*Czuję, że nadszedł w końcu czas, bym wyjawiał to, co dawno już obiecywałem, i o coś tak często mnie molestował. Cierpliwość, jaką wykazałeś oraz zaufanie pokładane w moim rozumie i uczciwości zawsze będę cenił bardzo wysoko.*

*Teraz, kiedy jestem gotów złamać milczenie, muszę wyznać ze wstydem, że nie będzie żadnego triumfu o jakim marzyłem. Zamiast triumfu znalazłem*

przerażenie i moja rozmowa z tobą nie będzie rozmową o sukcesie, będę natomiast prosił o pomoc i radę, jak ratować siebie i świat od przekraczającej wszelkie ludzkie wyobrażenie grozy. Przypominasz sobie, co mówiły listy Fennera o napadzie na Pawtuxet. Należy to uczynić ponownie, i to jak najszybciej. Wisi bowiem nad nami coś, czego nie da się słowami opisać – a zależy od tego przyszłość całej cywilizacji, wszelkie prawa natury, być może los systemu słonecznego i wszechświata. Bo jakkolwiek czyniłem to w imię wiedzy, wyciągnąłem na światło dzienne przerażającą okropność. Teraz więc, w imię wszelkiego życia i całej znanej natury, musisz mi pomóc wepchnąć to ponownie w nicość.

Pawtuxet opuściłem na zawsze i musimy wytępić wszystko, co tam zostało; żywe czy martwe. Nie wrócę już tam, i nie wolno ci wierzyć, jeśli nawet posłyszysz, że tam jestem. Wszystko ci wyjaśnię podczas spotkania. Wracam na dobre do domu i proszę byś odwiedził mnie, jak tylko uda ci się wygospodarować pięć–sześć godzin czasu, by wysłuchać wszystkiego, co mam do powiedzenia. Zajmie to sporo czasu – i uwierz mi, że nigdy nie miałeś większego obowiązku zawodowego jak teraz. Moje własne życie i mój zdrowy rozsądek, są tutaj rzeczami najmniej istotnymi.

Nie wazę się powiedzieć o tym ojcu, gdyż nie pojąłby zapewne całej rzeczy. Powiedziałem mu tylko, że grozi mi niebezpieczeństwo; wynajmą zatem z agencji czterech detektywów, którzy pilnują domu dniem i nocą. Nie wiem na ile okażą się pomocni; przeciw sobie bowiem mają siły przerażające, siły, które nawet ty z trudem sobie wyobrazisz i zrozumiesz. Przybądź więc prędko, jeśli pragniesz ujrzeć mnie jeszcze żywego i wysłuchać, w jaki sposób możesz ocalić kosmos od absolutnego piekła.

Przybądź kiedykolwiek... nie będę wychodził z domu. Nie dzwoń przed tym, bo nie wiadomo kto lub co może cię przejść. I błagajmy wszystkich bogów jacy istnieją, by nic nie stanęło na przeszkodzie naszemu spotkaniu.

Z najwyższą powagą i rozpaczą  
Charles Dexter Ward.

P. S. Zastrzel doktora Allena jak tylko go zobaczysz, a jego ciało rozpuść w kwasie. Nie pal zwłok.

Doktor Willett otrzymał list o dziesiątej trzydzieści przed południem i natychmiast zorganizował sobie rozkład dnia tak, by popołudnie i wieczór poświęcić tej doniosłej rozmowie; a jeśli zajdzie potrzeba, przeciągnąć ją nawet do późna w nocy. W domu Wardów planował pojawić się około czwartej, ale i tak większość zajęć tego dnia wykonywał czysto mechanicznie; cały czas bowiem nurtowały go najdziksze myśli. Na kimś obcym list ów mógł sprawić wrażenie, że pisał go maniak, ale Willett zbyt dobrze znał dziwactwa Charlesa, by potraktować pismo jako stek bredni. Wyraźnie czuł, że w powietrzu wisi coś nieuchwytnego, starodawnego i okropnego, a wzmianka o doktorze Allenie stawała się zrozumiała w powiązaniu z szeptaniną w Pawtuxet o enigmatycznym współpracowniku Warda. Willett słyszał o jego wyglądzie i manierach, i był niezmiernie ciekaw, jaki też rodzaj oczu krył pod słynnymi już, ciemnymi okularami.

Punktualnie o czwartej doktor Willett zapukał do domu Wardów, ale ku swemu zdziwieniu dowiedział się, że Charles zmienił zamiar i opuścił dom. Spotkał tam też wynajętych detektywów, którzy oznajmili, że młodzieńca jakby opuścił nurtujący go od jakiegoś czasu strach. Odbył tego ranka szereg rozmów telefonicznych. Spierając się i argumentując, odpowiadał komuś o nieznanym głosie zdaniami takimi jak: "Jestem bardzo zmęczony i chwilowo muszę odpocząć", "Nie mogę przez jakiś czas nikogo przyjąć i

musisz mi to wybaczyć", "Proszę odłóż decydującą akcję aż dojdziemy do jakiegoś kompromisu" czy też "Bardzo mi przykro, ale muszę całkowicie oderwać się od wszystkiego; porozmawiam z tobą później". Następnie, nabierając widocznie śmiałości, niepostrzeżenie wyslizgnął się z domu. Fakt ten wyszedł na jaw dopiero w chwili jego nieoczekiwanego powrotu, kiedy to około pierwszej po południu, bez słowa wszedł do domu. Od razu poszedł na górę, gdzie ogarnąć go musiała nowa fala paniki; słyszano bowiem, jak po wejściu do biblioteki wydał głośny, piskliwy okrzyk przerażenia, który przerodził się po chwili, z kolei w zdławiony charkot. Kiedy jednak służący udał się na górę z pomocą, młodzieniec stanął w drzwiach i gestem nakazał mężczyźnie odejść. Potem dały się słyszeć głośne stukoty, uderzenia i skrzypienie, jakby przestawiał coś na półkach; w końcu znów pojawił się w hallu i szybko opuścił dom. Willett zapytał, czy nie zostawił jakiejś wiadomości; odpowiedziano, że nie. Służący, którego najwyraźniej zatrwożyło coś w wyglądzie i wzroku Charlesa, dopytywał się troskliwie doktora, czy istnieje jeszcze nadzieja na wyleczenie rozstrojonego nerwowo młodzieńca.

Prawie dwie godziny doktor Willett, rozglądając się po zakurzonych półkach z których zabrano prawie wszystkie książki, czekał daremnie w bibliotece Charles Warda. Uśmiechnął się ponuro na widok ozdobnego gzymsu na północnej ścianie, skąd jeszcze przed rokiem, spoglądała łagodnie szczupła twarz Josepha Curwena. Po jakimś czasie zaczęły po kątach gromadzić się cienie, a promienie zachodzącego słońca ustępować miejsca jakiemuś nieuchwytnemu, rosnącemu przerażeniu, które niczym mroczny cień napływało wraz z nadchodzącą nocą. Pojawił się wreszcie Ward i natychmiast zaczął ciskać gromy na syna za to, że bez słowa przepadł nie wiadomo gdzie. Nie wiedział, że Charles umówił się z doktorem, ale obiecał powiadomić natychmiast Willetta o powrocie



młodzieńca. Willett z ulgą opuścił bibliotekę; wyraźnie czuł, iż w pokoju czai się coś przerażającego i niesamowitego. Zupełnie, jakby zniszczony portret zostawił po sobie dziedzictwo zła. Nigdy zresztą nie lubił tego obrazu; i nawet w obecnej chwili, puste miejsce nad kominkiem sprawiało, że pragnął jedynie wydostać się na świeże powietrze.

Rankiem Ward senior powiadomił Willetta, że syn wrócił. Dodał, że telefonował doktor Allen z wiadomością, że Charles jest w Pawtuxet, że pozostanie tam jeszcze jakiś czas i dlatego nie ma powodów do obaw. Obecność młodzieńca w bungalowie jest niezbędna, gdyż on – Allen – musi udać się na nieokreślony bliżej czas w podróż, a ktoś musi kontynuować badania. Charles przesyła najlepsze pozdrowienia, przepraszając jednocześnie za tak nagłą zmianę planów. Pan Ward po raz pierwszy rozmawiał z doktorem Allenem i tembr jego głosu poruszył w ojcu jakieś mgliste, i niepokojące wspomnienia.

Słyszając tak sprzeczne i zaskakujące wieści, doktor Willett stracił głowę. Gorączkowość i żarliwa powaga listu Charlesa były wiarygodne i wywarły na doktorze głębokie wrażenie; cóż więc mogła znaczyć owa nieoczekiwana zmiana planów? Młody Ward pisał, że odkrył rzeczy bluźniercze i straszne, że jego noga nigdy już w bungalowie nie postanie, a brodaty współpracownik musi zostać za wszelką cenę zniszczony. Szybko jednak o wszystkim tym zapomniał i ponownie skrył się za kurtynę swych sekretów. Zdrowy rozsądek nakazywał pozostawić młodzieńca jego dziwactwom, lecz inny, głębszy instynkt wzbraniał przejść nad listem do porządku dziennego. Willett – mimo, iż przeczytał go już wiele, wiele razy – nie mógł zdecydować, czy to tylko pusty i szalony twór wariata, czy też za bombastycznym słownictwem i późniejszą, nieoczekiwaną zmianą planów, nie kryją się głębsze treści. Przerażenie bijące z listu było zbyt autentyczne i zbyt otchłanne, by pozwolić na sceptycyzm; a w połączeniu z

tym, co doktor już wiedział o potwornościach spoza czasu i przestrzeni – pismo nabierało jeszcze dramatyczniejszego sensu. Pojawić się musiały rzeczy naprawdę przerażające i każdy, bez względu kim by nie był, powinien w każdej chwili być gotów do działania.

Ponad tydzień doktor Willett łamał sobie nad tym problemem głowę, dochodząc stopniowo do przekonania, że wizyta w bungalowie w Pawtuxet jest nieunikniona. Jak dotąd, nikt ze znajomych Charlesa nie odważył się zakłócić mu spokoju w zakazanej samotni, i nawet pan Ward znał jej wnętrze wyłącznie z opisów syna; niemniej Willett uznał, że osobista rozmowa z pacjentem jest rzeczą niezbędną. Pan Ward otrzymywał od syna krótkie, wymijające i pisane na maszynie listy; takie same zresztą dostawała przebywająca na kuracji w Atlantic City pani Ward. na przekór osobliwym odczuciom powodowanym dawnymi legendami o Josephie Curwenie, jak też rewelacjami i ostrzeżeniami Charlesa Warda, doktor postanowił przystąpić do działania i wyruszyć śmiało do bungalowu na urwisku ponad rzeką.

Willett, gnany kiedyś dziwaczną ciekawością, raz już tam zawędrował – nie wchodząc oczywiście do środka budynku – i drogę znał stosunkowo dobrze; pewnego więc wczesnego popołudnia, pod koniec lutego, wybrał się tam autem. Jadąc swym niewielkim samochodem przez Broad Street, rozmyślał o grupie zajadłych ludzi, którzy sto pięćdziesiąt siedem lat wcześniej podążali tą samą trasą i ku temu samemu, straszliwemu miejscu.

Droga przez schodzące w dół stoku przedmieścia trwała krótko, i niebawem ujrzał przed sobą schludne Edgewood i senne Pawtuxet. Tam skręcił w prawo, w Lockwood Street i tą polną drogą dotarł aż do jej końca. Zostawił tam pojazd i ruszył pieszo, kierując się na północ, gdzie nad przepięknymi zakolami rzeki i ciągnącymi się za nią zamglonymi nizinami, wznosił się strony brzeg. Domów było tu niewiele i bez trudu rozpoznał na

wysokim wzniesieniu po lewej stronie samotny bungalow z betonowym garażem. Szybko przebył zapuszczoną, żwirową ścieżkę i zdecydowanie zapukał do drzwi. Kiedy złowieszczy mulat – Portugalczyk – uchylił je na szerokość łańcucha, doktor na tyle już panował nad drżeniem głosu, że ten zabrzmiał twardo i stanowczo. Powiedział, że musi natychmiast widzieć się z Charles Wardem w bardzo ważnej sprawie. Nie chce słyszeć żadnych wykrętów, a odprawa sprawi, iż złoży dokładny raport starszemu Wardowi. Mulat wciąż się wahał, ale kiedy Willett pchnął drzwi, ten napał na nie całym ciałem. Doktor powołał żądania podniesionym głosem. I wtedy z mrocznego wnętrza dobiegł ochrypły szept, który z jakichś nieokreślonych powodów zmroził słuchacza do szpiku kości:

– Niech wejdzie, Tony – powiedział głos. – Równie dobrze możemy porozmawiać teraz, jak i później.

Doktora Willetta ogarnęła panika. Zatrzeszczała bowiem podłoga i ukazał się właściciel dziwnego ochryplego głosu. Był nim nie kto inny, jak Charles Dexter Ward.

Tej fazie choroby pacjenta doktor Willett przypisuje szczególne znaczenie i dlatego zapamiętał i spisał później najdrobniejsze szczegóły spotkania. Twierdzi, że właśnie wtedy nastąpiła zasadnicza przemiana umysłu Charlesa Dextera Warda, a jego mózg podczas tej rozmowy w bungalowu, nie był już mózgiem człowieka, którego rozwój doktor obserwował przez lat sześć i dwadzieścia. Polemiki z doktorem Lymanem zmusiły Willetta do wielkiej precyzji sądów; początek szaleństwa Charlesa Warda łączy z pierwszym, napisanym na maszynie do rodziców listem. Takich listów młody Ward wcześniej nie pisał; nawet ów ostatni, gorączkowy list do Willetta był zwykłym listem Charlesa. Te nowe natomiast – dziwne i staroświeckie sugerowały, że umysł ich autora uwalniał migawkowo wszelkie wrażenia, myśli i wiadomości, zebrane

podświadomie jeszcze w czasach zachłanych studiów historycznych. Wyraźnie starał się być współczesny; ale duch tych listów – a nierzadko i język – niewątpliwie należał do przeszłości.

Przeszłość tę czuło się wyraźnie w każdym tonie i geście Warda, kiedy ten gościł doktora w swym mrocznym i tajemniczym bungalowie. Gestem nakazał mu usiąść i natychmiast zaczął mówić dziwnym szeptem, którego pochodzenie wyjaśnił zarazem na wstępie:

– Od tego przekłętą powietrza znad rzeki nabawiłem się gruźlicy. Musisz mi więc wybaczyć ten głos. Podejrzewam, że przysłał cię tu mój ojciec, który zdaje się bardzo ubolewa nade mną. Mam więc nadzieję, że nie przekażesz mu niczego, co by go jeszcze bardziej zaalarmowało.

Willett, który z najgłębszą uwagą wsłuchiwał się w owe zgrzytliwe tony głosu gospodarza, jeszcze dokładniej śledził wzrokiem twarz mówiącego. Czuł, że coś jest nie tak – zwłaszcza kiedy skojarzył sobie, co mówił przerażony, pochodzący z Yorkshire służący. W pomieszczeniu było mroczno, ale doktor nie śmiał prosić, by odsłonięte okna. Zapytał natomiast Warda, czemu nie dotrzymał obietnicy danej w liście sprzed tygodnia.

– Właśnie do tego zmierzam – powiedział gospodarz – Zdajesz sobie sprawę, że mam nerwy w fatalnym stanie; robię więc i mówię rzeczy, za które nie zawsze odpowiadam. Często ci wspominałem, że jestem o krok od dokonania przełomowych odkryć; ich doniosłość sprawia, że bywam roztargniony. Ponadto każdy by się przeraził tym, co odkryłem. Na szczęście panika, której uległem, bardzo szybko minęła. Byłem osłem domagając się ochrony detektywów i stercząc w domu; skoro zaszedłem już tak daleko, moje miejsce jest tutaj. Moi świętoszkowaci sąsiedzi są nie najlepszego zdania o mnie i w chwili słabości zapewne sam uwierzyłem w to, co rozpowiadają na mój temat. W tym co robię, dopóki robię to, właściwie nie

ma żadnego zła. Bądź tak dobry i zaczekaj jeszcze z sześć miesięcy, a pokażę ci coś, co z nawiązką wynagrodzi ci cierpliwość.

Wiesz również zapewne, że poznałem sposób zdobywania wiedzy o minionych sprawach ze źródeł pewniejszych niż książki; i tobie zostawiam osąd, jak istotne dla historii, filozofii i sztuki okazać się mogą te drzwi, do których znalazłem dostęp. Mój przodek też do nich dotarł, ale pojawili się ci podglądacze i zamordowali go. Ponownie doszedłem do tej wiedzy – czy raczej w niewielkim jeszcze stopniu docieram do jej części. Tym razem jednak nic się nie wydarzy, a już na pewno nie przez moje idiotyczne lęki. Błagam pana, niech pan zapomni o wszystkim co napisałem, i proszę nie obawiać się ani tego miejsca, ani czegokolwiek co się w nim znajduje. Wiele zawdzięczam doktorowi Allenowi i winienem mu przeprosiny za wszystko, co złego o nim napisałem. Jego tu nie ma; wyjechał tam, gdzie niezbędna była jego obecność. W pracy wykazuje zapał równy mojemu, jest moim najbliższym współpracownikiem, więc jakże się dziwić, iż mój lęk przed dalszą pracą przejął go równie wielkim lękiem.

Ward przerwał i doktor na dobrą sprawę nie wiedział jak na to zareagować i co odpowiedzieć. Czuł się niemal głupio, kiedy Ward w tak prosty sposób wyparł się wszystkiego co napisał w liście. Ponadto dręczyła go myśl, że jakkolwiek sama rozmowa jest dziwna, nienaturalna i z pewnością szalona, to sam list w swej wymowie był tragiczny i jak najbardziej w stylu Charles Warda jakiego znał. Kiedy spróbował zmienić temat rozmowy, poruszając pewne kwestie, które – jak sądził – powinny wprowadzić młodzieńca w lepszy nastrój, efekty okazały się zgoła groteskowe. To samo zresztą powtarzało się i później, kiedy podobny zabieg próbowali stosować psychiatrzy. Zasób informacji Charles Warda o świecie współczesnym jak też i o własnym, osobistym życiu był niewytłumaczalnie ubogi; pamięć młodzieńca była natomiast skarbnicą

wiedzy o rzeczach dawnych, którą nabył w młodości. Wiedza ta wprost tryskała z niego niczym z jakiejś otchłannej podświadomości, która nieoczekiwanie zdominowała umysł Charlesa, wymazując wszelką pamięć tak o nim samym, jak i o czasach obecnych. Ogrom tej dawnej wiedzy jaką dysponował młodzieniec był anormalny i bezbożny i Ward wszelkimi siłami starał się ten fakt ukryć. Kiedy jednak Willett poruszał pewne problemy, które tak żywo interesowały chłopca jeszcze w czasach młodzieńczych studiów historycznych, Charles mimo woli wykazywał taką znajomość rzeczy, jaka nie mogła być udziałem żadnego śmiertelnika. Willettowi, kiedy to słyszał, z przejścia biegły dreszcze po krzyżu.

Ward mógł naturalnie znać wiele szczegółów, na przykład, że grubemu szeryfowi spadła peruka kiedy pochylił się podczas przedstawienia w Douglass's Historionick Academy na King Street jedenastego lutego 1762 roku, na którą to datę przypadł czwartek, lub też, że aktorzy tak paskudnie skrócili tekst sztuki Steele'a "Zażenowany kochanek", iż ktoś wyraził zadowolenie, że wiodący prym w ustawodawstwie Babtyści, dwa tygodnie później zamknęli teatr, Stare listy bowiem i pamiętniki mogły również powiedzieć o tym, że dylizans Thomasa Sabina z Bostonu był "diabło niewygodny". Ale cóż dysponujący najrozleglejszą nawet wiedzą historyk mógł wiedzieć o tym, jak skrzypiało nowe godło Epenetusa Olney'a (paradna Korona, którą zawiesił był po zmianie nazwy swej gospody na Crown Coffe House)? To tak, jakby ktoś za dwieście lat znał pierwsze takty radia w Pawtuxet.

Ward miał już gościa najwyraźniej dość. Pytania dotyczące dnia dzisiejszego i swojej osoby po prostu zbywał, a gdy rozmowa schodziła na kwestie historyczne, na twarzy pojawiał się mu wyraz znudzenia. Widać było, że chce wyłącznie zadowolić gościa na tyle, by ten sobie poszedł i nigdy już nie wracał. na koniec zaproponował doktorowi, że pokaże cały

dom, co też bez zwłoki uczynił oprowadzając Willetta od strychu po piwnicę. Doktor, który bacznie się wokół rozglądał, natychmiast spostrzegł, że w porównaniu z ogromną ilością książek wyniesionych przez Charlesa z księgozbioru w domu rodzinnym, w bungalowie było ich bardzo niewiele. Ponadto książki, które ujrzał w niewielkim, tak zwanym "laboratorium" były po prostu błahe. Z całą pewnością, właściwa biblioteka i laboratorium musiały się mieścić gdzieś indziej; gdzie, tego doktor nie ustalił. Kolejna więc próba poszukiwań czegoś, czego sam nie potrafił dokładnie określić spełzła na niczym, i jeszcze przed zapadnięciem zmroku, Willett wrócił do miasta. Natychmiast udał się do Warda seniora i złożył szczegółowy raport. Obaj mężczyźni zgodnie przyznali, że młodzieniec niewątpliwie postradał rozum, lecz postanowili jednak nie wszczynać drastycznych kroków. Przede wszystkim natomiast należało trzymać na uboczu panią Ward, o ile nie domyślała się już czegoś z dziwnych, pisanych na maszynie listów, które wysyłał do niej syn.

Teraz pan Ward osobiście postanowił złożyć synowi niespodziewaną wizytę. Pewnego wieczoru doktor Willett zabrał go swym samochodem i zaprowadziwszy do miejsca, z którego widać było bungalow, sam czekał cierpliwie na powrót pana Warda. Spotkanie, z którego ojciec wrócił posępny i zatroskany, trwało długo. Pan Ward siłą prawie wdarł się do hallu i kategorycznym tonem posłał Portugalczyka po syna. Długo jeszcze musiał na niego czekać, a gdy wreszcie pojawił się, w jego zachowaniu nie było śladu jakichkolwiek uczuć synowskich. Mimo, iż światło w całym domu było przygaszone, młodzieniec uskarżał się, iż nieznośnie go razi jego blask. W ogóle mówił bardzo cicho twierdząc, że gardło ma w fatalnym stanie; w chrapliwym głosie jednak było coś niepokojącego i na długo zapadł on w pamięć poruszonemu ojcu.



Po tej wizycie mężczyźni pojęli, iż jeśli chcą ratować umysł młodzieńca muszą połączyć swoje wysiłki. Przede wszystkim zaczęli zbierać wszelkie informacje i szczegóły mające jakikolwiek związek z Charlesem. Na pierwszy ogień poszły słuchy i plotki krążące w Pawtuxet; zgromadzenie ich było sprawą w miarę prostą, jako że obaj mieli w okolicy wielu znajomych i przyjaciół. Większość informacji zebrał naturalnie doktor Willett, gdyż ludzie rozmawiali z nim chętniej i szczerzej, niż z rodzicem głównego bohatera owych historii. Zgodnie twierdzili, że styl życia młodego Warda stał się co najmniej dziwny, jego dom wiązano z przypadkami wampiryzmu z poprzedniego roku, a ciągle, nocne przyjazdy i odjazdy ciężarówek dopełniały tych mrocznych spekulacji. Miejscowi kupcy szeroko rozpowiadali o dziwnych zamówieniach dostarczonych im za pośrednictwem Mulata o złowieszczym wyglądzie oraz o osobliwych, nienormalnych ilościach mięsa i świeżej krwi zamawianych u dwóch okolicznych rzeźników. Dla gospodarstwa złożonego z trzech osób, takie ilości były po prostu czystym absurdem.

Kolejną sprawę stanowiły dobywające się spod ziemi dźwięki. Istniało tu wiele niejasności i rozbieżności w opiniach, wszystko jednak zasadało się na kilku bezspornych faktach. Po pierwsze, z budynku dobiegały dźwięki jakichś rytualnych ceremonii w czasie, gdy cały bungalow pogrążony był w ciemnościach. Mogły one naturalnie dochodzić ze znanej już piwnicy; plotka jednak uparcie twierdziła, iż hałasy te dochodzą z innych, głębszych i rozległej szych krypt. Szeptano również, że obecny bungalow stoi dokładnie na miejscu dawnej farmy Curwena – co podobno potwierdzał jeden ze znalezionych za portretem dokumentów; na ten szczegół pan Ward i doktor Willett zwrócili szczególną uwagę. Kilkakrotnie poszukiwali bez skutku drzwi na brzegu rzeki, o których wspominały stare rękopisy. Jeśli natomiast idzie o samych mieszkańców bungalowu, to Brava, Portugalczyk,

był znienawidzony, brodaty i w okularach doktor Allen budził powszechny lęk, a blady, młody naukowiec cieszył się paskudną reputacją. Ostatni tydzień czy dwa przyniosły w nim zaskakujące zmiany; mówić zaczął dziwnie odrażającym, chrapliwym szeptem, a kiedy kilkakrotnie opuścił swą samotnię, nie starał się nawet być dla ludzi uprzejmy.

Tego typu informacje, szperając tu i tam zebrali pan Ward i doktor; wiele godzin później stawili nad nimi, próbując dojść do jakichś konkretnych wniosków. Gromadzili i porównywali ze sobą wszelkie znane fakty z życia Charlesa – łącznie z gorączkowym listem, który w końcu doktor Willett pokazał Wardowi – jak też wszelkie strzępy informacji o Josephie Curwenie. Daliby wiele, aby zajrzeć do papierów, które znalazł Charles; najwyraźniej w nich bowiem – oraz w tym, co młodzieniec dowiedział się o dawnym czarnoksiężniku i jego dziele – tkwił klucz do aktualnego szaleństwa Charlesa Warda.

**A** jednak rozwój dalszych wypadków nastąpił bynajmniej nie za sprawą pana Warda i doktora Willetta. Ojciec i doktor wkroczyli w cień zbyt mroczny i bezkształtny, by zdołali go o własnych siłach przeniknąć. Z pewnym niepokojem wymieszanym z ulgą spostrzegli, że pisane przez młodego Warda na maszynie listy do rodziców przychodzą coraz rzadziej. A kiedy nadszedł pierwszy dzień kolejnego miesiąca, a wraz z nim termin regulowania należności płatniczych, urzędnicy w niektórych bankach zaczęli ze zdziwieniem potrząsać głowami i wzajemnie telefonować do siebie. Zaraz potem w bungalowie pojawili się, znający Charlesa wyłącznie z widzenia przedstawiciele banków, by dowiedzieć się, dlaczego każdy czek Warda nosi niezdarnie sfalszowany podpis. Byli zaskoczeni, kiedy młodzieniec chrapliwym głosem wyjaśnił, iż od niedawna cierpi na niedowład ręki, co uniemożliwia mu normalne pisanie. Na dowód, przytoczył argument, iż zwykle listy do rodziców musi pisać na maszynie; co łatwo sprawdzić.

Nie to jednak wzbudziło wątpliwości prowadzących śledztwo; był to bowiem przypadek w miarę normalny i nie budzący podejrzeń. Nie kierowali się nawet krążącymi w Pawtuxet plotkami, które do niejednego z nich musiały dotrzeć. Największe zdumienie wzbudził bezładny i skomplikowany sposób wysławiania się młodego człowieka. Stwierdził bowiem, że od pewnego czasu cierpi również na zaburzenia pamięci, zwłaszcza w partiach odnoszących się do istotnych spraw finansowych, którymi jeszcze miesiąc czy dwa wcześniej z łatwością się zajmował. Z

punktu widzenia tak logicznej i spójnej przemowy trudno było znaleźć wytłumaczenie chorobliwej luki w pamięci, dotyczącej tak bardzo istotnej sprawy. Co więcej, chociaż żaden z tych ludzi nie znał bliżej Warda, wszyscy natychmiast dostrzegli kolosalne zmiany w jego sposobie wysławiania się i w zachowaniu. Wiedzieli wprawdzie, że jest historykiem, ale przecież najbardziej nawet zwariowany historyk nie stosuje na co dzień przestarzałej frazeologii i gestów, które dawno już wyszły z użycia. Owa kombinacja chrapliwego głosu, porażonych rąk, słabej pamięci, zmienionej wymowy i zachowania się musiały świadczyć o zaburzeniach psychicznych lub o poważnej chorobie, co zapewne było podstawą krążących o młodzieńcu plotek. Po powrocie do miasta, urzędnicy bankowi zgodnie orzekli, że konieczne jest spotkanie z Wardem seniorem.

Szóstego marca 1928 roku w biurze pana Warda odbyła się długa i poważna rozmowa, po której oszołomiony i przybity ojciec wezwał natychmiast doktora Willetta. Ten obejrzał zdeformowane, niezdarne podpisy na czekach porównując je w myślach z charakterem pisma ostatniego, gorączkowego listu. Różnica była zasadnicza, a jednocześnie w tym nowym charakterze ręki było coś piekielnie znajomego. Pismo posiadało niewyraźny, archaiczny charakter, i w ogóle było niepodobne do normalnego stylu młodzieńca. Dziwne – ale gdzieś już takie pismo widział! Stary doktor nie miał wątpliwości: Charles zwariował. Widać było, że w takim stanie młodzieniec nie może dłużej prowadzić spraw majątkowych, czy wręcz przebywać w społeczeństwie ludzi zdrowych; należy szybko wziąć go pod kuratelę i ewentualnie leczyć. Wezwano psychiatrów: doktorów Pecka, i Waite'a z Providence oraz doktora Lymana z Bostonu. Pan Ward i doktor Willett przedstawili najbardziej prawdopodobną historię przypadku, a następnie przeszli do pustej obecnie biblioteki młodego pacjenta, gdzie odbyli długie konsylium. Lekarze przykładali szczególną

wagę do drobiazgowego przejrzenia wszystkich książek i papierów, których Charles nie zabrał, a które mogły nasunąć jakieś nowe spostrzeżenia na temat usposobienia i stanu umysłowego pacjenta. Po tej czasochłonnej czynności, psychiatrzy przestudiowali dokładnie list, jaki młodzieniec przysłał Willettowi; bez wahania przyznali, że studia Charlesa Warda, rzeczywiście mogły wstrząsnąć jego umysłem tak, iż naukowiec stracił zdrowy rozsądek. Byli ciekawi tych innych, zabranych stąd książek i dokumentów, lecz dostępne one były tylko w bungalowie w Pawtuxet. Przez dwa kolejne dni Willett wykazywał wiele energii. Wydobył przede wszystkim oświadczenie robotników Curwena oraz wydobył z redakcji "Journalla" nieuszkodzone egzemplarze gazet i porównał ze sobą zniszczone przez Charlesa, niby przypadkiem, artykuły.

We czwartek, ósmego marca doktorzy Willett, Peck, Lyman i Waite, w towarzystwie pana Warda, nie kryjąc rzeczywistego powodu najścia, złożyli młodzieńcowi pamiętną wizytę. Bez zwłoki też przystąpili do szczegółowego przepytывania pacjenta. Ubranie Charlesa – na którego musieli bardzo długo czekać – wydzielało z siebie ostrą, drażniącą, laboratoryjną woń. Młodzieniec okazał niezwykłą nieustępliwość, bez wahania przyznał, że jego pamięć i równowaga umysłowa –te wyniku głębokich i skomplikowanych studiów cokolwiek szwankują; nie protestował też, kiedy zaproponowano mu zmianę otoczenia. Poza owym brakiem pamięci, wykazywał niezwykle wysoki poziom inteligencji, i gdyby nie owo uporczywe trzymanie się archaicznej frazeologii i zastępowanie współczesnych pojęć, przestarzałymi – jego zachowanie się byłoby właściwie bez zarzutu. O swej pracy powtórzył doktorom dokładnie to, co poprzednio wyjaśnił już rodzinie i Willettowi, a gorączkowy list z poprzedniego miesiąca złożył na karb nerwów i hysterii. Upierał się, że w mrocznym bungalowie nie ma innej biblioteki ani laboratorium poza tymi,

które pokazał, i bardzo zawile tłumaczył obecność przenikających jego odzież zapachów. Plotki sąsiadów przypisywał wyłącznie tandetnym pomysłom rodzącym się z niezaspokojonej ciekawości. Co do miejsca pobytu doktora Allena, to owszem, wie gdzie aktualnie przebywa, ale nie jest upoważniony do rozgłaszania tego. Zapewnił jednak swych gości, że brodacz w okularach, kiedy zajdzie potrzeba, z całą pewnością się pojawi. Odprawiając i spłacając niewzruszonego Brava – który oparł się wszelkim nagabywaniom doktorów. – i zamykając później, bungalow, który sprawiał paskudne wrażenie, jakby wciąż jeszcze krył w sobie jakieś mroczne sekrety, Ward nie wykazywał najmniejszego zdenerwowania. Była w nim wyłącznie łagodna, filozoficzna rezygnacja; jakby samo opuszczenie bungalowu było epizodem przejściowym, które, jeśli rzecz całą się ułatwi i wykona natychmiast, nie pociągnie za sobą żadnych następstw w przyszłości. Od czasu do czasu tylko przystawał na chwilę, jakby nadśluchując jakichś słabych odgłosów z wnętrza domu. Widać było, że święcie wierzy w swój potężny i bystry intelekt, który przewycięży w końcu wszelkie kłopoty, jakie sprowadziły na niego zwichrowana pamięć, utracony głos, niemożność ręcznego pisania oraz tajemnicze i ekscentryczne zachowanie. Zdecydowano nie powiadamiać o wszystkim matki, a pan Ward podjął się pisać do niej na maszynie listy w imieniu syna. Pacjenta umieszczono w spokojnym, malowniczo położonym w zatoce na Conanicut Island, prywatnym szpitalu doktora Waite'a, gdzie natychmiast poddany został najszczegółowszym badaniom i testom. Dopiero teraz wyszły na jaw pewne anomalie fizyczne: spowolniony metabolizm, odmieniona skóra oraz niewspółmierne reakcje nerwowe. Spośród wszystkich lekarzy, najmocniej poruszony był doktor Willett; • towarzyszył bowiem Charlesowi od chwili jego narodzin i tylko on mógł w pełni oceniać przerażające rozmiary tego fizycznego rozprężenia. Pacjentowi

znikło nawet oliwkowej barwy znamię na biodrze, podczas gdy na piersi uformował się duży, czarny zaśniad czy też znamię, którego nigdy dotąd nie było. Willett zastanawiał się wręcz, czy młodzieniec nie został obdarzony jakimś "diabelskim znakiem", który – jak gadano – kładziony był podczas pewnych odrażających, nocnych spotkań w dzikich i odludnych miejscach. Doktor wciąż miał w pamięci dokumenty z rozprawy czarownic w Salem, które Charles pokazał mu jeszcze w czasach, kiedy nie otaczał się taką tajemnicą: "p. G.B. nocy tej złożył Znak Dyabelski na Bridgeta S., Jonathana A., Simona O., Deliverence'a W., Josepha C., Susan P., Mehitable C. i Deborah B." Niepokoiliła go również twarz Warda, i w końcu odkrył z drżeniem serca przyczynę niepokoju. Powyżej prawego oka, na czole młodego człowieka pojawiło się coś, czego nigdy tam nie było – niewielki punkcik czy blizna, dokładnie takie same jak na rozkruszonym portrecie Josepha Curwena. Świadczyć to mogło o jakichś odrażających, rytualnych zaszczepieniach, jakim obaj poddani zostali w trakcie swych okultystycznych karier. Charles stanowił zagadkę dla wszystkich lekarzy. Z polecenia pana Warda wszelkie adresowane do pacjenta lub doktora Allena listy miano przyjmować i dostarczać mu do domu. Willett nie przypuszczał, by przyniosło to większe efekty, gdyż wszelkie istotniejsze wiadomości przesyłane były zapewne przez umyślnych posłańców. W drugiej połowie marca jednak nadszedł do doktora Allena list z Pragi. Zarówno doktorowi jak i ojcu dał on wiele do myślenia. Pisany był niewyraźnym, staroświeckim pismem i choć z całą pewnością nie pisał go cudzoziemiec, to stylistyką odbiegał wyraźnie od współczesnej angielszczyzny i do złudzenia przypominał charakter pisma młodego Warda w ostatnim czasie. Było w nim napisane:

Kleinstrasse II, Altstadt, Praga 2 luteń 1928

*Bracie w Almousinie–Metratonie! \_\_\_\_\_*

*Dnia dzisiejszego od cię wzmiankę otrzymałem o tym, co rozwinęło się z Prochów, co ci je byłem przysłałem. Niewłaściwe się to okazało i świadczy wyraźnie, że Nagrobek zmieniony był kiedy Barnabus wydostawał Okaz. Tak często się dzieje, zatem ostrożny bądź z Rzeczą coś wydostał z terenów Kaplicy Królewskiej A.D. 1769, i coś wydostał na Starym Miejscu Grzebalnym A.D. 1690. Wydostałem rzecz taką w Egipcie po 75 latach, co sprawiło tę Szramę, którą dostrzegł u mnie chłopiec tutaj, A.D. 1924. Już dawnom ci mówił, nie wywołuj Tego którego nie poskromisz; zarówno z martwych Prochów jako też ze Sfer zewnętrznych. Stosuj Słowa które cały czas gotowe są; lecz wstrzymaj się zawsze, ilekroć żywiąc Wątpliwość pewnyś nie jest Kogo masz. na Dziewięciu z Dziesięciu cmentarzy kamienie pozamieniane są. Nie masz pewności, póki nie sprawdzisz. Dnia dzisiejszego wieść dostałem od H., który miał Kłopot z Żołnierzami. Żałuje, że Transylwania przeszła z Węgier do Rumunii i zmieniłby swe Siedlisko, gdyby w Zamku nie było tyle Tego, o czym wiemy. Lecz o tym niewątpliwie już ci pisał. W następnej przesyłce będzie coś z Grobowca na Wzgórzu na Wschodzie, a co cię niebywale uraduje. W międzyczasie nie zapominaj, że pragnę B.F. Gdybyś możliwość miał takową, wydostań mi go. Lepiej niż ja znasz G. z Filadelfii. Bierz go sobie pierwszy, jeśli wola, lecz nie używaj za mocno, by nie stał się Kłopotliwy. Muszę z nim w końcu porozmawiać.*

Yogg–Sothoth Neblod Zin

Simon O.

Dla p. J.C. w

Providence.



Pan Ward i doktor Willett osłupieli na widok tak oczywistego dowodu niczym nie uśmierzonego szaleństwa. Po chwili dopiero – stopniowo – docierać do nich zaczynał prawdziwy sens tego, co przeczytali. A więc to doktor Allen nie Charles Ward, był duchem wiodącym w Pawtuxet? Wyjaśniałoby to z kolei determinację i dziki dopisek w ostatnim, gorączkowym liście młodzieńca. I co wspólnego miał brodaty cudzoziemiec w okularach z “p. J.C.”? Jakkolwiek wnioski nasuwały się same, to istniały jednak granice zdrowego rozsądku i dopuszczalnych potworności. Kim był “Simon O.”? Starcem, którego Ward odwiedził w Pradze przed czterema laty? Być może, ale dużo wcześniej istniał inny Simon O. – Simon Orne, alias Jedediah z Salem, który zniknął w 1771 roku, a którego osobliwy charakter pisma, doktor Willett spotkał już raz na fotostatycznej, wykonanej przez Charlesa kopii formuły Orne'a, i który obecnie nieomylnie rozpoznał w tym liście. Jakież koszmary i tajemnice, jakież zaprzeczenie i zwichrowanie znanych praw natury powróciły po półtora wieku, by nękać Stare Providence z jego wieżyczkami i kopułami?

Kompletnie zbici z tropu, ojciec i stary doktor udali się z wizytą do przebywającego w szpitalu Charlesa. Tam bardzo ostrożnie zaczęli podpytywać młodzieńca o doktora Allena, o wizytę w Pradze, o to co wie o Simonie czy też Jedediahu Orne z Salem. Młodzieniec dawał grzeczne, choć wykrętne odpowiedzi; wykaszlał swym schrypniętym głosem, że doktor Allen posiada zadziwiający dar kontaktowania się spirytualnie z niektórymi ludźmi z przeszłości oraz że pewien mieszkający w Pradze korespondent brodacza posiada jakoby podobny dar. Wkrótce po opuszczeniu szpitala, w głowach pana Warda i doktora Willetta zaświtała myśl, że tak naprawdę, to wypytywał ich Charles; nie wyjawiając nic

istotnego, zamknięty młodzian pomysłowo wypompał z nich wszystko, co zawierał ów praski list.

Doktorzy Peck, Waite i Lyman nie przykładali większej wagi do osobliwej korespondencji kompana młodego Warda. Z praktyki bowiem wiedzieli, że pokrewni sobie ekscentrycy i monomani, często zawierają sojusze i byli przekonani, iż Charles z Allenem odkryli zaginione pisma Orne'a, skopiowali je i rozgłosili o rzekomej reinkarnacji dawno zmarłej osoby. Sam Allen, reprezentujący sobą po prostu podobny przypadek chorobowy, zdołał przekonać młodzieńca, że ten jest inkarnacją martwego od stuleci Curwena. Medycyna zna takie przypadki; na tej podstawie twardogłowi lekarze próbowali rozproszyć wątpliwości Willetta odnośnie nagłej zmiany charakteru pisma pacjenta. Jakkolwiek Willett zwracał uwagę na podobieństwo pisma Warda i Curwena, psychiatrzy traktowali to 'jako manię naśladowczą – jakiej zresztą należało się w takim przypadku spodziewać, i pomijali w swych rozważaniach ten szczegół. Widząc tak prozaicznie stanowisko swych kolegów, Willett poradził panu Wardowi, by zachował tylko dla siebie kolejny list, który drugiego kwietnia nadszedł do doktora Allena z Rakus w Transylwanii. Adres na kopercie napisany był charakterem tak żywo przypominającym styl pisma z szyfrów Hutchinsona, że przejęci zgrozą ojciec i lekarz dłuższy czas nie odważyli się rozpieczętować koperty. Było w nim napisane:

Zamek Ferency 7 marca 1928

Drogi C. :\_

*Miałem tu na górze u, siebie Brygadę 20 Milicjantów i toczyć musiałem z nimi swar o to, co gadają Wieśniacy o mnie. Trza wykopać głębiej i Ciszej żyć. Ta plaga rumuńska jest Wścibska nad wraz, zwłaszcza tam gdzie Napitek i jadło trza kupować. Łońskiego miesiąca M. wy dostał mi sarkofag*

*Pięciu Sfinxów z Acropolis, gdzie to wedle Tego, co wywołałem znajdować się powinien. Odbyłem 3 rozmowy z Tym co stało na nim pogrubię. Udam się wprost do Pragi, do S.O. a następnie do Cię. Uparte to jest, ale znasz sposoby na Takie. Wykazałeś rozum trzymając mniej niż Przedtem; nie ma Potrzeby bowiem trzymać Straży w Postaci, bo zre więcej niż jest Warta, a ponadto – jak sam zbyt dobrze wiesz – Kłopoty z tego wyniknąć mogą. Możesz się obecnie swobodnie przemieszczać i Pracować gdzie wola, bez Niebezpieczeństwa Zabicia, tuszę jednak, że żadna Rzecz nie zmusi cię do tak Kłopotliwego Postępowania. Kontem jestem, że nie frymarchysz z Tymi z Zewnątrz, bo w tym Śmiertelne Zagrożenie tkwi; sam wiesz najlepiej co było, gdyżś poprosił o Obronę tego, który nie był w stanie ci jej zapewnić. Przewyższasz mnie w Formułach, a zatem drugi może je z Powodzeniem wypowiedzieć, jakkolwiek Borellus wyobrażał sobie, że tylko wtedy Sukces się osiągnie, gdy Słowa właściwe się posiada. Czy Chłopiec stosuje ich często? Markotnym, że staje się zbyt wrażliwy, o czym przekonałem się, gdym go miał tutaj przez piętnaście Miesiący. Pewnym jednak, że wiesz jak sobie poradzić z nim. Nie możesz zniszczyć go Formułami, bo nie pracują tak, jak inne formuły wskrzeszające z Prochów; lecz wciąż Ręce masz mocarne i Nóż i Pistolet, a Groby łatwo się kopie; kwas działa powoli. O. mówi żeś mu przyobiegał B.F. Muszę i ja go mieć później. B. wkrótce się do ciebie wybiera i być może da ci to, czego pragniesz z Mrocznej Rzeczy poniżej Memphis. Zachowaj ostrożność z tym, co wywołasz i strzeż się Chłopca. W ciągu roku wyciągniem Legiony z Dołu, a wtedy Granicy nie stanie temu co nasze. Zaufaj mi, znasz wszak O., a jam miał tych 150 lat więcej niż ty, by kwestie te zgłębić.*

Nepheru \_\_\_\_\_ Ka nai  
Hadoth  
Edw: H

Dla J. Curwena,  
Esq. Providence.

Willett i pan Ward nie pokazali tego listu psychiatrom; podjęli natomiast dalsze, energiczne działania na własną rękę. Żadna sofistyka nie mogła odwrócić faktu, iż doktor Allen, przybysz o dziwnej brodzie i w okularach, o którym Charles w swym gorączkowym liście pisał, iż stanowi potworne zagrożenie, prowadził obfitą i ponurą korespondencję z dwoma nieznanymi osobnikami, których podczas swej podróży odwiedził młody Ward, i którzy wyraźnie stwierdzają, iż są dawnymi kolegami Curwena z Salem; ewentualnie ich awatarami. Nie ulegało już wątpliwości, że Allen samego siebie też traktuje jako wcielenie Josepha Curwena, nosząc się przy tym z zamiarem – czy raczej tak mu radzono – zabicia “chłopca”, bez wątpienia Charlesa Warda. Planowano jakieś przerażające rzeczy, i bez względu na to, kto je inicjował, wiodącą postacią był zaginiony Allen. Lecz dzięki Bogu, Charles jest w szpitalu, a więc zupełnie bezpieczny. Pan Ward bez wahania wynajął ponownie detektywów i puścił ich tropem brodatego doktora. Mieli dowiedzieć się skąd przybył, co mówiono i co wiedziano o nim w Pawtuxet i – w miarę możliwości – ustalić aktualne miejsce jego pobytu. Dał im komplet odebranych Charlesowi kluczy do bungalowu i zalecił dokładnie przeszukać pokój Allena. Może wśród pozostawionych tam rzeczy natrafią na jakiś ślad. Rozmowa z detektywami odbyła się w dawnej bibliotece Charlesa. Miejsce to otaczała jakaś nieokreślona aura Zła, i zebrani tam mężczyźni, opuszczając to pomieszczenie odczuli wyraźną ulgę. Bardzo możliwe, iż była to wyłącznie sugestia, powodowana plotkami o nikczemnym, starym czarnoksiężniku, którego wizerunek widniał niegdyś nad ozdobnym gzymsem kominka. W każdym razie, i doktor i ojciec i detektywi, wszyscy oni wyczuwali jakiś nieuchwytny – wzrastający

chwilami wręcz do materialnej zgoła emanacji – wyziew, koncentrujący się wokół miejsca, gdzie kiedyś był portret.



# ROZDZIAŁ PIĄTY

# Koszmar i kataklizm

-1-

**T**eraz już odrażające wypadki potoczyły się wartko. Pozostawiły one w duszy Marinusa Bicknella Willetta trwałą ślad, postarzając jednocześnie mężczyznę – który i tak młodość miał już dawno za sobą – o dobrych dziesięć lat. Podczas jednej z narad uzgodnił z panem Wardem kilka kwestii, które – jak to obaj czuli – psychiatrzy by wykpiłi. Uznali, że na ziemi wciąż istnieje potworny ruch, sięgający korzeniami w nekromancję starszą niż czary w Salem. Mimo, iż godzi to w znane prawa natury, żyją dwaj co najmniej mężczyźni – o trzecim nie śmieli nawet myśleć – którzy przejęci zostali bez reszty przez umysł i osobowość ludzi, żyjących jeszcze przed rokiem 1690. Ze wszystkich listów i dokumentów, starych i współczesnych, mających jakiś związek ze sprawą, wynikało niezbicie, że owe przerażające kreatury – a wśród nich i Charles Ward – rabowały groby pochodzące z różnych epok, a należące przeważnie do najmądrzejszych i najwybitniejszych ludzi świata, ożywiali i przywracali prochom jakiś szczątek świadomości i w ten sposób wydobywali ze wskrzeszonych ich wiedzę. Koszmarne upiory ciągnęły na chłodno odrażający proceder, wymieniając między sobą sławne kości z obojętnością j zimną kalkulacją uczniów zamieniających się książkami. Potęga i wiedza wydarte tym wiekowym prochom przewyższała wszystko, co znał kosmos i co mogło być udziałem jednego człowieka czy grupy ludzi. Odkryli



piekielne sposoby utrzymywania swych mózgów przy życiu – czy to we własnych czy w obcych ciałach – oraz zgłębili naturalnie sekret wszczepiania świadomości umarłym, których potem trzymali razem. Wydaje się, że stary, groteskowy Borellus miał rację pisząc o sporządzaniu z najstarszych nawet szczątków – tak ludzkich jak zwierzęcych – pewnych “Podstawowych Prochów” z których można wskrzesić cień dawno zmarłego stworzenia. Istniała specjalna formuła na wywołanie takiego cienia i inna – na poskromienie go; a obecnie wiedza ta została jeszcze pogłębiona, i można ją było w miarę łatwo przyswoić. Należało jednak przy takim wywoływaniu zachować daleko idącą ostrożność, ponieważ markierzy grobów nie zawsze byli dokładni.

W miarę jak Willett i pan Ward przechodzili od konkluzji do konkluzji, po plecach biegły im coraz zimniejsze ciarki. Z jakichś nieznanymi miejsc i grobów można również ściągać stwory – je same lub pewne ich głosy; z tym również należy uważać. Joseph Curwen takich zakazanych stworów wywołał wiele, a co do Charlesa... Właśnie, co można powiedzieć o nim? Jakie moce “spoza Sfer” dotarły doń z czasów Josepha Curwena i skierowały jego myśli na rzeczy zapomniane? Doprowadziły go do odkrycia i zastosowania na nowo pewnych recept. Rozmawiał z budzącym trwogę mieszkańcem Pragi, a potem długo przebywał w towarzystwie owej kreatury z gór Transylwanii. No i ostatecznie musiał odnaleźć grób Josepha Curwena. Nie wolno też pominąć artykułu w gazecie i tego, co słyszała nocą matka młodego Warda. Potem młodzieniec wezwał coś; i to coś przybyło na wezwanie Ów potężny głos w powietrzu w Wielki Piątek i te inne dźwięki w zamkniętym laboratorium na poddaszu. Ich głębia i moc – co przypominały? Czyż nie była to straszliwa zapowiedź wzbudzającego powszechny lęk dziwnego przybysza, doktora Allena i jego upiornego basu? Tak, to właśnie czuł przejęty nieokreśloną grozą pan Ward, kiedy

jedyny raz rozmawiał z tym człowiekiem przez telefon; jeśli był to w ogóle człowiek.

Czyja piekielna świadomość i głos, czyj okropny cień przybył, w odpowiedzi na tajemnicze rytuały Charlesa Warda, do laboratorium za zamkniętymi drzwiami? Te spierające się głosy... "przez trzy miesiące muszę mieć to czerwone"... Wielki Boże! Czyż zaraz potem nie pojawił się wampir? Ograbienie starego grobu Ezry Weedena i późniejsze wrzaski w Pawtuxet – w czyjej głowie wylął się pomysł zemsty, i kto na nowo odkrył owo przekłete siedlisko wcześniejszych bluźnierstw? Potem bungalow i brodaty przybysz, plotki i strach. Ani ojciec, ani doktor nie próbowali nawet wyjaśnić istoty szaleństwa Warda – byli jednak przekonani, że na ziemię powrócił umysł Josepha Curwena, by raz jeszcze wyzwolić pradawną makabrę. Czy takie przejęcie przez demona jest w ogóle możliwe? Macza w tym palce Allen, to pewne, i detektywi muszą wydobyć na światło dzienne więcej szczegółów o kimś, kto stanowi zagrożenie dla życia młodego człowieka. A tymczasem, ponieważ nie ulega już kwestii, że" pod bungalowem rozciągają się jakieś otchłanne krypty, należy uczynić wszystko, by je odnaleźć. Willett i pan Ward, pomni ostatniego konsylium i sceptycyzmu psychiatrów postanowili osobiście podjąć szczegółowe poszukiwania. Uzgodnili, że następnego dnia wyruszą do Pawtuxet z plecakami i wszelkim sprzętem, niezbędnym do poszukiwań i eksploracji podziemnej.

Szóstego kwietnia dzień wstał piękny, i dwaj badacze około dziesiątej byli już w bungalowie. Po wejściu do środka pobieżnie rozejrzeli się po całym domu. Wnioskując po bałaganie jaki panował w pokoju doktora Allena, byli tam już wcześniej detektywi i obaj poszukiwacze żywili cichą nadzieję, że udało się im wytropić jakieś ciekawe rzeczy. Ich głównym zadaniem natomiast było przeszukanie piwnicy. Zeszli więc do niej i zaczęli

dokładnie badać podłogę i ściany, czego nie mogli uczynić poprzednim razem, w obecności młodego, szalonego właściciela. Sprawa przedstawiała się nie najlepiej; przejrzone przez nich cal po calu gliniana podłoga i kamienne ściany sprawiały wrażenie litych i z całą pewnością nie było w nich najmniejszego otworu czy szczeliny. Willettowi zaświtała w głowie myśl, że skoro piwnica bungalowu wykopana została przez poprzedniego właściciela, a ten nic nie wiedział o istnieniu starszych, i jeszcze głębszych katakumb, to początek pasażu winien nosić świeże ślady kopania, pozostawione tam przez młodego Warda i jego kompanów, kiedy poszukiwali starodawnych krypt, o których wiedzę czerpali z paskudnych źródeł.

Doktor próbował spojrzeć na sprawę oczyma Charlesa; bez skutku. Zatem ponownie żmudną metodą eliminacji, cal po calu obejrzał pionowe i poziome powierzchnie podziemia. Wkrótce pozostał mu tylko niewielki, oglądany już raz podest przed baliami. Teraz więc majstrując na różne sposoby, wytężając swe całe siły, próbował go pchnąć. Udało się; góra podestu drgnęła i obróciła się przesuwając poziomo na metalowym trzpieniu. Pod spodem znajdowała się gładka betonowa powierzchnia z żelazną klapą zamykającą właz. Podniecony ojciec podskoczył do niej natychmiast z zapalonym; pokrywa nie była ciężka i mężczyzna podniósł ją bez kłopotu. Obserwujący to z pewnej odległości doktor Willett spostrzegł naraz, że twarz pana Warda przybiera dziwny wyraz, że mężczyzna chwieje się na nogach a następnie osuwa na ziemię. W chwilę potem z czarnej dziury buchnęła fala straszliwego smrodu.

Przez dłuższą chwilę towarzysz doktora Willetta leżał nieprzytomny na ziemi, a ten cucił go zimną wodą. Pan Ward z trudem jednak dochodził do siebie i widać było, że smrodliwy wyziew z krypty zawierać musiał jakieś szkodliwe składniki. Nie chcąc ryzykować, Willett pośpieszył na Broad

Street po taksówkę i wkrótce, mimo składanych słabym głosem przez chorego protestów, odwiózł go do domu. Sam z kolei wrócił do bungalowu, wyjął elektryczną latarkę i zakrywszy nos sterylną gazą ponownie zszedł do piwnicy, zdecydowany zbadać tą nowo odkrytą otchłań. Zepsute powietrze ulatniało się powoli i w końcu Willett mógł posłać pierwszy snop światła w czarną niczym Styks dziurę. Ujrzał zwykły, cylindryczny szyb głębokości około dziesięciu stóp, o betonowych ścianach do którego wiodła żelazna drabina. Dalej zaczynała się kondygnacja starych, kamiennych schodów, które niegdyś dochodzić musiały aż do powierzchni ziemi, nieco na południe od obecnego budynku.

Willett bez wstydu przyznaje, że wspomnienie legend o Curwenie skutecznie ostudziło w nim zapał do samotnego zejścia w cuchnącą otchłań. Cały czas miał w pamięci list Luke'a Fennera, opowiadający dzieje tej ostatniej, potwornej nocy. W końcu jednak obowiązek wziął górę nad lękiem i doktor zrzucił w otwór wielki plecak, w który zamierzał zapakować wszelkie znalezione na dole papiery i dokumenty. Po drabinie, z racji swego wieku, zszedł powoli i zatrzymał się dopiero u szczytu śliskich stopni. W świetle latarki dostrzegł, iż budowla musi być bardzo stara, a oślizłe, ociekające wilgocią ściany porasta paskudny, gromadzący się od stuleci mech. Schody zbiegały i zbiegały; nie spiralnie, lecz w trzech raptownych skrętach; i były tak wąskie, że z najwyższą trudnością mogło się na nich minąć dwoje ludzi. Doliczył się prawie trzydziestu stopni, kiedy z dołu dobiegł go nikły dźwięk; taki, że odeszła mu ochota do dalszego liczenia.

Był to bezbożny dźwięk, jeden z tych w niskiej tonacji, podstępnych i urągających naturze, dźwięk jaki nie powinien w ogóle istnieć. Głuchy lament, potępieńczy skowyt, bezwstydne wycie, ryk chóru udręczonych i żalonych, pozbawionych umysłu stworów – wszystko to, i dużo więcej,

niósł ów cichy przecież, ale zawierający w sobie, przyprawiającą o mdłości kwintesencję ohydy, dźwięk. Czy jego właśnie nasłuchiwał Ward, kiedy go stąd zabierano? Była to najokropniejsza rzecz jaką Willett w życiu słyszał. Hałas dobiegał z nieokreślonego punktu i doktor, który zszedł już był na sam dół schodów, zatoczył latarką krąg, wyłuskując z ciemności wysokie ściany korytarza, podziurawione czarnymi, łukowymi otworami przejść i zwieńczone cyklopim sklepieniem. Hali, w który trafił, miał jakieś czternaście stóp wysokości do środka sufitu i dziesięć–dwanaście stóp szerokości. Podłoga wyłożona była połupanymi płytami, a ściany i powała pokryte zaprawą murarską. Korytarz uciekał w nieskończoność, ginął w mroku i Willett nie próbował nawet zgadywać jego długości. Niektóre z łukowych przejść posiadały drzwi w Starym, kolonialnym stylu o sześciu ozdobnych płaszczyznach z każdej strony; inne ziały pustka.

Przewycięzając spowodowany odległym wyciem i panującym smrodem strach, Willett przystąpił do oględzin – jedno za drugim – tych łukowych przejść. Za każdym z nich znajdował się średnich rozmiarów pokój o żebrowanym suficie, przeznaczony do jakichś szczególnych celów; większość pokoi posiadała paleniska, których przewody kominowe stanowiły niezwykle oryginalne rozwiązanie inżynierskie. W zalegającym od półtora stulecia kurzu i pajęczynie majaczyły porozstawiane tu i ówdzie instrumenty, czy coś co wyglądało na nie; większość z nich potrzaskana przez dawnych najeźdźców. Wiele sal sprawiało wrażenie nie tkniętych ludzką stopą od stuleci, i musiały z pewnością pamiętać jeszcze pierwsze eksperymenty Josepha Curwena. W końcu natrafił jednak na zamieszkaną pokój lub też do niedawna zajmowany. Znajdowały się w nim bańki z naftą, regały i stoły, krzesła i szafki oraz biurko zawałone stosem papierów – zarówno starych, jak i pochodzących z czasów najnowszych. Po kątach

porozstawiane były lichtarze i lampy naftowe; znalazłszy więc pudełko zapalek, Willett pozapalał napełnione już i gotowe do użytku lampy.

W pełniejszym świetle zobaczył, że trafił do pracowni, czy też biblioteki, Charlesa Warda. Wiele ze zgromadzonych tu książek doktor znał z widzenia, a ogromna część mebli pochodziła naturalnie z posiadłości na Prospect Street. Tu i tam dostrzegł inne, znajome przedmioty i nieoczekiwanie poczuł się tak swojsko, że zapomniał prawie zarówno o smrodzie jak i zawodzeniu, dobiegającym tu z dużo większą siłą niż na schodach. Jak to sobie wcześniej umyślił, najpierw przystąpił do przejrzenia papierów; szczególnie chodziło o złowieszcze dokumenty znalezione tak już dawno temu przez Charlesa za portretem w Olney Court. Dopiero w trakcie poszukiwań dotarło doń, jak gigantycznego się podjął zadania. Złożone bowiem w tym miejscu – stos za stosem, kartoteka za kartoteką – papiery, zapisane dziwnymi, obcymi literami i jeszcze dziwniejszymi wzorami, wymagać będą miesięcy, nawet lat, by wszystkie posegregować, odszyfrować i zredagować. Gdy trafił na potężny pakiet listów ze stemplami z Pragi i Rakus, natychmiast odgadł z charakteru pisma, że pochodzą one od Orne'a i Hutchinsona; wszystkie je zabrał i dołączył do pakunku, który zamierzał zabrać w plecaku na górę.

I wreszcie w zamkniętej, mahoniowej szafie, zdobiącej niegdyś dom Wardów, Willett odnalazł plik papierów Curwena. Rozpoznał je dzięki temu, że Charles, tak wiele przecież lat temu – i bardzo niechętnie – pozwolił mu rzucić na nie okiem. Młodzieniec najwyraźniej trzymał je cały czas razem, gdyż znajdowały się tutaj wszystkie tytuły, które zapamiętali robotnicy. Brakowało jedynie papierów adresowanych do Orne'a i Hutchinsona oraz samego szyfru z kluczem. Willett wsadził to wszystko do plecaka i kontynuował przeglądanie kartotek. Ponieważ nadrzędną sprawą było zdrowie młodego Warda, doktor zawęził swe poszukiwania głównie do

rzeczy pochodzących z ostatniego okresu. I oto, pośród znacznej ilości rękopisów współczesnych, trafił na jeden, wyjątkowo osobliwy. Osobliwość polegała na tym, że zawierał kilka tylko stronic zapisanych normalnym pismem Charlesa; a i to w dodatku pochodzących sprzed co najmniej dwóch miesięcy.

Reszta rękopisu, zawierająca niekończące się szeregi symboli i formuł, notek historycznych i filozoficznych uwag, pisana była ręką Josepha Curwena; staroświeckie, niewyraźne pismo, ale bez wątpienia pochodzące z ostatniego okresu. Najwidoczniej Charles musiał poświęcić wiek czasu i wysiłku na naukę pisania charakterem dawnego czarnoksiężnika, ale za to sztukę tę opanował do perfekcji. Nie trafił natomiast na żaden ślad trzeciego charakteru pisma – doktora Allena. Skoro jednak był on tu rzeczywistym szefem, to naturalnie zmuszał młodego Warda do sekretarzowania i młodzieniec pisał pod dyktando.

W tym nowym materiale niezwykle często występowała pewna formuła – a właściwie formuł para – i zanim Willett zakończył inspekcję papierów, znał ją na pamięć. Składała się ona z dwóch równoległych kolumn; ta po lewej stronie wieńczona była archaicznym symbolem zwanym “Głową Smoka”, przedstawianym graficznie jako wznoszący się węzeł; po prawej stronie korespondujący z nią znak “Ogona Smoka”, czyli węzeł opadający. Wyglądało to mniej więcej tak, i doktor prawie podświadomie pojął, że ta druga formuła nie była niczym innym jak pierwszą, tyle, że napisaną zgłoskowo odwrotnie, za wyjątkiem końcowej monosylaby oraz osobliwej nazwy Yog – Sothoth, którą to poznał już był w różnych pisowniach w innych dokumentach, jakie w związku z tą okropną sprawą przeglądał. Tak właśnie brzmiały formuły – dosłownie tak, gdyż Willett napotkał tam taką ich ilość, że świetnie obie zapamiętał – a pierwsza z nich, w dziwny, choć bardzo nieprzyjemny sposób, poruszyła jego wspomnienia; i dopiero

później skojarzył ją z wydarzeniami Wielkiego Piątku sprzed roku. Formuły te miały w sobie coś tak natrętnego i tak często występowały w dokumentach, że doktor, nim zdał sobie z tego sprawę, nieświadomie mrucał je sobie pod nosem. Kiedy przejrzał i zebrał wszystkie interesujące go aktualne materiały, zaniechał dalszego szperania. Obiecał sobie, że kiedy już przekona tak sceptycznie nastawionych psychiatrów, wróć tu wspólnie en masse celem bardziej systematycznych poszukiwań. Obecnie chciał jeszcze znaleźć ukryte laboratorium. Zostawił więc plecak w oświetlonej pracowni i ponownie wniknął w ciemny, odrażający korytarz, którego sklezione wnętrza wciąż odbijało nieustannym echem głuchy, obrzydliwy skowyt.

Kolejne pokoje do których wchodził, aczkolwiek były puste lub wypełniały je tylko rozpadające się skrzynie i złowieszczo wyglądające, ołowiane trumny, wywarły na nim piorunujące wrażenie; świadczyły bowiem dobitnie o ogromie i rozmachu oryginalnych prac prowadzonych przez Josepha Curwena. Pomyślał o żeglarzach i niewolnikach, którzy znikali w niewiadomy sposób, myślał o zbeszczeszczonych grobach we wszystkich częściach świata i o tym wreszcie, co musiała tu ujrzeć grupa najeżdżających farmę zdesperowanych ludzi. Doszedł do wniosku, że lepiej już więcej nie myśleć. Nieoczekiwanie po prawej stronie wyłoniły się rozległe, kamienne schody i doktor domyślił się, że prowadzić musiały do jednej z zewnętrznych budowli Curwena – zapewne sławetnej kamiennej dobudówki z wysokimi, wąskimi oknami – skoro te, którymi zszedł tutaj wiodły niegdyś do farmy o stromym dachu. Ściany korytarza rozeszły się nieoczekiwanie, a smród i skowyt spotęgniały. Willett pojął, że trafił do jakiejś przestronnej, otwartej sali – tak wielkiej, że światło latarki nie sięgało jej krańca. Kiedy ponownie ruszył do przodu, natknął się zaraz na potężne, rozstawione w sporych odstępach filary podpierające łuki stropu.



Po jakimś czasie dotarł do miejsca, gdzie filary tworzyły krąg, niczym monolity Stonehenge; w środku kręgu, na podwyższeniu znajdował się ogromny, rzeźbiony ołtarz do którego prowadziły trzy stopnie. Doktora zaintrygowały niezwykle rzeźby na tym ołtarzu; podszedł więc bliżej i skierował tam snop elektrycznego światła; gdy ujrzał jednak co one przedstawiają, odskoczył przejęty niewysłowioną grozą i nie próbował już więcej zgłębiać mrocznych rytów zbroczonych zakrzepłą, spływającą strugami aż do ziemi krwią. Ruszył przed siebie i dostrzegł w pewnej chwili rozciągającą się gigantycznym łukiem ścianę podziurawioną miejscami czarnymi otworami przejść wiodących do płytkich cel z żelaznymi kratami i przytwierdzonymi do ściany łańcuchami, z których każdy zakończony był okowami na kostki i nadgarstki. Cele były puste, lecz wszystko przenikał bezustanny, odrażający smród, a posępne jęki trwały; jeszcze bardziej uporczywe niż dotąd i urozmaicane czasami niepokojącym dźwiękiem mlaszczących uderzeń.

Od tak straszliwego odoru i niesamowitego hałasu nic już nie mogło odwrócić uwagi Willetta. Mimo, iż w ogromnym hallu z filarami były one dużo donośniejsze i szczególnie odrażające, doktor odniósł wrażenie, że dobiegają z jeszcze dalszych głębin mrocznego, dolnego świata podziemnych sekretów. Zanim mężczyzna, poszukując jakichś prowadzących w dalsze głębin schodów odważył się przekroczyć któreś z czarnych, łukowych przejść, omiół strumieniem światła kamienną posadzkę. Była z rzadka, i w nieregularnych odstępach wyłożona kamiennymi płytami, popstrzonymi w zadziwiający sposób niewielkimi otworkami, które tworzyły niejasne, jakby nie dokończone desenie. Obok dostrzegł bardzo długą, niedbale ciśniętą na podłogę drabinę. Spoglądając na nią Willett miał irracjonalne odczucie, iż do drabiny tej, w jakiś osobliwy sposób, przyłgnał szczególnie mocno, okrutny, przenikający tu wszystko smród. Kiedy ostrożnie ją mijał, uświadomił sobie nieoczekiwanie, że zarówno hałas jak i fetor potęgują się w bezpośredniej bliskości owych dziwnie podziurkowanych płyt; zupełnie jakby stanowiły rodzaj prymitywnych, zapadowych drzwi wiodących w jeszcze głębsze regiony grozy. Przyklękawszy więc przy jednej z nich, usiłował płytę poruszyć rękoma; natężył całe siły i płyta drgnęła. Kiedy tylko jej tknął, z głębin dobiegł niebywale donośny jęk i Willett musiał przemóc się, by odsunąć w bok ciężki kamień. Kiedy leżąc na brzuchu na osuniętej płycie skierował latarkę w rozwierającą się plamę ciemności o powierzchni yarda

kwadratowego, z dołu buchnął taki fetor – nie było dlań dosłownie określenia – że doktor doznał zawrotu głowy.

Jeśli spodziewał się jakichś kolejnych schodów wiodących w budzącą najwyższą otchłań, srodze się zawiódł. Pośród smrodu i chrapliwego skowytu dostrzegł tylko górną partię ceglanej, cylindrycznej studni o średnicy około półtora yarda, pozbawionej drabiny czy jakichś innych akcesoriów umożliwiających zejście do środka. Kiedy światło padło w dół, skowyt przemienił się raptownie w serię okropnych skamleń, którym towarzyszyły odgłosy ślepej, zajadłej i bezsilnej furii, oraz dźwięk mlaszczących uderzeń. Poszukiwacz zadrżał na myśl, jak odrażający stwór mógł czaić się w otchłani. Zaraz jednak nabrał odwagi; leżąc plackiem na ziemi i trzymając latarkę na długość wyciągniętej ręki, wychylił się za grubszą tylko ociosaną krawędź. Początkowo nie potrafił niczego rozróżnić za wyjątkiem oślizłych, porośłych mchem cegieł ściany, wsiąkającej bezkresnie w ten dotykalny niemal wyziew mrocznego, obrzydliwego i pełnego bólu szaleństwa; i naraz ujrzał jak na dnie wąskiego szybu głębokości dwudziestu–dwudziestu pięciu stóp, podskakuje niezdarnie jakiś ciemny kształt. Latarka zadrżała mu w dłoni, ale tłumiąc ogarniający go strach ponownie zajrzał do środka, by przekonać się jakie to żywe stworzenie zamknięto w mroku tej nienaturalnej studni, skazując na powolną głodową śmierć. Nie był to jedyny tu więzień. Podobną mękę przechodziły przez ten długi miesiąc – od kiedy lekarze zabrali Warda – inne stworzenia więzione w sąsiednich studniach, których dziurkowane, kamienne pokrywy tak gęsto ścieliły podłogę wielkiej, sklepionej pieczary. Czymkolwiek te stwory były, nie mogły położyć się na zbyt szczupłej powierzchni dna szybu; zatem przez te okropne tygodnie od chwili, kiedy nieoczekiwanie opuścił je pan, czekały niemrawe, podskakując.

Ale Marinus Bicknell Willett żałował, że ponownie tam zajrzał. Jakkolwiek był chirurgiem, zahartowanym weteranem wielu prosektorów, nigdy już nie był ten sam. Trudno wytłumaczyć w jaki sposób jedno spojrzenie na całkiem realną, i o dających się określić rozmiarach rzecz, mogło człowiekiem wstrząsnąć, tak, że kompletnie go odmieniło. Możemy tylko stwierdzić, że pewne kontury istoty zawierały w sobie tak potężną symbolikę i nasuwały takie myśli, że oddziaływały w straszliwy sposób na umysł wrażliwego myśliciela, niosąc sobą straszliwe napomknienia mrocznych, kosmicznych relacji i nie posiadających nazwy rzeczywistości, wykraczających daleko poza zapobiegawcze złudzenia zwykłej, ludzkiej wyobraźni. Za owym drugim spojrzeniem Willett ujrzał taki kształt – czy też całą istotę – że przez kilka chwil był bez wątpienia równie szalony, jak każdy z pacjentów prywatnego szpitala doktora Waite'a. Nie spostrzegł, że ze zmartwiałej dłoni wypadła mu latarka, nie zwrócił uwagi nawet na donośny chrzęst zębów, który powiedział, jaki los spotkał ją na dnie dziury. Ogarnięty paniką wrzeszczał i wrzeszczał i wrzeszczał wysokim głosem, w którym najbliżsi nawet przyjaciele nie potrafiliby rozpoznać doktora. Ponieważ nie był w stanie dźwignąć się na nogi, pełzł i toczył się rozpaczliwie po wilgotnym bruku, gdzie z tuzinów przypominających Tartar studni dobywał się, jakby w odzewie na szaleńczy krzyk człowieka, wygłodzony skowyt i jęk. Kaleczył dłonie o szorstkie, luźne kamienie, kilkakrotnie uderzył głową w stojące mu na drodze filary, lecz niepomny na nic, uciekał. Po jakimś czasie jednak ochłonął na tyle, że zatrzymał się skulony w otaczającej go, kompletnej ciemności, w smrodzie i zaduchu, zatykając dłońmi uszy, by odgrodzić się od jednostajnego wycia i rozsadzających czaszkę skowytów. Ociekał potem i był bez światła; wstrząśnięty i przerażony, pogrążony w przepastnym mroku i zgrozie, zmiażdżony psychicznie widokiem, którego nigdy już nie zdołał wymazać z

pamięci. Tuż pod nim tuziny innych stworów; a jedna studnia miała zdjętą pokrywę. Zdawał sobie sprawę, że to coś nigdy nie zdoła sforsować oślizłej ściany, ale dreszcz szedł mu po krzyżu na myśl, że może jednak w ścianie szybu znajdzie się jakiś stopień, jakiś chwyt...

Nie potrafił określić czym był ten stwór. Przypominał niektóre rzeźby na piekielnym ołtarzu; z tym, że był żywy. Z całą pewnością nie był tworem znanej natury; był zbyt nie wykończony. Deformacje w najwyższym stopniu zdumiewały, a nieprawidłowości proporcji trudno było nawet opisać. Willett przyznaje tylko, że tego rodzaju stwory musiały być istotami, które Ward wywołał z niekompletnych prochów, i które trzymał potem wyłącznie w celach niewolniczych lub rytualnych. Gdyby zresztą potwory te pozbawione były jakiegokolwiek znaczenia, ich wizerunki nie widniałyby na tym przeklętym kamieniu. A nie był to najgorszy jeszcze ze stworów przedstawianych na ołtarzu; ale Willett nie odkrywał już kolejnych dziur. Pierwszą, w miarę rozsądną refleksją jaka przyszła mu do głowy, była myśl o błahym pozornie ustępie w starych dokumentach dotyczących Josepha Curwena, które dawno temu porządkował; była to fraza ze złowieszczonego, przechwyconego listu Simona czy Jedediaha Orne'a do dawnego czarnoksiężnika:

“Z pewnością w Tym co wskrzysił H., z Tego cośmy zebrać tylko Częściowo zdołali, nie było Niczego poza najżywszym Okropieństwem.

I nagle ów straszny fragment nabrał nowej treści i jakby podwoił się uzupełniony wspomnieniem podsuniętym natychmiast przez usługną pamięć: pokutującej ongiś, ludowej plotki o spalonym i zdeformowanym stworze, znalezionym na polach w tydzień po najeździe na farmę Curwena. Charles Ward zdradził doktorowi to, co usłyszał od starego Slocuma: nie był to ani człowiek ani znane któremukolwiek z mieszkańców Pawtuxet zwierzę.

Kiedy tak doktor miotał się w tę i w tę stronę, tuląc się co chwila do śmierdzącej, kamiennej posadzki, słowa te nieustannie dźwięczały mu w uszach. Pragnąc wyrzucić je z pamięci, zaczął szeptać słowa Modlitwy Pańskiej; i popadł ostatecznie w mnemoniczny chaos, wyjęty żywcem z kart "Pustynnej krainy" T.S. Eliota, i powtarzał już tylko na okrągło podwójną formułę, odkrytą niedawno w podziemnej bibliotece Warda: Y'ai'NG 'Ngah, – Yog – Sothoŋ i tak dalej, aż do końcowego podkreślenia Zhro. Zdaje się, iż uspokoiło go to na tyle, że zdołał dźwignąć się na nogi; stał teraz w zaciskającym się na nim czarnym jak smoła, lodowatym powietrzu, przerażony utratą latarki i rozpaczliwie rozglądał się za jakimś błyskiem światła. Nie potrafił zebrać myśli; wyteżył tylko wzrok w poszukiwaniu najślabszego nawet lśnienia, czy refleksu świetlnego dobiegającego z jasno oświetlonej biblioteki. Po jakimś czasie wydało mu się, że widzi – gdzieś niesłychanie daleko – leciutki poblask i z bolesną wręcz uwagą, na dłoniach i kolanach, pośród wycia zaczął skradać się w tamtym kierunku, wiedziony jedną myślą: nie stoczyć się do obrzydliwej dziury, jaką sam odsłonił, i nie wpaść na którąś z licznych kolumn.

Po pewnej chwili, kiedy dotknął drżącymi palcami czegoś, o czym wiedział, że to stopnie prowadzące do piekielnego ołtarza, natychmiast się ze wstrętem cofnął. Innym znów razem napotkał dziurkowaną płytę; dokładnie tą samą, którą osobiście odsunął. I od tej chwili jego uwaga stała się zgoła upokarzająca. Na szczęście nie trafił na budzący zgrozę otwór. Cokolwiek tam w środku było, tkwiło nieruchomo i milczało. Najwidoczniej pożarcie latarki nie wyszło mu na zdrowie. Za każdym razem, kiedy trafiał palcami na kolejną podziurkowaną płytę, mężczyzna drżał. Przejście po nich budziło niekiedy głuchy jęk; zasadniczo jednak nie pociągało żadnych skutków, gdyż doktor poruszał się rzeczywiście bezszelestnie. Kilkanaście razy blask niknął i Willett poczuł falę gorąca na

myśl, że przecież lampy, jedna po drugiej, muszą się wypalać i gasnąć. Perspektywa, że ugrzęźnie w tych straszliwych ciemnościach, pozbawiony zapalek, pośród podziemnego świata koszmarnego labiryntu kazała mu podnieść się z ziemi i pobiec, co teraz już – kiedy otwarty otwór pozostał daleko w tyle było w miarę bezpieczne. Wiedział, że gdy pogasną już wszystkie lampy, los jego spocznie w rękach ludzi, których pan Ward – po upływie jakiegoś czasu – wyśle mu na odsiecz. W końcu pieczara się skończyła i Willett, wbiegając w wąski korytarz, ujrzał bijący zza drzwi po prawej stronie, blask. W chwilę później stał już w sekretnej bibliotece młodego Warda – drżący ale szczęśliwy – i obserwował ostatnią, skwierczącą już lampę, której blask przyniósł mu wybawienie.

**W** następnej już chwili ze znalezionych tu uprzednio zapasów nafty spiesznie uzupełniał wypalone lampy. Kiedy w pokoju znów było jasno, zaczął rozglądać się za jakąś latarką; bo jakkolwiek przejęty grozą, obowiązek wciąż brał górę i był zdecydowany dotrzeć do samych korzeni dziwaczego szaleństwa Charlesa Warda. Latarki nie znalazł i zadowolić się musiał najmniejszą z lamp naftowych. Zabrał ponadto galon zapasowej nafty, a kieszenie ponapychał zapalkami i świecami. Jeśli za ową straszliwą wielką salą z plugawym ołtarzem i odrażającą, odsłoniętą studnią trafi na ukryte laboratorium, spędzi w nim zapewne sporo czasu i potrzebować będzie dużo światła. Przejście rozległej sali wymagało od doktora wielkiego hartu ducha; nie miał jednak innego wyjścia. Na szczęście przerażający ołtarz i otwarta studnia usytuowane były w sporej odległości od ściany z celami, których czarne, tajemnicze, łukowe otwory stanowiły logiczny obiekt dalszej eksploracji.

Tak więc Willett wrócił do wypełnionego odorem i pełnym udręki wyciem hallu z filarami, przykręcając tylko na chwilę lampę, by uniknąć przelotnego nawet widoku piekielnego ołtarza i odkrytej jamy z leżącą obok podziurkowaną, kamienną płytą. Większość przejść wiodło do niewielkich komór, niektórych pustych, niektórych wciąż jeszcze pełniących funkcję składów. Znajdowały się w nich intrygujące zbiory gnijącej, pokrytej kurzem odzieży; i poszukiwacz zadrzał, kiedy rozpoznał w niej ubiory pochodzące sprzed stu pięćdziesięciu lat. W innym z kolei pomieszczeniu natknął się na duże ilości odzieży całkiem współczesnej, jakby



przygotowanej dla ogromnej liczby osób. Ale najbardziej nie podobały się mu wielkie, pojawiające od czasu do czasu miedziane beczki; czuł instynktowną odrazę zarówno do nich samych, jak i pokrywającej je złowieszczej inkrustacji. Budziły one w nim jeszcze większy lęk, niż równie niesamowicie rzeźbione, ołowiane puchary, w których zachowały się resztki jakiejś wstrętnej zawartości i od których bił tak odrażający fetor, że zabijał sobą panujący w krypcie smród. Kiedy zbadał już blisko połowę ściany, trafił w kolejny korytarz; bliźniaczo podobny do tego, którym przyszedł. Wiodło z niego wiele drzwi.

Tutaj też rozpoczął poszukiwania. Minął trzy, średniej wielkości i puste pokoje nim trafił do wielkiej, podłużnej izby. Wypełniały ją solidne szafy, stoły, paleniska, całkiem współczesne instrumenty naukowe, nieco książek, a przede wszystkim niekończące się rzędy półek ze słojami i butelkami. Wszystko to świadczyło, że odnalazł w końcu poszukiwane laboratorium należące do Charles Warda – a przed nim niewątpliwie, jeszcze do Josepha Curwena.

Po zapaleniu trzech, napełnionych już i gotowych do użytku lamp, doktor Willett zaczął z przejęciem rozglądać się po otoczeniu i znajdujących się tam sprzętach. Analizując poszczególne odczynniki chemiczne na półkach, doszedł do wniosku, że młody Ward, głównie zajmował się chemią organiczną. Generalnie, ze zgromadzonej tu aparatury naukowej – wśród której był też makabrycznie wyglądający stół do prowadzenia sekcji – niewiele się dawało wywnioskować i Willett był rozczarowany. Pośród książek znalazł stary, postrzępiony, pisany gotykiem egzemplarz Borellusa; czy to tylko zbieg okoliczności, że Ward podkreślił w nim te same ustępy, które tak strwożyły poczciwego pana Merrita na farmie Curwena, przed ponad stu pięćdziesięciu laty? Tamten egzemplarz musiał oczywiście podczas najazdu zaginąć wraz z resztą okultystycznej

biblioteki Curwena. Z laboratorium wiodły trzy pary łukowych drzwi i zaintrygowany doktor ruszył w ich kierunku. Podczas pobieżnych oględzin stwierdził, że dwa wejścia prowadzą do niewielkich składów ze stosami bardzo uszkodzonych, połupanych trumien; doktor zdołał nawet odczytać dwie czy trzy znajdujące się jeszcze na nich tabliczki. Znalazł też sporo odzieży oraz kilka całkiem świeżej daty i zabitych na głucho gwoździami skrzyń, których jednak wolał na razie nie otwierać. Bardzo go zainteresowały pewne przedmioty, które – jak sądził – stanowiły smętne resztki dawnego laboratorium Josepha Curwena. Ręce najeźdźców pastwiły się nad nimi z wyjątkowym barbarzyństwem, ale jeszcze teraz, po latach, można było w nich rozpoznać oryginalny sprzęt chemiczny z czasów georgiańskich.

Trzecie sklepione przejście wiodło do wielkiej komory o ścianach zastawionych szczelnie półkami. Po środku stał stół, a na nim dwie lampy. Willett natychmiast je zapalił; w ich blasku zaczął studiować zawartość niekończących się rzędów otaczających go ze wszech stron półek. Niektóre górne poziomy były puste, ale większość zapełniały niewielkie, o intrygującym wyglądzie, ołowiane naczynia, generalnie dwóch typów: wysokie, i bez uszu, jak greckie lekyty na oliwę, oraz inne – z jedną rączką – przypominające słoje phaleron. Wszystkie one posiadały metalowe zatyczki i pokryte były dziwacznymi, odlanymi w formie płaskorzeźby, symbolami. Na pierwszy rzut oka Willett spostrzegł, że są one bardzo skrupulatnie posortowane. Wszystkie lekyty zebrano po jednej stronie pokoju i opatrzone na górze dużym, wykonanym w drewnie napisem: "Ochrona", phalery po drugiej stronie zatytułowano: "Materia". Słoje te, czy garnki – za wyjątkiem niektórych z najwyższych półek, które były puste – zawierały kartonowe etykiety z numerem; najwidoczniej odsyłaczem do jakiegoś katalogu, który Willett natychmiast postanowił

odszukać. Chwilowo jednak bardziej zainteresowała go zawartość naczyń, w związku z czym, na próbę, otworzył na chybił trafił kilka lektyów i phaleronów. Wszędzie było to samo: niewielka ilość delikatnego niczym kurz proszku, bardzo ulotnego i w różnych odcieniach. Doktor nie potrafił ustalić kryterium, według którego proszek był posegregowany; zarówno w lektych jak i w phaleronach błękitnawo–szary proszek mógł stać przy różowawo–białym, a jakakolwiek zawartość phaleronów posiadała swój odpowiednik w lektych. Pył charakteryzował się wyjątkową nieprzyczepnością. Willett, który wysypał sobie na dłoń zawartość słoja, po wsypaniu go z powrotem zauważył, że do dłoni nie przylgnęła ani odrobina proszku. Zagadkę stanowiły dlań dwie nazwy i na próżno łamał sobie głowę nad przyczepą, dla której ta bateria chemikaliów została tak radykalnie oddzielona od szklanych słoje na półkach we właściwym laboratorium. "Ochrona", "Materia": były to łacińskie określenia na słowa "Straże" i "Tworzywo" i nagle w rozbłysku skojarzenia przypomniał sobie, gdzie już wcześniej napotkał słowo "Straże". Oczywiście, w ostatnim liście rzekomego Edwarda Hutchinsona do doktora Allena: "Nie ma Potrzeby bowiem trzymać Straży w postaci, bo żre więcej niż jest Warta, a ponadto – jak sam zbyt dobrze wiesz – Kłopoty z tego wyniknąć mogą". Czy ma to jakiś sens? Ale zaraz – czyż nie istnieje inny jeszcze odnośnik do "straży"? Zapomniał o nim kiedy czytał ów list Hutchinsona. Młody Ward, jeszcze w czasie gdy nie otaczał się taką tajemnicą, wspominał o pamiętniku, w którym Eleazer Smith pisał o szpiegowaniu – swoim i Weedena – na farmie Pawtuxet. W tej budzącej lęk kronice była wzmianka o podsłuchanej rozmowie jaka miała miejsce zanim jeszcze czarnoksiężnik całkowicie schronił się pod ziemię. Smith i Weeden utrzymują, że w owej rozmowie brali udział Curwen, jacyś jego więźniowie oraz strażę tych więźniów. Strażę te – zgodnie z Hutchinsonem, czy też jego awatarem – "żrą więcej

niż są warte", i z tego względu doktor Allen nie trzyma już ich w postaci. A jeśli nie w postaci, to może w "prochach", do których ta czarnoksiężka zgraja zredukowała tak wiele ludzkich ciał i kości?

A zatem to właśnie zawierały lekyty; potworny owoc bezbożnych rytuałów i czynów, w wyniku których pokonane lub zastraszone istoty, przyzywane mocą jakiejś piekielnej inkantacji, pomagały swym bluźnierczym władcom przesłuchiwać opornych. Uświadomiwszy sobie co w rzeczywistości wysypał sobie na dłoń, Willett zadrżał i gorączkowo odsypał proszek z powrotem. Całą siłą woli stłumił paniczną chęć ucieczki z tej pieczary odrażających półek i milczących, spoglądających zapewne wartowników. I wówczas pomyślał o "Tworzywie" – w bezliku słoików phaleron po drugiej stronie pokoju. Też prochy – lecz jeśli nie prochy "straży", to czego? Boże! Czy to możliwe, iż spoczywały w nich śmiertelne szczątki tytanów myśli z wszystkich czasów; porwani przez najstraszliwsze upiory z krypt, w których umieścił ich świat, wezwani zostali przez szaleńców pragnących wydrenować ich wiedzę w jakimś sobie tylko wiadomym, obłądnym celu; czy o tym właśnie, mgliście wspominał nieszczęsny Charles w gorączkowym liście: "cała cywilizacja, wszelkie prawa natury, być może los systemu słonecznego i wszechświata."? A Marinus Bicknell Willett przesiewał sobie przez palce te prochy!

Kiedy w odległym końcu pokoju dostrzegł niewielkie drzwi, podszedł do nich jak najspieszniej i zaczął badać wzrokiem prymitywny znak wykuty nad framugą. Był to symbol, którego widok napełnił mu duszę lękiem. Bowiem pewien przyjaciel doktora – mroczny marzyciel – wyrysował mu niegdyś i objaśnił parę rzeczy, jakie poznał był w czarnych otchłaniach snu. Wśród nich znajdował się właśnie znak Koth, który fantaści spotykają nad łukowym wejściem do pewnej czarnej, stojącej samotnie w półmroku, wieży; Willett poczuł wówczas natychmiastową odrazę do tego, co ów

przyjaciel – Randolph Carter – mówił o potędze tego znaku. Kiedy jednak w przepełnionym smrodem powietrzu, wyczuł nieoczekiwanie kolejny, gryzący odór, Willett zapomniał o znaku. Był to raczej zapach chemikaliów niż zwierząt i z pewnością dobiegał z zamkniętych drzwi. Był to ten sam zapach, jaki wydzielala odzież Charles Warda w dniu, kiedy zabierali go lekarze. Czyżby właśnie tu wtedy pracował, i pracę tę przerwało najście doktorów? Był mądrzejszy od Josepha Curwena i nie stawiał oporu. Willett, który z zuchwałą desperacją postanowił zbadać każde cudo i każdy koszmar tej piekielnej krainy, ujął w dłoń niewielką lampę i przekroczył próg. Ogarnęła go fala nieokreślonego lęku, ale niezłomnie parł ku swym celom. W pomieszczeniu przecież nie mogło być żadnej istoty, która by wyrządziła mu krzywdę. A ponadto ożywiało go pragnienie przeniknięcia okropnej chmury, która spowiła duszę Charlesa Warda.

Pokój był średnich rozmiarów i bardzo skromnie umeblowany – stół, krzesło oraz dwie zadziwiające maszyny z klamrami i kołami w której Willett natychmiast rozpoznał średniowieczne instrumentarium do zadawania tortur. Po jednej stronie drzwi stał stojak z potwornymi pejciami, a nad nim półki z szeregiem ołowianych pucharów ukształtowanych na podobieństwo greckich kyliksów. Po drugiej stronie był stół, na nim lampa Arganda, blok papieru, ołówek i dwa zatkane lekyty, najwyraźniej zostawione tu w pośpiechu lub przez zapomnienie. Willett zapalił lampę i spojrzał bacznie na papier; musiał koniecznie dowiedzieć się, co młody Ward pisał w chwili, kiedy mu przerwano. Nie było tam w zasadzie nic; wyłącznie nie powiązane ze sobą zdania nabazgrane ręką Curwena i nie niosące żadnych treści:

“B. nie umarł. Uciekł przez ściany i znalazł Miejsce poniżej.” “Poznaj starą V. mądrość Sabaoth i naucz się Sposobu.” “Wskrzyszony trzykrotnie Yog – Sothoth i przysłany Nazajutrz.”

“F. szuka sposobu zniszczenia wiedzy jak wskrzyszać Tych z Zewnątrz.”

Kiedy potężny blask lampy Arganda rozjaśnił mrok, docierając do wszystkich zakamarków pomieszczenia, doktor ujrzał, że w ścianie na przeciwko drzwi – pomiędzy urządzeniami do tortur – tkwią kołki ze zwieszającymi się niedbale szatami w posępnym, żółtawo–białym kolorze. Ale dużo bardziej interesujące okazały się dwie pozostałe, puste ściany; obie gęsto pokryte mistycznymi symbolami i formułami niezdarnie wykutymi w gładko wypolerowanym kamieniu. Wilgotna podłoga też nosiła ślady rytów i Willett rozpoznał ogromny pentagram pośrodku oraz cztery okręgi o średnicy trzech stóp każdy, usytuowane w połowie odległości między owym pentagramem a rogami pokoju. W jednym z okręgów, w pobliżu owych zawieszonych niedbale żółtawych szat, stał płytki kyliks, których tak wiele znajdowało się na półkach powyżej upiornego stojaka z pejcami. Natomiast tuż za obwodem koła, Willett dostrzegł dzbanek phaleron, pochodzący z innego kręgu, w którym zachowało się nieco suchego, matowo–zielonkawego, zwietrzałego proszku; i Willett dostał prawie zawrotu głowy na myśl co to wszystko znaczy i czym ów proszek może być. Pejczy i urządzenia do zadawania tortur, kurz lub prochy ze słoja “Materia”, dwa lekyty z półki “Opieka”, szaty, formuły na ścianach, notatki na papierze, reminiscencje z listów i legend oraz tysiące drobnych spostrzeżeń, wątpliwości i podejrzeń, które tak dręczyły przyjaciół i rodziców Charlesa Warda; pod wpływem tego wszystkiego, doktora ogarnęła fala grozy i stał spoglądając nieruchomym wzrokiem na ów zielonkawy proszek w smukłym, postawionym na podłodze, ołowianym kyliksie.

Kiedy opanował się na tyle, by rozsądnie myśleć, Willett zaczął studiować wykute w kamieniu formuły. Inkrustowane, niewyraźne litery mówiły, że wzory te pochodzą jeszcze z czasów Curwena, ale komuś, kto

przeczytał wiele jego materiałów i przekopał się przez historię magii, treść tych formuł nie była całkiem obca. Doktor rozpoznał między innymi tą, którą pani Ward słyszała w niepokojący Wielki Piątek, rok wcześniej. Znaczący twierdzili, iż formuła ta, to straszliwa inwokacja adresowana do tajemniczych bóstw spoza zwyczajnych sfer. Formuły te brzmiały nieco inaczej niż zapamiętała je pani Ward; różniły się też od tekstu na zakazanych stronicach "Eliphasa Levi", które pokazali mu znaczący przedmiot. Ich tożsamość jednak nie ulegała wątpliwości, a takie słowa jak Sabaoth, Metraton, Almonsin czy Zariatnatmik ścinały doktorowi duszę lodem, gdyż poczuł już i poznał wiele z tego kosmicznego obrzydlistwa.

Inskrypcje pokrywały zarówno ścianę po lewej jak i po prawej ręce od wejścia. A na lewostronnej Willett, kiedy się zbliżył, natychmiast odnalazł parę formuł, która tak często występowała w notatkach w bibliotece. Okrągło rzecz biorąc, były to formuły ze starożytnymi symbolami "Głowy Smoka" i "Ogona Smoka" w nagłówku. Ich pisownia jednak różniła się od wersji współczesnej, jak gdyby Joseph Curwen posiadał inny sposób konotacji dźwięku lub też późniejsze studia rozwinęły jeszcze silniejsze i doskonalsze warianty inwokacji o których mowa. Doktor próbował pogodzić wyrzeźbioną wersję z tą, która tak uporczywie drażyła mu pamięć. Podczas gdy wersja, którą pamiętał zaczynała się: "Y'a i' ng 'ngah, Yog – Sothoth", ten epigraf brzmiał: Aye, cngengah, Yogge – Sothotha", wyraźna różnica w drugim słowie.

Rozbieżność między dwoma tekstami – tym zapamiętanym oraz wykutym w kamieniu – nie dawała Willettowi spokoju; i naraz odkrył, że śpiewa na głos pierwszą formułę, próbując zestawić dźwięk, który sobie przypominał, z wyrytymi na ścianie literami. Tajemniczo i złowrogo brzmiał jego głos w tej otchłani starożytnego bluźnierstwa. Grzmiał jego monotony śpiew wzmacniany jeszcze, czy to czarem minionego i

niezgłębionego, czy też piekielnym, ponurym i bezbożnym wyciem dochodzącym z dziur, których nieludzki chór wzrastał i opadał rytmicznie, docierając poprzez smród i ciemność aż tutaj:

Y ' AI 'NG 'NGAH  
YOG – SOTHOTH  
H'EE – – – – L 'GEB  
F' AI THARODOG  
UAAAHAH !

*Ale cóż znaczył ten zimny wiatr, który zrodził się wraz z pierwszymi tonami? Lampy zaczęły donośnie skwierczeć, a z powietrza spłynął mrok tak gęsty, że z trudem tylko dostrzec mógł litery na ścianie. Pojawił się dym i gryzący smród, który zabił prawie dobiegający z odległych szybów odór; smród jakiego już raz doświadczył. Tym razem jednak nieporównanie silniejszy i bardziej ostry. Odwrócił wzrok od inskrypcji i omiół spojrzeniem pokój wraz z całą jego dziwaczną zawartością. Spostrzegł, iż ze stojącego na podłodze kyliksu ze zwietrzałym proszkiem bije chmura zielonkawo–czarnego wyziewu; zaskakująco rozległa i gęsta. Proszek ten... Wielki Boże!... pochodził z półki "Materia" co się teraz z nim dzieje, co się zaczyna? Pierwsza formuła z pary została wyśpiewana: Głowa Smoka, wznoszący się węzeł – Wielki Zbawicielu, czyżby to miał być...!*

Pod doktorem ugięły się kolana. Przez głowę, jak oszalałe galopowały nie powiązane ze sobą strzępy wspomnień tego co widział, co słyszał i co czytał o przerażającym Josephie Curwenie i przypadku Charlesa Dextera Warda: "Mówię raz jeszcze, nie wywołuj Niczego czego nie poskromisz... Stosuj Słowa które czas cały gotowe są, lecz wstrzymaj się zawsze ilekroć



żywiąc Wątpliwości pewnyś nie jest Kogo masz... Trzy Rozmowy z Tym,  
co zostało w nim pogrzebione... "Wielkie Nieba, cóż to za kształt za  
przegrodą dymu?"

**M**arinus Bicknell Willett wie, że za wyjątkiem niektórych tylko i to najbardziej oddanych i życzliwych przyjaciół, nikt nie da mu wiary. I im tylko wyznał prawdę; a niektóre osoby postronne, do których historia dotarła, rzeczywiście skwitowały ją śmiechem, stwierdzając iż doktor na starość dziwaczeje. Zalecano mu dłuższy urlop, radząc przy tym, by w przyszłości unikał pacjentów cierpiących na zaburzenia umysłowe. Jedynie pan Ward wiedział, że wszystko co mówi doświadczony lekarz jest najstraszliwszą 'prawdą. Czyż nie widział na własne oczy owej obrzydliwej studni w piwnicy? Czyż doktor Willett o jedenastej godzinie tego złowieszczego ranka nie odwiózł go do domu – pokonanego, chorego? Czyż nie telefonował do lekarza na próżno wieczorem tego dnia; i jeszcze następnego? I czyż osobiście nie pojechał w południe do bungalowu, gdzie znalazł nieprzytomnego, ale całego przyjaciela w jednym z łóżek na piętrze? Willett oddychał chrapliwie, a oczy otworzył dopiero, gdy pan Ward wlał mu do ust odrobinę przyniesionej z samochodu Brandy. Natomiast też zadrzał, wydał skowyt i zaczął wykrzykiwać: – Ta broda... te oczy... Boże, kim ty jesteś... ?!

Rozumie się, niesłuchanie tym zaintrygował schludnego, błękitnookiego i gładko wygolonego gentelmana, którego wszak znał od dzieciństwa.

Pławiący się w potokach jaskrawych promieni południowego słońca bungalow, wyglądał tak samo jak dnia poprzedniego. Odzież Willetta, za wyjątkiem drobnych plam i rozdarć na kolanach, była w jak najlepszym porządku; i jedynie bijąca z niej lekka, ale ostra woń przypominała panu

Wardowi zapach, jaki wydzielało ubranie syna w dniu, kiedy go zabierano do szpitala. Latarka doktora oczywiście zaginęła, lecz jego pusty obecnie plecak leżał tam, gdzie zostawił go poprzedniego dnia. Bez słowa wyjaśnienia, ale z widocznym wysiłkiem woli, zataczając się jak pijany, Willett ruszył na dół, do piwnicy, gdzie próbował poruszyć fatalną platformę przed baliami. Nawet nie drgnęła. Ruszył więc do kąta, gdzie zostawił torbę z narzędziami, wyjął potężne dłuto i zaczął zrywać deski podłogi – jedna za drugą. Pod spodem był tylko lity beton. Pan Ward, który podążył za nim, prócz gołego cementu niczego innego nie zobaczył; nie istniała już żadna obrzydliwa studnia, żaden świat podziemnej grozy. Żadna sekretna biblioteka, żadne papiery Curwena, żadna koszmarna dziura wypełniona smrodem i wyciem, laboratorium, półki, wykryte w kamieniu formuły, żadne... Poblady z nagłą doktor Willett odwrócił się w stronę młodszego mężczyzny i mocno pochwycił go za ramiona.

– Wczoraj – powiedział cicho. – Czy widziałeś to... czy czułeś?

Sparaliżowany strachem i zdumieniem pan Ward skinął tylko lekko głową. Lekarz wydał dźwięk ni to westchnienia ni to ciężkiego sapnięcia i też kiwnął głową.

– Zatem ci wszystko opowiem. – rzekł.

Przez pełną godzinę w najbardziej nasłonecznionym pokoju jaki znaleźli na piętrze lekarz szeptał zdumionemu ojcu swą przerażającą opowieść. Niewiele w sumie miał do powiedzenia poza tym, że kiedy rozwiewał się zielonkawo–czarny wyziew z kyliksa, ujrzał jakiś majaczący kształt. Ale obecnie był zbyt wyczerpany, by dociekać, co się właściwie wydarzyło. Obaj mężczyźni potrzęsali w zadumie głowami i pan Ward w końcu odważył się cicho zasugerować:

– Przypuszczasz, że jest sens kopać?

Doktor milczał. Na to pytanie żaden ludzki umysł nie był w stanie odpowiedzieć. Zbyt wielkie moce z nieznaných Sfer zagnieździły się po tej stronie Wielkiej Otchłani. I pan Ward ponownie zapytał:

– Ależ dokąd to poszło? Rozumiesz, przeniosło cię do pokoju, a samo w jakiś sposób zatkało otwór.

Willett znów zbył to milczeniem.

Lecz sprawa się na tym nie skończyła. Tuż przed opuszczeniem bungalowu, sięgając po chusteczkę do nosa, doktor Willett wyczuł palcami, poniewierając się w towarzystwie świeczek i zapalek, które miał ze sobą w krypcie, kawałek papieru, którego przedtem z całą pewnością w kieszeni nie było. Był to strzęp papieru z bloku na stole w bajecznym pokoju zgrozy pod ziemią, zapisany ołówkiem – zapewne tym samym, który leżał koło stosu papierów. Karteczka była starannie złożona i poza słabym, gryzącym zapachem tajemniczej komory, nic nie sugerowało istnienia innego świata. Ale sam tekst był zdumiewający. Nie było to pismo współczesne, lecz skomplikowane litery pochodzące bezpośrednio z mrocznego średniowiecza, których, nachylający się nad nimi laicy nie potrafili odczytać. Sam układ listu jednak miał w sobie coś mgliście znajomego.

Musiła to być wiadomość. Poruszona dwójka mężczyzn spieszenie ruszyła do samochodu Warda, gdzie polecono szoferowi zawieść się na obiad do jakiegoś zacisznego miejsca, a następnie do Biblioteki Johna Haya na wzgórzu.

W bibliotece bez trudu znaleźli doskonałe podręczniki paleografii, nad którymi łamali sobie głowy aż do zmierzchu, kiedy to zapalono już wielki żyrandol. Znaleźli to czego szukali! Litery nie były żadnym fantastycznym wymysłem, ale tworzyły normalne pismo pochodzące z zamierzchłych czasów. Była to ostra minuskuła saksońska z ósmego lub dziewiątego

wieku naszej ery; z tych dzikich czasów, kiedy pod cieniutką otoczką młodego jeszcze chrześcijaństwa żyły potajemne, starodawne wiary i obrzędy, a blady księżyc Brytanii spoglądał na dziwne rytuały w rzymskich ruinach w Caerleon, w Hexhaus i w Wieżach potrzaskanego muru Hadriana. Była to barbarzyńska łacina pochodząca z barbarzyńskich czasów: Coninus nescandum est. Cadaver aq (ua) forti dissolvendum, nec aliq (ui) d retinendum. Tace ut potes. – co można z grubsza przetłumaczyć: “Curwen musi umrzeć. Ciało ma być rozpuszczone w aqua fortis tak, by nic z niego nie zostało. Zachowaj absolutne milczenie.”

Zbici z tropu Willett i pan Ward milczeli. Natknęli się na nieznane, ale – ciekawa rzecz – nie wzbudziło to w nich takich emocji, jakie powinna wywołać zagadka tej miary. Co do Willetta, to jego zdolność odbierania nowych, wzbudzających grozę wrażeń, prawie zupełnie wyczerpała się ostatniej nocy. Obaj mężczyźni zatem, aż do zamknięcia biblioteki, siedzieli beczynn timer, pogrążeni w grobowym milczeniu.

Apatyczni, pojechali do domu Wardów na Prospect Street, gdzie do późnej nocy prowadzili rozmowy na oderwane tematy. Doktor nie wrócił już tego dnia do domu. Był u Wardów jeszcze, kiedy w niedzielę, około południa nadeszła telefoniczna wiadomość od detektywów, którzy tropili doktora Allena.

Przechadzający się właśnie nerwowo w szlafroku po pokoju pan Ward, osobiście odebrał telefon. Na wieść, że raport jest już prawie gotów, polecił im stawić się następnego dnia wcześniej rano. Telefon od detektywów ożywił nieco obu mężczyzn, gdyż bez względu na to, skąd pochodziło dziwaczne przesłanie pisane minuskułą, było rzeczą pewną, iż “Curwen”, którego mają zniszczyć, jest nikim innym jak owym brodatym i w okularach przybyszem. Charles bał się tego człowieka, a w gorączkowym liście do doktora Willetta oznajmił, że trzeba go zabić i rozpuścić w kwasie.

Ponadto Allen – pod nazwiskiem Curwen – otrzymywał listy od innych czarnoksiężników w Europie i najwyraźniej traktował siebie jako wcielenie dawnego nekromanty. A obecnie na dodatek, z nowego i nieznanego źródła, nadeszło kolejne przesłanie, że “Curwena” należy zabić i też rozpuścić w kwasie. Powiązania były zbyt wyraźne, by żywić najmniejsze wątpliwości; czyż Allen nie zamierzał – za radą tej kreatury określającej siebie mianem Hutchinsona – zamordować młodego Warda? Naturalnie, list w którym była o tym mowa nie dotarł do brodatego adresata, ale z tekstu wnioskowali, że Allen już wcześniej planował rozprawę z młodzieńcem, gdyby ten stał się zbyt “wrażliwy”, Allena trzeba schwytać i jeśli nawet człowiek ten nie poniesie najsurowszych konsekwencji, to umieszczony zostanie w miejscu, skąd nie zdoła już wyrzucić Charlesowi najmniejszej krzywdy.

Mając nadzieję na jakieś nowe informacje, ojciec i doktor wyruszyli po południu nad zatokę, by odwiedzić w szpitalu młodego Charlesa. Kiedy Willett szczegółowo opowiedział mu co odkrył w piwnicy bungalowu, młodzian pobladł, upewniając tym doktora, że ostatnie przeżycia nie były żadnym snem. Kiedy mówił o zakrytych jamach i czających się w nich hybrydach, pilnie obserwował twarz Charlesa szukając w niej potwierdzenia. Tym razem jednak Ward zachował nieruchomą twarz. Willett urwał, po czym podniesionym głosem zaczął mówić o skazanych na powolną, głodową śmierć stworach, gromiąc młodzieńca, że jest pozbawiony uczuć. W odpowiedzi jednak usłyszał tylko sardoniczny śmiech, który przejął go dreszczem. Charles bowiem widząc już, że nie ma sensu zaprzeczać istnieniu krypty, zachichotał nieoczekiwanie, po czym wyjątkowo okropnym, zmutowanym głosem wychrypiał:

– Gwiżdżę na nie. Jedzą, ale wcale nie muszą. To bardzo interesujące. Miesiąc, powiadasz bez jedzenia? Mój panie, trochę skromności! Nieszczęsny stary Whipple i banda jego świętoszkowatych junaków

wystawili się tylko na śmiech. Wytłukłby wszystko, czyż nie tak? Ale, do cholery, z Zewnątrz dochodził taki zgiełk, że nie dosłyszał dźwięków dobiegających ze studni i nie dotarli do nich. W ogóle nie miał pojęcia, że coś takiego istnieje! Niech was piekło pochłonie, te przekłete stwory wyją tam w dole jeszcze od czasu, kiedy stworzył je Curwen, sto pięćdziesiąt siedem lat temu!

Niczego więcej nie dawało się z młodzieńca wyciągnąć. Zdumiony tym dziwnym oporem doktor kontynuował jednak opowieść w nadziei, że zaskoczy czymś słuchacza, prowokując tym samym do wyznań. Obserwując bacznie twarz Charlesa, doktor nie potrafił stłumić ogarniającej go zgrozy na widok zmian, jakie w chłopcu zaszły w ciągu ostatnich miesięcy. Młody Ward rzeczywiście musiał ściągnąć z niebios jakąś przerażającą makabrę. Ożywił się dopiero, kiedy Willett napomknął o pokoju z formułami i zielonkawym proszku. Na twarzy wykwitnął mu kpiarski uśmiezek, a kiedy usłyszał co Willett wyczytał w papierach oświadczył spokojnie, iż notatki są stare i zapewne bez znaczenia dla kogoś, kto nie został głęboko wprowadzony w historię magii.

– Ale dodał – gdybyś znał słowa i poruszył to, co ja wydobyłem ze słoja, nie przychodziłbyś tu i mówił mi o tym. To numer 118 i wyobrażam sobie twój szok, gdybyś zajrzał do katalogu w innym pokoju. Nigdy go jeszcze nie wskrzeszałem, lecz miałem to uczynić właśnie tego dnia, kiedyś mnie tu zaprosił.

Kiedy Willett przeszedł do formuły którą wypowiedział, i do zielonkavo–czarnego dymu jaki się wówczas pojawił, nieoczekiwanie na twarzy Charlesa po raz pierwszy odmalował się strach.

– Przyszło, ale ty jesteś tutaj, żywy!

Kiedy Ward krakał te słowa, jego głos jakby wyrwał się z pęt choroby i był nagle głęboki niczym przepastna otchłań pełna niesamowitych

rezonansów. Na Willetta spłynęło natchnienie i nieoczekiwanie w opowieść wplótł przestrożę, którą wyczytał w liście:

– Powiadasz numer 118? Ale nie zapomnij, że obecnie na dziewięciu cmentarzach z dziesięciu zostały pozamieniane kamienie. Nie będziesz nigdy pewien, dopóki nie sprawdzisz! I gwałtownym ruchem podstawił chłopcu przed oczy zapisaną minuskułą kartkę. Takiego efektu się nie spodziewał. Charles Ward po prostu zemdłał.

Cała rozmowa naturalnie odbywała się bez wiedzy lekarzy; w przeciwnym bowiem razie, psychiatrzy zarzuciliby ojcu i lekarzowi, że utwierdzają wyłącznie pacjenta w jego urojeniach. Bez niczyjej pomocy więc, doktor Willett i pan Ward podnieśli nieprzytomnego młodzieńca i położyli na łóżku. Dochodząc do siebie pacjent wymamrotał kilkakrotnie, że musi natychmiast złapać Orne'a i Hutchinsona; tak więc, kiedy już w pełni powróciła mu świadomość, doktor dodał, że przynajmniej jedna z tych kreatur jest jego śmiertelnym wrogiem; radziła bowiem doktorowi Allenowi zgładzić go. Rewelacje te nie wywarły na gospodarzu najmniejszego wrażenia, lecz już wcześniej goście spostrzegli, że z niewyjaśnionych powodów, sprawia on teraz wrażenie człowieka zaszczutego. Stanowczo odmówił dalszej rozmowy i niebawem Willett z ojcem opuścili progi kliniki, ostrzegając jeszcze raz na odchodnym, by młodzieniec strzegł się brodatego Allena. Charles odpowiedział na to, że typek ten jest bardzo dobrze pilnowany i nie może już nikomu wyrządzić krzywdy, choćby nawet bardzo tego chciał. Powiedział to z jakimś diabolicznym, ścinającym krew w żyłach chichotem. Willett nit obawiał się, by Charles zdołał nawiązać jakikolwiek kontakt z tą potworną parą z Europy. Wiedział, że władze szpitalne przeglądają wszelką nadchodzącą i wychodzącą z kliniki korespondencję pacjentów i nie przeoczą żadnego szalonego czy dziwnego tylko listu.



Sprawa Orne'a i Hutchinsona – jeśli to nimi naprawdę byli przebywający za granicą czarnoksiężnicy – potoczyła się jednak w sposób nieoczekiwany. Kierowany jakimś mglistym przeczuciem, Willett zwrócił się do międzynarodowego biura bieżących wycinków prasowych z prośbą o wykaz godnych uwagi zbrodni i wypadków w Pradze i wschodniej Transylwanii. Po sześciu miesiącach, spośród różnorodnych artykułów, wyłowił dwa niezwykle intrygujące. Jeden mówił o całkowitej zagładzie w nocy domu w najstarszej dzielnicy Pragi, oraz o zaginięciu nikczemnego starca, Josefa Nedeha, który zamieszkiwał w tym domostwie od niepamiętnych czasów. Drugi był o tytanicznej eksplozji w Transylwanii, w górach na wschód od Rakus, w której śmierć ponieśli wszyscy mieszkańcy cieszącego się złą sławą Zamku Ferenczy, o którego właścicielu mówiono tak źle, że zainteresowały się nim władze, i gdyby nie ów wypadek kładący kres ciągnącej się zresztą również od niepamiętnych czasów sprawie, zostałyby niebawem wezwany do Bukaresztu na przesłuchanie. Willett utrzymuje, iż ręka która napisała ową minuskułę dysponowała jakąś potężną bronią; powierzając Curwena doktorowi, autor notatki potrafił odnaleźć i rozprawić się osobiście z Ornem i Hutchinsonem. O tym, jaki ostatecznie los spotkał tych dwóch ludzi, doktor starał się skwapliwie nie myśleć.

Następnego ranka Willett pośpieszył do domu Wardów; koniecznie bowiem chciał uczestniczyć w rozmowie z detektywami. Oczekujących nadejścia oznajmił panu Wardowi, że Allena – czy też Curwena, jeśli przyjąć interpretację reinkarnacji – należy koniecznie zabić lub uwięzić. Ojciec i lekarz siedzieli w pokoju na parterze; górnych partii domu bowiem unikano z powodu panującej tam nieokreślonej, ale zatrważającej atmosfery grozy; grozy, którą starsza służba przypisywała przekleństwu, jakie rzucił na dom nieistniejący już obraz Curwena.

O dziewiątej zjawilo się trzech detektywów i bez zwłoki przekazali to, co mieli do powiedzenia. Niestety, nie udało się im ustalić miejsca pobytu Brava Tony Gomesa, jak też tego, skąd pochodził i gdzie aktualnie przebywa doktor Allen. Zebrali natomiast sporą ilość krążących w okolicy pogłosek i ustalili szereg nowych faktów odnośnie powściągliwego w mowie przybysza. Mieszkańcy Pawtuxet traktowali Allena jak istotę w jakiś sposób nienaturalną i panowało powszechne przekonanie, że gęsta, rudawo-blond broda jest albo sztuczna albo farbowana. Tę sprawę detektywi rozstrzygnęli pozytywnie, bo w pokoju Allena w fatalnym bungalowie natknęli się na drugą, taką samą sztuczną brodę i parę ciemnych okularów. Miał głęboki i tubalny głos, którego nie sposób zapomnieć – pan Ward skinął w tym miejscu potakująco głową, gdyż doskonale pamiętał swą jedyną rozmowę telefoniczną z tym człowiekiem – oraz złośliwe spojrzenie oczu, mimo skrywających je, oprawnych w róg przydymionych szkielek. Jeden z kupców, z którym prowadził interesy, dobrze zna jego charakter

pisma; twierdzi, że jest ono osobliwe i niezgrabne i w zrobionych ołówkiem notatkach znalezionych w pokoju Allena w Pawtuxet, natychmiast rozpoznał jego rękę.

Piekło wampiryzmu, które wybuchło zeszłego lata, ludzie wiązali raczej z Allenem niż Wardem; to Allen, twierdzili, był wampirem. Detektywi dotarli też do tych przedstawicieli policji, którzy odwiedzili bungalow po odrażającym incydencie z napadem na ciężarówkę. Sam doktor Allen nie sprawił na nich szczególnie złowieszczego wrażenia, jakkolwiek przyznali, że w tajemniczym i mrocznym domu, dominującą osobą był właśnie on. Wprawdzie było tam ciemno i nie zdołali przyjrzeć mu się dokładniej, ale utrzymywali, że z całą pewnością rozpoznali by go gdyby mieli się z nim ponownie spotkać. Dziwne wrażenie sprawiała jego broda, a nad prawym okiem miał niewielką bliznę, której nie zdołały przysłonić ciemne okulary. Poszukiwania w pokoju Allena nie przyniosły poza brodą, okularami i drobnymi notatkami żadnych rewelacji. Willett bez trudu poznał w tych notatkach charakter pisma, który znał już z dawnych rękopisów Curwena oraz ostatnio robionych zapisków Warda, które znalazł w zaginionych katakumbach grozy.

W miarę napływu kolejnych szczegółów, zarówno w doktorze Willecie jak i w panu Wardzie narastać zaczynał jakiś niewyraźny, ale podstępny, kosmiczny lęk. I nagle jednocześnie obu mężczyzn poraziła szalona myśl. Fałszywa broda, okulary, niezgrabny charakter pisma Curwena... stary portret i Curwen z niewielką blizną nad okiem... Odmieniony młodzieniec w szpitalu z taką samą blizną... głęboki, głuchy głos w telefonie; czyż nie ten sam, który nieoczekiwanie usłyszeli w szpitalnym pokoju Charlesa, gdy młodzieniec na chwilę stracił panowanie nad sobą? Czy ktoś widział Charlesa i Allena razem? Tylko raz, policja – ale kto później? Co wydarzyło się, kiedy Allen wyjechał, a Charles, któremu minął raptownie

narastający od jakiegoś czasu lęk, przeniósł się na stałe do bungalowu? Curwen... Allen... Ward... – w jaką bluźnierczą i odrażającą fuzję zlały się dwa stulecia i dwie osoby? Przeklęte podobieństwo mężczyzny z portretu do Charlesa – czyż nie łąpał i nie łąpał okiem, wodząc przy tym wzrokiem za Charlesem? Dlaczego Allen i Charles, nawet gdy byli sami i nikt ich nie obserwował, kopiowali charakter pisma Josepha Curwena? I na koniec przerażające zajęcia tych ludzi... zaginiona krypta grozy, gdzie doktor przez jedną noc tak się postarzał; wygłodzone potwory w odrażających jamach; straszna formuła i jeszcze straszniejszy jej rezultat; przesłanie w minuskułę znalezione w kieszeni Willetta; papiery, listy, rozmowa o grobach, “prochach” i odkryciach. Co z tego wynika? I wreszcie pan Ward uczynił rzecz najrozsądniejszą. Gnany instynktem, nie zadając nawet sobie pytania po co to robi, wręczył detektywom pewien przedmiot i polecił go pokazać tym kupcom w Pawtuxet, którzy na własne oczy widzieli złowieszczygo doktora Allena. Była to fotografia jego nieszczęsnego syna, na której obecnie ostrożnie domalował atramentem parę ciężkich szkieł oraz czarną, spiczastą brodę; taką samą jaką znaleziono w pokoju Allena.

Pogrążeni w ciężkim milczeniu i zadumaniu ojciec i doktor czekali przez dwie godziny w dusznym pokoju, gdzie gęstniał strach i zbierały się zwolna tajemnicze wyziewy; a piętro wyżej, z pustego miejsca nad kominkiem w bibliotece zdawały się padać wciąż i padać kuse spojrzenia. Powrócili detektywi. Tak, twarz na przeprowionej fotografii do złudzenia przypomina doktora Allena. Na te słowa pan Ward pobladł, a Willett zaczął wycierać chusteczką od nosa powilgłe naraz brwi. Allen... Ward... Curwen... – zbyt odrażające, by mieściło się w granicach zdrowego rozsądku. Cóż takiego chłopiec wywołał z nicości, i co mu to coś uczyniło? Co się naprawdę stało? Kim jest ów Allen który pragnął zabić zbyt “wrażliwego” Charlesa? Dlaczego jego przyszła ofiara w postscriptum gorączkowego listu pisała, że

Allena trzeba tak dokładnie roztopić w kwasie? Dlaczego przesłanie w minuskule, którego prawdziwej genezy nikt nawet nie próbował dochodzić, też nakazywało zniszczyć "Curwena"? Na czym polegała owa przemiana i kiedy miał nastąpić jej ostatni etap? Tego dnia, kiedy nadszedł gorączkowy list Warda, młodzieniec cały ranek wykazywał ogromny niepokój. A po południu nastąpiła przemiana. Niepostrzeżenie wymknął się z domu, po czym wrócił, zuchwale przechodząc obok wynajętych dla jego ochrony ludzi. Odmiana zatem musiała nastąpić w czasie, gdy był nieobecny. Ale czyż nie krzyknął z przerażenia, kiedy wszedł do swojej pracowni? Co tam znalazł Albo...co znalazło jego? Pozoracja powrotu. Nikt przecież nie widział jak wychodzi – czy to był właśnie ów obcy cień i groza, które zniewoliły drżącego chłopca, który w rzeczywistości wcale domu nie opuszczał? Czyż służący nie wspominał o dziwacznych hałasach?

Willett zadzwonił na tego człowieka i na stronie zadał mu cicho kilka pytań. Z pewnością była to paskudna sprawa. Służący słyszał dobiegające zza drzwi hałasy – krzyk, dyszenie, stłumione, zdławione jęki, potem rodzaj klekotu, skrzypienie, uderzenia; a może wszystko naraz. A jeszcze później, kiedy pan Charles bez słowa wyszedł sztywno z pokoju, był już inny. Służący, na wspomnienie tej chwili cały drżał wciągając głośno nosem zawiesiste powietrze napływające z któregoś otwartego na piętrze okna. W domu zagościło przerażenie i tylko praktyczni detektywi nie czuli jego rzeczywistej głębi. Ale nawet i ich dręczył niepokój; sprawa była bardzo nietypowa i zawierała w sobie trudne do zdefiniowania elementy, których nie byli w stanie zgłębić do końca. Doktor Willett pograżył się w gorzkim, głębokim zamyśleniu; były to przerażające myśli. Od czasu do czasu pomrukiwał coś pod nosem formułując w głowie coraz to nowe i straszniejsze konkluzje; aż połączył w końcu wszystkie ogniwa całego łańcucha koszmarnych wydarzeń.

Pan Ward uczynił ręką znak, że narada skończona i wszyscy, za wyjątkiem jego samego i doktora Willetta opuścili pokój. Było właśnie południe, lecz powietrze mroczyło się, jakby cienie nadchodzącej nienormalnie nocy rozpościerały swą ponurą opończę nad nawiedzonym przez fantomy domem. Willett wszczął z gospodarzem bardzo poważną rozmowę, nalegając, by ten zezwolił mu przejąć bez reszty inicjatywę. Przewidywał bowiem rzeczy potworne i uważał, że przyjaciel łatwiej je zniesie niż ktokolwiek z najbliższej rodziny. Jako domowy lekarz domagał się, by wpuszczono go do opuszczonej biblioteki na piętrze, gdzie starodawny gzyms nad kominkiem emanował z siebie potworną grozę, większą nawet niż wtedy, gdy z panneau spoglądały chytrze oczy Josepha Curwena. W bibliotece tej doktor zamierzał spędzić samotnie jakiś czas.

Oszołomiony zalewem groteskowej makabry i nie mieszczących się wprost w głowie szalonych wniosków, pan Ward mógł tylko wyrazić zgodę. Pół godziny później doktor zamknął się w przeklętym pokoju zdobnym w dekoracyjną płaszczyznę z Olney Court. Stojąc pod drzwiami, ojciec słyszał przez jakiś czas dziwne dźwięki przysuwanych przedmiotów i szurania. Potem doktor przekręcił coś gwałtownie i słyszeć się dało skrzypienie ciężkich drzwi, zapewne od jakiejś szafy. Stłumiony krzyk, parsknięcie i przykre odgłosy dławienia się. Potem to coś zamknięto i w drzwiach zazgrzytał klucz. W hallu pojawił się doktor Willett. Miał dziki wzrok, a twarz upiornie bladą. Zażądał drewna do prawdziwego kominka na południowej ścianie pokoju. Powiedział, że piec nie wystarczy, a elektryczne polano jest nieużyteczne. Pan Ward nie śmiał zadawać żadnych pytań i dał tylko stosowne polecenie. Ktoś ze służby przyniósł naręcz grubych, sosnowych polan i drząc wszedł do wypełnionej skażonym powietrzem biblioteki, by położyć je na palenisku. W międzyczasie Willett udał się na górę do ogołoczonego laboratorium i zniósł stamtąd jakieś

drobiazgi, których w lipcu nie zabrał Charles. Niósł je w zakrytym koszu i pan Ward nie zdołał się zorientować co to jest.

W chwilę potem doktor znowu zamknął się na klucz w bibliotece, a za oknem pojawiły się spadające w dół z komina kłęby dymu. Później, po donośnym szeleście gazet, Willett ponownie z donośnym skrzypieniem coś otworzył. Nastąpiły uderzenia, których dźwięk wywarł na słuchaczach straszne wrażenie. Z kolei dwa zduszone okrzyki Willetta, a zaraz potem świszczący dźwięk niosący w sobie nie dającą się określić nienawiść. Na koniec, nawiewany z góry wiatrem dym stał się czarny, niezwykle gryzący i jadowity. Pan Ward trząsł i kręcił głową jak oszalały, zbita w gromadkę służba obserwowała z przerażeniem walący z góry, odrażająco czarny dym. Trwało wieki chyba, nim opary zaczęły rzednąć, a zza zablokowanych drzwi dobiegać niewyraźne, zgrzytliwe dźwięki, potem szuranie i inne trudne do określenia odgłosy. Ostatecznie po zatrzaśnięciu jakiejś szafy pojawił się Willett. Posępny, blady, w oczach paliły się mu ognie szaleństwa. Niósł przykryty gałganem kosz, który zabrał był wcześniej z laboratorium na górze. Zostawił w bibliotece otwarte okno, przez które do przeklętego pokoju napływało zdrowe już, świeże powietrze mieszając się z nowym – dziwnym tu – zapachem środków odkażających. Staroświecki gzyms kominka wciąż tkwił na swoim miejscu, ale nie spowijała go już aura zła; stał sobie spokojny i majestatyczny w bieli boazerii, jakby nigdy nie było tam portretu Josepha Curwena. Nadchodziła wprawdzie noc, ale nie niosła już dłużej ze sobą cienia poprzedniego lęku; wyłącznie lekką, nieuchwytną melancholię. O tym, czego dokonał doktor nigdy nikomu nie powiedział. Odezwał się tylko do pana Warda:

– Nie odpowiem na żadne pytania. Powiem tylko, że istnieje inny rodzaj magii. Dokonałem wielkiego oczyszczenia. Dlatego mieszkańcy domu będą, już spać spokojnie.

Qwo "oczyszczenie" było dla doktora Willett równie ciężką próbą jak wędrówka w zaginionej krypcie. Starszy lekarz, gdy dotarł wreszcie wieczorem do domu, był u kresu sił. Przez trzy dni wypoczywał nie ruszając się prawie ze swego pokoju, jakkolwiek później służba opowiadała szeptem, że we środę po północy słyszano jego kroki na dole, a potem dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi wejściowych. Wyobraźnia służby na szczęście ma swoje granice, w przeciwnym bowiem razie, po czwartkowym artykule w „Kvening Bullettin” powstać mogło wiele domysłów i plotek.

Znów Hieny cmentarne na Cmentarzu Północnym.

Od czasu nikczemnego zbeszczeszczenia grobu Weedena, dziesięć miesięcy temu, panował spokój. Lecz oto dzisiejszej nocy dozorca na Cmentarzu Północnym, Robert Hart, ponownie natknął się na nocnego grasanta. Około drugiej nad ranem, kiedy wyjrzał ze swej budki, zauważył po północnej stronie blask kieszonkowej latarki. Kiedy wyszedł na zewnątrz, ujrzał jakiegoś mężczyznę trzymającego, bardzo dobrze widoczny w elektrycznym świetle, szpadel. Strażnik niezwłocznie ruszył w pościg; nieznany osobnik jednak pobiegł szybko do głównego wyjścia, wydostał się na ulicę i zniknął w mroku zanim Hart zdołał go pochwycić czy rozpoznać.

Podobnie jak za pierwszym razem – rok temu – hiena, cmentarna nie zdołała zrealizować swych planów. W pustym miejscu na kwaterze Wardów



widać było ślady kopania, ale nie było tam dziury wielkości grobu. Same mogiły zresztą nie poniosły żadnego szwanku.

Hart nie jest w stanie opisać dokładniej grasanta. Tyle tylko, że był to drobny, posiadający zapewne bujną brodę mężczyzna. Dozorca uważa, że wszystkie trzy wypadki łączą się ze sobą. Policja z Drugiego Posterunku jednak sądzi inaczej. Chodzi tu zwłaszcza o koszarne okoliczności drugiego incydentu, kiedy to zrabowana została starodawna trumna ze zwłokami Weedena, a sama płyta grobowa w skandaliczny sposób zniszczona.

Pierwsza próba, w marcu ubiegłego roku przypisano ją Bootleggerom, usiłującym ukryć swój łup – została udaremniona. Sierżant Riley przypuszcza, że ostatni incydent był natury podobnej. Oficerowie z Drugiego Posterunku dokładają wszelkich starań, by pochwycić gang łotrów winnych tego rodzaju przestępstw.

Cały czwartek doktor Willett nie opuszczał swego pokoju; zupełnie jakby nabierał sił po tym co było lub też szykował się do czegoś, co ma nastąpić. Wieczorem napisał list do pana Warda, który do adresata dotarł następnego ranka. Pod wpływem tego listu oszołomiony rodzic popadł w długie i głębokie zamyślenie. Z powodu poniedziałkowych wydarzeń i szoku, pan Ward, mając wciąż świeżo w pamięci ponure "oczyszczenia" przez wszystkie te dni nie potrafił nawet skupić się na tyle, by prowadzić swe zwykłe interesy. W liście doktora jednak, jakkolwiek zapowiadał on kolejne nieszczęścia i nowe tajemnice, było coś krzepiącego.

10 Barnes ST

Providence, R.I.

12 kwietnia 1928.

*Drogi Teodorze: \_\_\_\_\_*

*Czuję, że muszę ci coś wyznać, nim dokonam tego, co zamierzam jutro zrobić. Zakończę tą okropną historię jaka się nam przydarzyła (wydaje się, że nie istnieje na świecie łopata, która zdołałaby ponownie odkopać to okropne miejsce, które obaj poznaliśmy), ale myślę, że jeśli ci wszystkiego bliżej nie wyjaśnię, twój umysł nie znajdzie ukojenia.*

*Znasz mnie przecież od dziecka, myślę więc, że uwierzysz, jeśli powiem że pewne rzeczy muszą pozostać nierozstrzygnięte i niezbadane. Wydaje się, że będzie dużo lepiej, jeśli poniechasz dalszych spekulacji i domysłów co do przypadku Charlesa; nade wszystko zaś zabraniam ci wspominać cokolwiek matce, poza tym oczywiście, czego może się sama domyśleć. Kiedy jutro wpadnę do ciebie, Charles już ucieknie. I tyle tylko może pozostać w ludzkiej pamięci; był szalony i uciekł. Kiedy już zaprzestaniesz pisać w jego imieniu listy na maszynie, możesz stopniowo i oględnie wprowadzać we wszystko jego matkę; a i to tylko częściowo. Osobiście radzę ci dołączyć do niej w Atlantic City, gdzie sam też odpoczniesz. Bóg jeden wie, jak bardzo tego potrzebujesz. Ja zresztą również udam się na Południe, by uspokoić tam nerwy i nabrać nieco odwagi.*

*Kiedy więc wpadnę do ciebie, nie zadawaj mi pytań. Sprawy zresztą mogą potoczyć się źle, ale tak czy owak o wszystkim cię powiadomię, Nie sądzę jednak by do tego doszło i pogodnie patrzę w przyszłość. Nie będziesz już się musiał martwić synem, gdyż Charles będzie bardzo, ale to bardzo bezpieczny. Już teraz jest dużo bezpieczniejszy niż możesz to sobie wyobrazić. Nie zaprzataj też sobie głowy kim lub czym jest doktor Allen. Jest taką samą przeszłością jak portret Josepha Curwena i kiedy zapukam do twych drzwi, bądź pewien, że osoba taka nie istnieje. Problem poruszony*

w przesłaniu pisanym minuskułą stanie się zarówno dla ciebie, jak i dla wszystkich innych nieaktualny.

Musisz jednak poskromić swe przygnębienie i przygotować na wszystko swoją żonę. Chcę ci bowiem wyznać, że ucieczka Charlesa nie będzie oznaczać jego powrotu do was. Dotknięty został dziwną chorobą, jak to zapewne wywnioskowałeś już ze zmian fizycznych i umysłowych jakie w nim zaszły i nie wolno ci się łudzić, iż kiedykolwiek go jeszcze zobaczysz. Uwierz w jedno – nigdy nie był szatanem ani szaleńcem; był pełnym entuzjazmu, zamiłowanym w nauce i dziwnym chłopcem, który uwielbiał tajemniczość. Ale przeszłość stała się przyczyną jego zguby. Natknął się na rzeczy, o istnieniu których śmiertelnik nie powinien nawet myśleć. Ale on sięgnął wstecz poprzez lata w sposób, w jaki nikt nie powinien sięgać. Stamtąd właśnie wypełzło coś, co go wchłonęło.

Dotknę teraz kwestii, w której musisz zawierzyć mi ślepo i tylko na słowo. Nie będzie żadnych wątpliwości co do losu Charlesa. Po roku mniej więcej, kiedy już nie będzie chłopca, możesz postawić pomnik w swej kwaterze na Cmentarzu Północnym; dokładnie dziesięć stóp na zachód od miejsca, gdzie spoczywa twój ojciec. Będzie to bowiem miejsce wiecznego spoczynku twego syna. Nie obawiaj się, że zakopany tam będzie jakiś odmieniec czy inna potworność. Popioły w tym grobie będą szczątkami twego własnego, nieodmienionego potomka – prawdziwego Charlesa z oliwkowym znamieniem na biodrze i bez czarnego, diabelskiego znaku na piersiach czy też blizny na czole. Charlesa, który nigdy nie był naprawdę zły i który życiem zapłacił za “wrażliwość”.

To wszystko. Jutro Charles ucieknie, a ty za rok postawisz mu pomnik. A jutro mnie nie wpytuj. I uwierz, że honor twej starodawnej rodziny pozostanie nieskalany: jak to zawsze było w przeszłości.

*Z najgłębszą sympatią oraz życzeniami byś zachował ducha, spokój i poddał się siłom wyższym, jak zawsze.*

Najszczęśliwszy twój przyjaciel  
Marinus B. Willett.

W piątek rano – trzynastego kwietnia 1928 roku – Marinus Bicknell Willett udał się do Charlesa Dextera Warda przebywającego w prywatnym szpitalu doktora Waite'a na Conanicut Island. Młodzieniec, jakkolwiek silił się na uprzejmość, był w posepnym nastroju i widać było, iż nie ma ochoty na szczerą rozmowę. Odkrycie przez doktora krypty oraz okropne jego w niej przejścia postawiły między młodzieńcem, a nim mur skrepowania i obaj, po wymianie wstępnych, wymuszonych grzeczności spoglądali na siebie z zakłopotaniem. Miary dopełniał wyraz twarzy doktora nieruchomej niczym maska – w której Charles dostrzegł coś, czego tam nigdy dotąd nie było. Pacjenta po prostu opuściła cała odwaga; był świadom, że po ostatniej wizycie nastąpiła przemiana i troskliwy dotychczas doktor rodzinny, przemienił się w bezwzględny, pozbawiony litości i skrupułów mściciela.

Ward pobladł straszliwie; pierwszy milczenie złamał doktor:

– Znalezione więcej – powiedział – I muszę cię uczciwie ostrzec, że nadszedł dzień zapłaty.

– Co, ponownie kopiąc spotkałeś jeszcze więcej i jeszcze bardziej wygłodzonych i nieszczęśliwych moich pupili? – zabrzmiała ironiczna odpowiedź.

Było jasne, że młodzieniec do końca będzie odgrywał junaka.

– Nie – odpowiedział spokojnie Willett – Tym razem nie musiałem kopać. Wynajęliśmy ludzi, którzy tropiąc doktora Allena, znaleźli w

bungalowie fałszywą brodę i okulary.

– Wspaniale – powiedział zaniepokojony nagle gospodarz, usiłując wszelkimi siłami być obraźliwie dowcipny. – Myślę, że okazały się bardziej twarzowe niż twoja własna broda i twoje własne okulary.

– Tobie w nich byłoby bardziej do twarzy – przyszła gładka i obmyślana odpowiedź – I rzeczywiście tak było.

Kiedy to powiedział, wydawało się, że czarna chmura przysłoniła słońce, choć układ cieni na podłodze nie uległ zmianie. Ward ponownie się odezwał.

– I tego tak gorączkowo poszukujesz? Zakładasz, że temu człowiekowi z jakichś względów bardzo zależało na dwoistości?

– Nie odparł poważnie Willett – znów się mylisz. To nie twój interes, że ktoś poszukuje dwoistości; chodzi jedynie o to, że nie ma on wogóle prawa istnieć, oraz świadczy, że nie zniszcz tego co wywołało go z przestrzeni.

Ward przerwał gwałtownie.

– Doskonale, coś pan odkrył i czego ode mnie żądasz? Doktor milczał jakiś czas, jakby szukał odpowiednich słów.

Znalazłem – powiedział Znalazłem coś w szafie za antyczną płaszczyzną ozdobną nad kominkiem, na której był ongiś portret. Spaliłem to coś, a prochy pogrzebałem w miejscu, gdzie powinien być grób Charlesa Dextera Warda.

Szaleniec wciągnął w płuca ze świstem powietrze i zerwał się z krzesła na którym siedział. Przekłęty, skąd o tym się dowiedziałeś? I kto ci uwierzy, że był on – po tych pełnych dwóch miesiącach kiedy żyłem?

Co w ogóle zamierzasz zrobić?

Willett, mimo, że był człowiekiem drobnej postury, nabrał jakiegoś sędziowskiego majestatu. Ruchem dłoni uciszył pacjenta.

– Nikomu o tym nie wspomniałem. Nie jest to sprawa dla ogółu to szaleństwo spoza czasu i groza spoza sfer. Nie pojmie tego żaden policjant, prawnik, sąd czy psychiatra. Dzięki Bogu, przypadek sprawił iż mam wystarczająco wyobraźni, by myśląc o tym wszystkim nie popaść w kompletny mętlik. Nie wprowadzisz mnie w błąd Josephie Curwenie Wiem, że twoja przeklęta magia istnieje naprawdę.

Wiem już jak sprawiłeś, że urok który zrodził się poza czasem spętał twego sobowtóra i potomka zarazem; wiem jak pchnąłeś go w przeszłość nakazując wskrzesić cię z twego odrażającego grobu; wiem jak trzymał cię w ukryciu w laboratorium, a ty uczyłeś się współczesnego świata i włóczyłeś nocami jako wampir. Później wyszedłeś z ukrycia w brodzie i w okularach by nie budzić powszechnego zdumienia swym bezbożnym podobieństwem do niego; wiem co postanowiłeś uczyni kiedy on uchylał się do grabieży grobów i wiem co planował dalej. Wiem jak to wszystko zrobiłeś.

Odrzuciłeś brodę i szkła myśląc tym ludzi, którzy strzegli domu Myśleli, że to on wszedł do środka i myśleli, że to on wyszedł; a i przecież go udusiłeś i schowałeś. Nie wzięłeś jednak pod uwagę, iż nastąpił kontakt dwóch umysłów i dwóch osobowości. Byłeś głupcem Curwen, wyobrażając sobie, że zewnętrzne podobieństwo wystarczy. Czemu nie pomyślałeś wcześniej o mowie, o głosie, o charakterze pism; No i dopiero po niewczasie pojąłeś swój błąd. Wiesz lepiej niż ja, kto lub co, napisało minuskułą owo przesłanie; ale ostrzegam, nie był to czyn na próżno. Istnieją paskudztwa i bluźnierstwa, które należy wszelkimi środkami zniszczyć i jestem najgłębiej przekonany, iż autor tej minuskuły zajmie się już osobiście Orne'm i Hutchinsonem. Jedna z tych kreatur napisała ci kiedyś: “nie wywołuj niczego, czego nie poskromisz”. Już raz zostałeś zniszczony – zapewne w taki właśnie sposób – a teraz twój własna, zła

magia zniszczy cię ponownie. Curwen, człowiek może zmieniać Naturę tylko do pewnych granic i każde okropieństwo jakie stworzyłeś, powstanie przeciw tobie. I zetrze cię w pył.

Stojący przed doktorem stwór, przerwał mu spazmatycznym krzykiem. Beznadziejnie osaczony i bezbronny, zdając sobie sprawę, iż każda próba przemocy fizycznej sprowadzi tu całą chmarę pracowników szpitala śpieszących z pomocą doktorowi, Joseph Curwen uciekł się do znanych sobie i starodawnych sposobów. Wskazującymi palcami obu dłoni zaczął wykonywać serie kabalistycznych ruchów wypowiadając jednocześnie głębokim, głuchym głosem – nie krytym już symulowaną chrapliwością – początkowe słowa straszliwej formuły:

PER ADONAI ELOIM, ADONAI JEHOYA, ADONAI SABAOOTH,  
METRATON...

Lecz Willett był szybszy. Mimo iż na dworze zaczęły wyc psy, a od strony zatoki zerwał się nagle lodowaty wiatr, doktor mierzonym głosem rozpoczął uroczystą inkantację. Oko za oko... magia za magię... – wypowiedział dokładnie to, czego nauczył się w otchłani i co dobrze zapamiętał! Marinus Bicknell Willett rozpoczął drugą z formuł.

Za pomocą pierwszej wskrzesił autora minuskuły...

Rozpoczął tajemniczą inkantację, którą zaczynał Ogon Smoka, znak opadającego węzła:

OGTHROD AI'F  
GEB'L – – – – EE'H  
YOG – SOTHOTH  
'NGAH'NG AFY

## ZHRO

*Już po pierwszym słowie jakie padło z ust Willetta, pacjent umilkł. Oniemiały nagle potwór czynił tylko dzikie ruchy rękoma; ale niebawem ręce również zostały unieruchomione. Kiedy padło straszliwe imię Yog – Sothoth, rozpoczęła się obrzydliwa przemiana. Nie było to dokładnie roztopianie się, lecz rodzaj transformacji czy rekapitulacji; i Willett musiał zamknąć oczy by nie zemdleć. W przeciwnym bowiem razie nie wypowiedziałby inkantacji do końca.*

Nie zemdlał i człowiek z bezbożnych stuleci, człowiek posiadający zakazane sekrety, nigdy już nie nawiedzi świata. Minęło szaleństwo spoza czasu, a przypadek Charlesa Dextera Warda stał się przeszłością. Doktor Willett dobrze zapamiętał to, co poznał w kryptach. Jak przewidywał, nie potrzebował wcale kwasu. Joseph Curwen – podobnie jak przed rokiem przeklęty obraz – leżał na ziemi w postaci cieniutkiej warstwy delikatnego, błękitnawo–szarego kurzu.

KONIEC.